MSZE I WYBORY
Jak przestaliśmy się bać wirusa

RAP LUDZI PRACY
Polska z dźwigu widziana

SZCZĘŚĆ BOŻE
Ksiądz ma przyszłość

SĄDNE DNI AMERYKI
Mocarstwo, mord, rasizm, rebelia

KRÓL SNÓW
Kto rządzi nami w nocy

Kraków 21 czerwca 2020 nr 25 (3702) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ADAM BODNAR
Parada nierówności

DODATKI

FESTIWAL CONRADA 2020

NASZA WSPÓLNA EUROPA [1]

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Księdzu Adamowi Bonieckiemu,

który z wdzięcznością i uwielbieniem dla Chrystusa Wiecznego Kapłana raduje się 60. rocznicą kapłańskich święceń, kieruję serdeczne życzenia,

wraz z wyrazami wdzięczności za Jego owocną i wierną służbę Ewangelii i Kościołowi, jak również za sumienną pracę dla Stolicy Świętej,

oraz proszę Boga, za wstawiennictwem Maryi Niepokalanej, by wynagrodził mu ją obfitością swoich łask.

Z głębi serca, z wyrazami szczerej miłości, udzielam Apostolskiego Błogosławieństwa Jemu oraz Jego najbliższym i wszystkim, którzy łączą się z Nim w radości ducha.

Papież Franciszek

Watykan, 11 czerwca 2020 r.

▪ Publikujemy powyżej tekst życzeń, jakie papież Franciszek wysłał do ks. Adama Bonieckiego z okazji 60. rocznicy święceń kapłańskich. Życzenia zostały odczytane podczas jubileuszowej mszy, którą ks. Adam odprawił 11 czerwca w kościele św. Floriana w Krakowie.

KS. ADAM

Boniecki: *Obywatel rzecznik*

W swojej działalności niezawisły, niezależny od wszystkich organów władzy publicznej poza Sejmem, przed którym odpowiada na zasadach określonych w ustawie... Rzecznik Praw Obywatelskich. Ten urząd musi, z natury rzeczy, być utrapieniem dla wszelkich organów władzy. Bo nie tylko im nie podlega, ale jeszcze po to istnieje, żeby strzec poszanowania wolności i praw człowieka – bo reaguje, kiedy stwierdzi, że organ władzy, organizacja albo instytucja naruszyły czyjąś wolność lub prawa, bo reaguje na łamanie zasad współżycia i sprawiedliwości społecznej. Każdy może (bezpłatnie) szukać u niego pomocy, a on sam szuka pokrzywdzonych wizytując miejsca szczególnie sprzyjające tego rodzaju poczynaniom: zakłady karne, areszty, pomieszczenia dla osób zatrzymanych oraz młodzieżowe ośrodki wychowawcze. Pełni funkcję niezależnego organu do spraw popierania, ochrony, monitorowania i wdrażania postanowień Konwencji o prawach osób niepełnosprawnych itd.

Jakim utrapieniem dla różnych lokalnych i krajowych władz może być rzecznik praw obywatelskich, łatwiej zrozumieć, kiedy się przeczyta, co napisał o sprawie aktywisty z Rybnika Oliwiera Palarza. Palarz uznał, że gigantyczny poziom zanieczyszczenia powietrza w Rybniku narusza jego prawo do życia w czystym środowisku, i wystąpił do sądu o odszkodowanie. Wspierany przez urząd RPO, osiągnął to, że Sąd Okręgowy skierował do Sądu Najwyższego pytanie prawne, czy prawo do życia w czystym powietrzu można uznać za dobro osobiste. I rzecznik ogłasza, iż liczy na to, „że wyrok potwierdzi istnienie takiego prawa", a do tego jeszcze się cieszy ze swojego udziału w tej sprawie. Łatwo sobie wyobrazić, co teraz przeżywa prezydent Rybnika i inni prezydenci zadymionych miast: prawdopodobnie dręczą ich koszmarne wizje ofiar zatrutego powietrza tłumnie ciągnących ścieżką przetartą przez aktywistę Oliwiera Palarza do ratusza po odszkodowanie.

Przyznam, że działalność poprzednich ombudsmanów śledziłem fragmentarycznie, od przypadku do przypadku. Być może ataki kierowane przeciw sprawującemu ten urząd od 2015 r. Adamowi Bodnarowi sprawiły, że dopiero właśnie on naprawdę mnie zainteresował. Młody (43 lata) prawnik, wykształcony w Polsce i za granicą nauczyciel akademicki, doktor habilitowany nauk prawnych, profesor, działacz na rzecz praw człowieka, w latach 2010–2015 wiceprezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, dał się lepiej poznać dzięki rozmowie z Bartoszem Bartosikiem opublikowanej w książce „Obywatel PL". Dzisiaj mamy okazję przeczytać jego rozmowę z Michałem Okońskim.

Tu chciałbym zwrócić uwagę na jedną cechę Adama Bodnara – emocjonalną powściągliwość. W książce kilka razy odżegnuje się od krańcowo negatywnych diagnoz sytuacji w Polsce, typu: „mamy dyktaturę", „mamy faszyzm". Jego ocena polskiej sytuacji przekonuje, mobilizuje do myślenia i działania: „Do opisu sytuacji w Polsce używam pojęcia »konkurencyjnego (plebiscytarnego) autorytaryzmu«. Czyli władza zachowuje wszystkie instytucje demokratyczne (...) przez co formalnie trudno zauważyć odstępstwo od demokratycznych reguł gry. A jednak ono się dokonuje, ponieważ w tym samym czasie obóz rządzący dąży do ścisłej kontroli instytucji demokratycznych, żeby wykorzystywać je do szykanowania konkurentów do władzy, a zarazem do pobłażania swoim przyjaciołom i sojusznikom".

Konkluzja: czytajcie Bodnara. Obywatela PL. ©℗

REKLAMA

22 Ochroń się sam
MACIEJ MÜLLER
Wirus zostanie z nami długie miesiące. Nie wiemy, jak przejdziemy drugą falę, a do końca pierwszej daleko.

26 Polska z dźwigu widziana
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KRÓLEM, DZIAŁACZEM ZWIĄZKOWYM
Mówią, że idzie kryzys. Mnie to śmieszy. W mojej branży kryzys jest zawsze.

32 Kapłańska futurologia
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA
Pandemia podważa naszą niezbędność, przypadki pedofilii ściągają nas z piedestału. Czy ksiądz ma przyszłość?

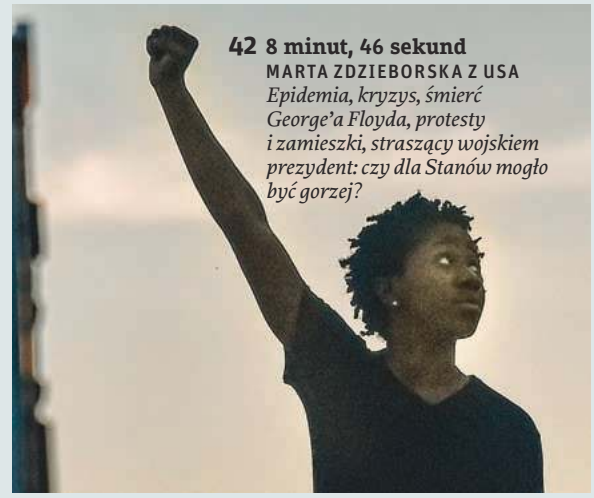

42 8 minut, 46 sekund
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA
Epidemia, kryzys, śmierć George'a Floyda, protesty i zamieszki, straszący wojskiem prezydent: czy dla Stanów mogło być gorzej?

78 Mam jedno pytanie
ROZMOWA Z MARTINEM POLLACKIEM, PISARZEM I REPORTEREM
W końcu zjawia się pragnienie, by oczyścić świat wokół siebie. Najlepiej, żeby wokół byli tylko podobni do mnie. Niedaleko stąd do okrucieństwa.

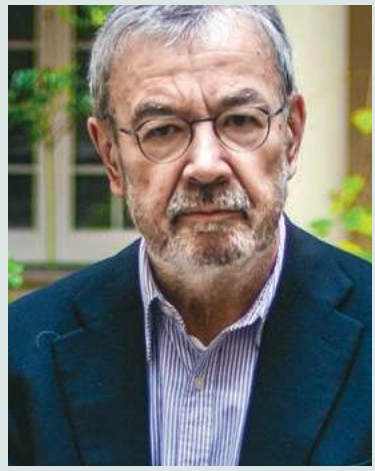

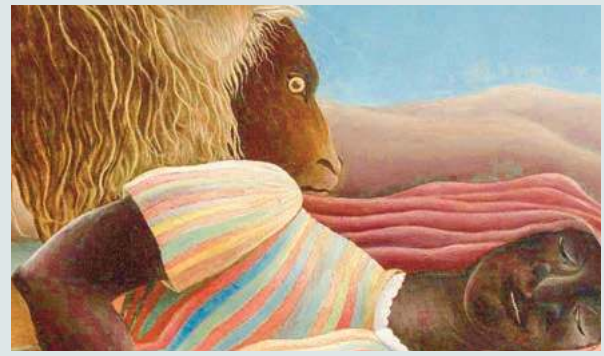

94 Wróżby ślimaka
ELIZA KĄCKA
Kiedy mówimy: „To całkiem jak we śnie", to co właściwie mamy na myśli? Przecież nie tylko przyjemność.

JAREK PRASZKIEWICZ / FORUM // ARCHIWUM PRYWATNE // OLIVIER DOULIERY / AFP / EAST NEWS // MOMA / MAT. PRASOWE // GRAŻYNA MAKARA // FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Pułapka z tęczy
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Obraz tygodnia

19 Tygodnik Czytelników

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Ochroń się sam
MACIEJ MÜLLER

26 Polska z dźwigu widziana
KRZYSZTOF KRÓL

29 Pogranicze w śpiączce
PIOTR OLEKSY
W Świnoujściu taśma przecinająca promenadę oznaczała zamieranie

WIARA

32 Kapłańska futurologia
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

36 Tora i kąpiele leśne
DOROTA BIDZIŃSKA
Rabin David Seidenberg o globalnych zmianach klimatycznych

39 Przewietrzanie wiary
ARTUR SPORNIAK *Jak pogodzić teologię z naukami przyrodniczymi*

40 Prymas i sztuczne rzęsy
PIOTR LITKA
Ks. Tischner mógł być następcą kard. Wyszyńskiego

ŚWIAT

42 8 minut, 46 sekund
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA

45 Dzieli nas przepaść
SADIQA REYNOLDS
Ameryka, rasizm i przemoc policji

46 Druga zagłada Amazonii
MAGDALENA BARTCZAK Z CHILE
Rdzenni mieszkańcy Ameryki Południowej wobec epidemii

TEMAT TYGODNIKA

GRAŻYNA MAKARA

12 Parada nierówności
ROZMOWA Z ADAMEM BODNAREM, RZECZNIKIEM PRAW OBYWATELSKICH
W mojej pracy widzę bardzo wyraźnie, że na potępianiu „ideologii" cierpią konkretni ludzie. Podejmują próby samobójcze, cierpią psychicznie, bywają fizycznie prześladowani, emigrują...

DODATKI SPECJALNE

53 Nasza wspólna Europa. Diagnozy

99 Magazyn Conrad. Widzialne – niewidzialne

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
73 ANDRZEJ STASIUK **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ADAM BODNAR
Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA GAZETA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

49 Tęsknimy za szkołą
PATRYCJA BUKALSKA, PAULINA MAŚLONA
Zdalne nauczanie: jak to robią w Europie

HISTORIA

68 Francuska klęska i polska depresja
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK
Co się wydarzyło w czerwcu 1940 r.

71 Historia pewnego rautu
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI
Śledztwo w sprawie pewnego cytatu

NAUKA

74 Wejście Dragona
PIOTR STANKIEWICZ
Kosmos znów wydaje się pełen cudów

77 Lekcja ostrożności
JAKUB MEJER
Jak ekonomiści podejmują decyzje

KULTURA

78 Mam jedno pytanie
MARTIN POLLACK

83 Muzyka niemożliwa
JAN BŁASZCZAK
o Małych Instrumentach

86 Gospodynie i damy
JAKUB MAJMUREK
o nowych serialach

90 Czarna skrzynka
ANITA PIOTROWSKA *o kinie Carlosa Reygadasa*

92 „Chodzą Śmiercie..."
LEKTOR *o „Tezeuszu K." Adama Wodnickiego*

ZMYSŁY

94 Wróżby ślimaka
ELIZA KĄCKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Prezydent Burundi jest pierwszym na świecie przywódcą, który umarł z powodu epidemii COVID-19. Należał do grona polityków twierdzących, że wirus nam nie zagraża
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **powszech.net/strona-swiata**

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
„»Czy ty możesz mi pomóc, Ula, i zadzwonić do tej pani, która mieszka we Włoszech, ma 87 lat, nazywa się tak i tak?«. Okazało się, że ta pani już nie żyje" – opowiada **URSZULA ZAJĄCZKOWSKA** w cyklu rozmów o punktach zwrotnych w życiu **powszech.net/punkt-zwrotny**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ROMAN BOSIACKI / AGENCJA GAZETA

Protest przeciwko dyskryminującym wypowiedziom polityków PiS wymierzonym w osoby LGBT, Bydgoszcz, 14 czerwca 2020 r.

PUŁAPKA NA TĘCZĘ

W momencie gdy Koalicja Obywatelska oznajmiła, że jej kandydatem na prezydenta będzie Rafał Trzaskowski, jasne się stało, że PiS na nowo rozdmucha wojnę o LGBT.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jeszcze w lutym, gdy Andrzej Duda miał sondażowy komfort zwycięstwa w pierwszej turze, mógł sobie pozwolić na takie zdania jak to z wywiadu dla „Wprost": „Poważnie rozważyłbym podpisanie ustawy o związkach partnerskich". Teraz mówi: „Próbuje nam się i naszym dzieciom wciskać ideologię [LGBT]. To jest taki neobolszewizm".

Rzecz jasna, Duda zawsze zastrzega, że szanuje gejów i lesbijki, a „LGBT to ideologia", która ma na celu lansowanie wzorców seksualnych stanowiących zagrożenie dla rodziny. Ale to, co prezydent stara się niuansować, jego pomagierzy robią bardziej dosadnie. Nowa retoryczna gwiazda PiS Przemysław Czarnek oznajmił w TVP Info: „Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym".

Atakowi na tęczę towarzyszy wypominanie Platformie afer z czasów jej rządów sprzed dekady. Duda wdał się nawet w internetowe przepychanki z Tuskiem, zwieńczone nazwaniem twórcy PO „największym politycznym kłamcą III RP".

Wszystko to przewidywalne elementy kampanii PiS, które pokazują dwie rzeczy. Po pierwsze, PiS nie ma pomysłu, jak sprzedać Dudę wyborcom po 5 latach wspólnych rządów. O ile w poprzedniej kampanii prezydenckiej Dudę niosła fala obietnic socjalnych, to teraz, gdy w budżecie dziura, prezydent nie może obiecać nic nowego. W tej sytuacji PiS sprzedaje go więc poprzez przypominanie tego, co wyborcom dał – w tym 500 plus oraz obniżenie wieku emerytalnego. Oraz straszy rządami Platformy sprzed dekady. Nazwanie

przez Dudę rządów PO „antypolskimi" podczas wystąpienia w Opolu to wyraźne przekroczenie granic politycznej walki.

Po drugie, wygrażanie podpisaną przez Trzaskowskiego jako prezydenta stolicy kartą LGBT pozwoliło PiS zdeklasować opozycję w ubiegłorocznych wyborach europejskich. I to w trudnych realiach, choćby tuż po filmie braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu", który był dla PiS kłopotliwy. W tamtej kampanii zręcznie obsadził koalicję PO, PSL, Nowoczesnej i SLD w roli formacji popierającej LGBT – przedstawianego przez Jarosława Kaczyńskiego jako „seksualizowanie dzieci". Było pewne, że gdy na ring wkroczy Trzaskowski, PiS na nowo sięgnie po armaty.

Czy Platforma to przewidywała? Skala ataku jest dla niej zaskoczeniem. Partia postawiła na milczenie Trzaskowskiego w kwestii LGBT, a pojedynki z PiS wzięli na siebie liderzy Platformy, też unikając jednoznacznych deklaracji światopoglądowych. To z kolei prowadzi do napięć z lewicą. Jej liderzy chcą zyskać na wojnie PiS z LGBT, dlatego stawiają Trzaskowskiego pod ścianą: „A co ty zrobiłeś dla tęczy?". Twardzi zwolennicy PO reagują furią, bo ich zdaniem to gra dokładnie wedle partytury przygotowanej przez PiS, obliczona na polaryzację elektoratu i podziały w opozycji.

Rzeczywiście, twardą retoryką PiS chce zagonić swych wyborców do urn. Schowany w kampanii prezes Kaczyński napisał nawet list do zwolenników PiS, w którym straszy Trzaskowskim. Refren typowo prezesowski, aktualny od trzech dekad wobec kolejnych wrogów: „dąży do podporządkowania polskich spraw obcym wpływom, chce podtrzymywać pozostałości dawnych zależności z czasu PRL".

Trzaskowski odpowiedział własnym, uspokajającym listem do zwolenników PiS. Próbuje osiągnąć dokładnie odwrotny cel: chce skłonić ich do pozostania w domach, przekonując, że nawet jak zabraknie Dudy, to nic złego się nie stanie.

Kto okaże się skuteczniejszy? Wyborców łatwiej jest wystraszyć, niż ukoić. Zwłaszcza prezes Kaczyński potrafi straszyć jak nikt inny. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Wakacyjny bon od prezydenta wszystkich dzieci

„CHCIAŁBYM, ŻEBY BRANŻA TURYSTYCZNA została wsparta przez polską rodzinę" – powiedział w Stalowej Woli Andrzej Duda, zapowiadając zmianę pierwotnych założeń wakacyjnego bonu dla Polaków. Miało być tysiąc złotych od rządu – dla najmniej zarabiających, zatrudnionych na umowy o pracę – z przeznaczeniem na wakacyjne wyjazdy. Będzie pięćset złotych od prezydenta – dla każdego polskiego dziecka. Też na wakacje, ale niekoniecznie te nadchodzące: nie wiadomo jeszcze, kiedy program ruszy, ale pieniądze będzie można wydać do końca 2021 r. Nie trafią one do Polaków w formie gotówki czy przelewu – jak comiesięczny transfer z programu Rodzina 500 plus – a właśnie w formie bonu, którego kod będzie można podać w hotelu albo innej instytucji podczas urlopowego wypoczynku.

Ten kolejny odcinek znanego i sprawdzonego serialu z „plusem" w tytule ma aż nadto czytelny podtekst polityczny – obóz władzy chce na nowo uwydatnić wyblakły już propagandowy efekt 500 plus. I na ostatniej kampanijnej prostej podkreślić, że ojcem turystycznej odsłony tego programu jest sam prezydent. Andrzej Duda walczy wszak o reelekcję pod sztandarem ochrony rodziny przed zagrożeniem ze strony wrogów zewnętrznych (np. „ideologii LGBT", o której mówił ostatnio nader chętnie) i wiele uwagi przykłada do stabilności polskich budżetów domowych.

Wakacyjny bon ma też podtekst ekonomiczny: impuls dla znajdującej się w największym od lat kryzysie branży turystycznej – jej przedstawiciele przewidują, że nawet w najbardziej optymistycznym wariancie sektor nie osiągnie w tym roku choćby połowy obrotów z ubiegłego sezonu (kwiecień i maj były w zasadzie martwe). A dodatkowe wsparcie dla rodzin? Złośliwi zauważają, że ten jednorazowy zastrzyk finansowy to ledwie rekompensata za tracące z roku na rok na wartości – i niepodlegające waloryzacji – świadczenie 500 plus. Rodzinna „trzynastka" na pocieszenie w dobie kryzysu.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Studenci ŚUM oskarżają

CORAZ WIĘKSZY ZASIĘG mają wystąpienia studentów i absolwentów Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, od minionego tygodnia dzielących się na Facebooku świadectwami mobbingu, poniżania, molestowania oraz przemocy, których mieli doświadczyć podczas studiów. Publikuje je (bez nazwisk autorów) profil „ŚUMemes". Akcja ma już hasztag: #wszystkojestdobrze, nawiązujący do lekceważącej, zdaniem wielu studentów, reakcji uczelni na zarzuty. Jej władze twierdzą, że nie wpłynęły do nich żadne skargi i „niepokojące sygnały". Ciężar zarzutów i liczba wpisów sugerują jednak mechanizm znany z innych zhierarchizowanych instytucji, w których zaczęto ujawniać podobne przypadki – gdy pojedynczy wpis uruchamiał lawinę świadectw. W postach studentów i absolwentów ŚUM powtarzają się historie o wywołanym mobbingiem strachu przed pójściem na zajęcia, celowym doprowadzaniu studentów do płaczu, praktycznym zmuszaniu do obecności i kontaktu z pacjentami nawet podczas choroby, o seksizmie i homofobii niektórych wykładowców i asystentów.

Oto tylko trzy z nich: „Po śmierci bliskiej osoby, abyś mógł wziąć udział w pogrzebie, musisz mimo żałoby załatwiać akt zgonu tejże osoby, który ma posłużyć jako dowód twojej nieobecności"; „Podczas instruowania studenta (przy pacjencie), jak poprawnie wykonać bronchoskopię, lekarz użył sformułowania »robisz takie szybkie ruchanko, wkładasz i wyciągasz he he he«"; „Jeden z asystentów podczas zajęć »zażartował« sobie, gdy poprosił koleżankę o wzięcie członka męskiego, że »wolałbym do buzi ale ręce też okej hehe«". Najpoważniejsze zarzuty dotyczą domniemanego molestowania seksualnego, do którego miało dochodzić podczas wyjazdowych obozów integracyjnych.

Wsparcie studentom obiecały już Niezależne Zrzeszenie Studentów i obywatelska sieć Watchdog. Uczelnia opublikowała komunikat, w którym „stanowczo podkreśla, że nie popiera zachowań nagannych i nieetycznych nauczycieli akademickich", ale „wnioski płynące z komentarzy mogą jedynie stanowić źródło informacji o charakterze opiniodawczym". ŚUM proponuje, by „niezgodne z normami społecznymi zachowania" zgłaszać do rektoratu. Odnoszące się do kilkuset skarg oświadczenie uczelnia kończy zdaniem: „Ponadto cieszymy się, że wśród tych opinii są także wyrażone te, które pozytywnie odnoszą się do działań organizowanych w Uczelni". ©℗ MARCIN ŻYŁA

Picie za zdrowie

MAREK RABIJ

Tuż przed Bożym Ciałem doszło do niecodziennego pojedynku między dwiema sieciami dyskontowymi, których nazw nie wymienię, bo wolę trzymać się z dala od dziwacznego nurtu współczesnego dziennikarstwa polegającego na recenzowaniu promocji sieci handlowych. Zdradzę, że w meczu tym Portugalia rywalizowała z Niemcami na kulturowo bliskim tym ostatnim boisku piwnym.

Rozpoczęli Portugalczycy, ogłaszając, że każdy, kto w dniu promocji włoży do koszyka 12 piw, zapłaci jedynie za sześć najdroższych. Niemcy nie dali się zamknąć w swoim polu karnym i zaatakowali aż ośmioma darmowymi piwami – oczywiście przy zakupie 16 flaszek. Wynik meczu poznamy pewnie za jakiś czas, kiedy sieci podliczą kasę. Być może potrzebna będzie dogrywka albo do rywalizacji włączą się też inne drużyny zwabione wynikami sprzedaży.

Trzymam się futbolowej konwencji, bo gdyby nie pandemia, mielibyśmy właśnie Euro 2020, na które sieci zawczasu zakontraktowały m.in. duże ilości taniego piwa. Ktoś musi je teraz wypić i bez meczu. Na szczęście dla handlowców w tym roku nie trzeba do tego zbytnio namawiać: zamknięci w domach, zestresowani groźbą recesji chętniej zaglądaliśmy do kieliszków. 5 proc. Polaków pijących alkohol przyznaje się w badaniach, że podczas kwarantanny zwiększyło spożycie. W Niemczech ten sam odsetek wynosi 8 proc., a w Wielkiej Brytanii 12. W USA aż 36 proc. mężczyzn i 26 proc. kobiet deklaruje picie alkoholu także w godzinach pracy wykonywanej w trybie zdalnym.

Zamknięcie barów i restauracji oraz zamrożenie życia towarzyskiego z powodu pandemii mocno uderzyło producentów i sprzedawców alkoholu po kieszeni. Niestety, próbują teraz nadrobić straty promując najgroźniejszy model picia – w domowym zaciszu. Sześć półlitrowych butelek piwa jasnego zawiera około 150 g czystego alkoholu etylowego. Pół litra wódki – jakieś 160 g. A poza tym, jak pokazują badania i przed czym ostrzega WHO, alkohol osłabia układ odpornościowy. ©℗

LICZBA TYGODNIA

9,5

aż o tyle procent może się skurczyć w tym roku polska gospodarka, jeśli jesienią uderzy w nią druga fala COVID-19 i powrócą obostrzenia epidemiczne – to wnioski z opublikowanego właśnie raportu OECD. Wcześniejsze prognozy Komisji Europejskiej, oparte na założeniu, że pandemię uda się opanować, przewidują dla Polski hamowanie o 4,3 proc.

KRAJ W SKRÓCIE

KRNĄBRNA KRZYWA

Nie spłaszcza się: w chwili zamknięcia tego numeru „TP" zarażonych koronawirusem było ok. 14 tys. Polaków. Tymczasem w Polsce ruch w kawiarniach, odbyły się masowe procesje Bożego Ciała i spotkania z kandydatami na prezydenta.

LISTY POLITYKÓW

„Nie jestem Waszym wrogiem" – napisał do zwolenników PiS Rafał Trzaskowski. Do tych samych adresatów wystosował pismo Jarosław Kaczyński, tłumacząc, że „mamy dziś stan alertu", a „zwycięstwo kandydata KO oznaczałoby ciężki kryzys polityczny, społeczny i moralny".

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

RĘKA GOWINA

O moralności było w tych dniach sporo. Pod zarzutem kradzieży z włamaniem policja aresztowała dwoje aktywistów, którzy w warszawskich wiatach przystankowych umieszczali plakaty krytyczne wobec ministra zdrowia. Za uczciwość tego ostatniego rękę dawał sobie uciąć Jarosław Gowin.

WYPADKI OCHRONIARZY

O tym dawno nie pisaliśmy: samochód techniczny Służby Ochrony Państwa na trasie kampanii Andrzeja Dudy uderzył w auto, w którym jechała rodzina z dwójką dzieci. Nikomu nic się nie stało, kierowcę SOP ukarano mandatem.

TYPY NASZE

Kamil Bortniczuk, Joachim Brudziński, Jacek Żalek, Andrzej Duda, Przemysław Czarnek, Tomasz Rzymkowski.

Z ziemi niemieckiej do Polski?

JEDNA TRZECIA z 35 tys. amerykańskich wojskowych, którzy stacjonują dziś w Niemczech, ma do jesieni opuścić bazy za Odrą. Informacja o tej decyzji Białego Domu, choć wciąż niepotwierdzona, wzbudziła większą konsternację w Stanach niż u naszego zachodniego sąsiada. Były dowódca sił USA w Europie gen. Ben Hodges zwrócił uwagę, że to nie Niemcy i NATO, lecz właśnie Stany czerpią największe profity z posiadania żołnierzy i infrastruktury wojskowej w Republice Federalnej. Baza lotnicza w Ramstein to ważny punkt logistyczny, stąd Amerykanie operują też dronami bojowymi, zaś żołnierze ranni w Afganistanie czy Syrii trafiają najpierw do szpitala w Landstuhl.

Perspektywa zmniejszenia sił USA nie wzburzyła niemieckiej opinii publicznej. Ta już dawno straciła nadzieję na zrozumienie motywów, którymi kieruje się prezydent Trump. „Taki właśnie on jest i nie ma sensu analizować jego osobowości, naznaczonej cechami psychopatologicznymi" – komentował Kurt Kister w „Süddeutsche Zeitung". Od początku prezydentury Trump stawiany jest w Niemczech w jednym szeregu z takimi autokratami jak Putin, Erdo an czy Bolsonaro. Jego tweety są paliwem dla partii lewicowych. Te nie miałyby nic przeciwko, gdyby Amerykanie faktycznie opuścili ich kraj, zabierając ze sobą także taktyczną broń atomową, której rozlokowanie na terenie RFN jest tajemnicą poliszynela.

Decyzja o wycofaniu wojsk, jeśli się potwierdzi, przyspieszy proces oddalania się od siebie Berlina i Waszyngtonu. A nabierze on tempa nie tylko wówczas, gdy Trump pozostanie w Białym Domu na drugą kadencję, lecz zwłaszcza po tym, jak w 2021 r. Angela Merkel przestanie być kanclerzem. To ona przez ostatnich 15 lat konsekwentnie zabiegała o dobre relacje z USA.

Przecieki nie mówią nic o dalszych losach żołnierzy. Czy czeka ich lot do domu, czy też przeniesienie do Polski? Jednak nawet w postulatach polskiego rządu zwiększenie sił USA nad Wisłą – niezależnie, czyim imieniem nazwiemy ich kolejne „forty" (już dziś w Polsce jest przecież kilkanaście amerykańskich baz) – nie miało polegać na podbieraniu ich innym krajom. A jeśli tak się stanie, trudno będzie mówić o wzmocnieniu NATO, które coraz bardziej cierpi nie z powodu zewnętrznych zagrożeń, lecz braku zaufania we własnych szeregach.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI z Lipska

Pandemia i migracja

POD KONIEC WIOSNY ponownie wzrosła liczba ludzi podejmujących z Turcji i północnej Afryki podróż do Europy. Frontex, unijna agencja ochrony granic, zarejestrowała w maju ok. 4,3 tys. osób – niemal trzy razy więcej niż w kwietniu. Wcześniej pandemia COVID-19 i związane z nią zamknięcia granic wyhamowały nielegalną migrację, nie była to jednak duża zmiana: łącznie w pierwszych pięciu miesiącach 2020 r. do Europy dotarło tylko 6 proc. mniej osób niż w tym samym okresie ubiegłego roku.

Istotniejszy wpływ na ruch na Morzu Śródziemnym mają teraz rosnące kłopoty gospodarcze Tunezji, gdzie pandemia uderzyła głównie w sektor turystyczny i usługi, w których, przeważnie nielegalnie, pracowali dotąd migranci z zachodniej Afryki. Do Europy dopływają też sami Tunezyjczycy – m.in. stanowili większość z ok. 400 osób, które pod koniec maja wysiadły z dwóch łodzi w okolicach Agrigento na Sycylii. To najliczniejsza od wielu miesięcy grupa, która dotarła do Włoch.

Coraz gorsza sytuacja w Libii – której symbolem jest m.in. odkrycie w minionym tygodniu masowych grobów w mieście Tarhuna, odbitym niedawno z rąk sił gen. Chalify Haftara, przywódcy rebelii przeciw rządowi w Trypolisie – stymuluje działalność przemytników ludzi. Jednak mimo wojny domowej kraj ten wciąż przyciąga migrantów z Nigru, Czadu i Egiptu. W lutym (ostatnie dane) ONZ szacowała ich liczbę na 654 tys. osób. 83 proc. z nich pracuje, wysyłając rodzinom w kraju równowartość średnio 160 dolarów miesięcznie.

Zdaniem Fronteksu niestabilna sytuacja w Maghrebie i spodziewany za kilkanaście tygodni kryzys żywnościowy w Sahelu – wywołany pandemią – zwiększą liczbę podróży do Europy. Szykują się na to Komisja Europejska i Niemcy, które 1 lipca przejmują przewodnictwo w Unii. Wkrótce zostaną ogłoszone założenia nowej wspólnej polityki azylowej. Ma to być pierwsza od czterech lat propozycja (po niezrealizowanym planie Brukseli osiedlania migrantów we wszystkich państwach członkowskich) solidarnej pomocy dla Włoch i Grecji, dokąd dociera większość migrantów.

©℗ MARCIN ŻYŁA

LILLIAN SUWANRUMPHA / AFP / EAST NEWS

PARALIŻ PRZEMYSŁU TURYSTYCZNEGO, który w Tajlandii odpowiada za aż 17 proc. PKB, zmusił tamtejszych hodowców słoni do wypuszczenia około tysiąca oswojonych zwierząt do lasów. Dla słoni, które do tej pory zarabiały na swoich właścicieli w parkach rozrywki lub jako środek transportu podczas wycieczek po dżungli, w bieżącym, martwym sezonie turystycznym zabrakło pracy i właściciele nie są w stanie ich wyżywić. Władze obawiają się z kolei, że przyzwyczajone do ludzi zwierzęta mogą w przyszłości nadal szukać pożywienia w pobliżu ludzkich osad i stanowić zagrożenie dla mieszkańców. ©℗ MR

TREVOR COLLENS / AFP / EAST NEWS

Australia: policja, przemoc i rdzenni mieszkańcy

ŚWIATOWE PROTESTY, dla których impulsem była śmierć Amerykanina George'a Floyda (piszemy o tym w dziale Świat), nie ominęły Australii: ulicami Sydney, Melbourne, Perth (na zdjęciu) i innych miast przeszły w tych dniach wielotysięczne marsze. Australijskie demonstracje przeciw brutalności policji i rasizmowi mają jednak szczególny wydźwięk, bo kraj ten ma podobny problem: długą listę rdzennych mieszkańców, którzy zginęli podczas aresztowania lub w areszcie.

Również zdanie „Nie mogę oddychać"– ostatnie słowa Floyda i hasło protestów – brzmi dla Australijczyków szczególnie. W 2015 r. to samo powtarzał, umierając w celi, 26-letni David Dungay Jr., gdy pięciu strażników trzymało go twarzą do ziemi. „Skoro możesz mówić, to możesz oddychać" – powiedział jeden z nich. Teraz o śmierci syna przypominała na marszu w Sydney jego matka, która nadal walczy o sprawiedliwość. W marszu uczestniczył też Warren Day, którego matka Tanya zmarła w areszcie. „Chcemy tylko sprawiedliwości i traktowania nas na równi z innymi obywatelami. Chyba nie prosimy o zbyt wiele?" – mówił.

Problem nie jest tu nowy. Już pod koniec lat 80. XX w. zajmowała się nim specjalna komisja, która ustaliła m.in., że rdzenni mieszkańcy trafiają do aresztu znacznie częściej niż inni Australijczycy. Rekomendacje komisji częściowo wdrożono, ale niewiele się zmieniło. Rdzenni Australijczycy wciąż trafiają do więzienia częściej niż pozostali (mężczyźni 15 razy częściej, kobiety aż 22 razy częściej) i nadal giną w dziwnych okolicznościach. Od 1991 r. media naliczyły aż 430 takich zgonów. Oto kilka z roku 2019: policjant zastrzelił 19-letniego Kumanjayia Walkera w jego domu; inny 20-latek spadł z wysokości 10 metrów, gdy był eskortowany przez policję; aresztowana za drobną kradzież Veronica Walker zmarła w areszcie. Traf chciał, że 6 czerwca, gdy ulicami szły demonstracje, potwierdzono wiadomość o śmierci kolejnego aresztanta.

Niektórzy rdzenni Australijczycy pytają, dlaczego trzeba było śmierci za oceanem, by sobie o nich przypomniano.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KOBIETY W WATYKANIE
Prorektor Uniwersytetu Katolickiego Najświętszego Serca w Mediolanie prof. Antonella Sciarrone Alibrandi została członkiem Rady Kierowniczej watykańskiego Urzędu Informacji Finansowej, a Raffaella Vincenti awansowała ze stanowiska sekretarza na stanowisko dyrektora biura Biblioteki Watykańskiej.

PODZIAŁ W KOŚCIELE
S. Małgorzata Borkowska dla KAI: „Epidemia podkreśliła pewien podział w Kościele polskim, który już i tak był dawno, nazwijmy go: na rozsądnych i podskakujących. Ci pierwsi umieli przyjąć spokojnie kościelne i rządowe restrykcje (...). Ci drudzy rzucili się krytykować, co popadło".

BEN BIRCHALL / PA / EAST NEWS

WIRUS W PERU
Arcybiskup Limy Carlos Castillo odprawił mszę w katedrze, w której woluntariusze przypięli do ławek i kolumn wizerunki ok. 5000 ofiar koronawirusa w Peru (na zdjęciu). W homilii skrytykował system opieki społecznej, który pozostawił bez pomocy wielu potrzebujących. W peruwiańskiej części Amazonii Indianom pomagają m.in. polskie świeckie misjonarki, zbierając pieniądze na pomagam.pl pod hasłem „COVID-19 dusi dżunglę". 10 tys. dolarów przekazał na ten cel papież Franciszek.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Biskupi niesłusznie bagatelizują epidemię

DO NORMALNOŚCI JESZCZE DALEKO, mimo pozorów wywołanych odmrażaniem gospodarki. Trzeba się raczej szykować na drugą falę infekcji. Najbardziej zagrożeni są starsi i przewlekle chorzy, dla których zapalenie płuc wywoływane przez SARS-CoV-2 może być śmiertelne. Według ekspertów ogniskami infekcji będą przede wszystkim galerie handlowe, domy weselne, stadiony i kościoły – czyli miejsca, gdzie tworzą się skupiska.

Tymczasem na mszach wierni na ogół tłoczą się w kościele. Wyróżniają się proboszczowie, którzy zapewnili nagłośnienie na zewnątrz i wychodzą tam z komunią. Część biskupów pozwoliła na organizowanie procesji Bożego Ciała tylko dookoła świątyni. W diecezjach krakowskiej, opolskiej czy białostockiej przeszły one jednak ulicami miast. Abp Marek Jędraszewski (na zdjęciu) zachęcał do „licznego udziału". Abp Stanisław Gądecki powiedział natomiast: „Boimy się witać uściskiem ręki, lękamy się bliskości w kolejce, stresujemy się spotykając kaszlącą osobę. Dziadkowie boją się wnuków, wnuki dziadków. Potrzeba czasu, aby odbudować (...) życie społeczne, w tym pełne praktykowanie wiary".

Tak, w środku pandemii wszystkie te aktywności grożą transmisją wirusa. Memento dla Kościoła powinny stanowić wydarzenia z Tuchowa, gdzie podczas święceń w klasztorze redemptorystów doszło do rozniesienia infekcji. Jeśli – jak zapewniają zakonnicy – przestrzegano restrykcji sanitarnych, to tym gorzej: świadczy to o zagrożeniu, jakie stanowi nawet jedna chora osoba.

Już mnożą się apele lokalnych sanepidów, by zgłosili się uczestnicy danej mszy w celu objęcia nadzorem epidemiologicznym. Bo do kościoła przyszedł ktoś zakażony. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Więcej także w dziale Kraj.

Strzał ostrzegawczy włoskiego episkopatu

OSTRO I NIESPODZIEWANIE zaprotestowali włoscy biskupi przeciwko projektowi nowego prawa o homofobii w ich kraju. Tak otwarta krytyka nie zdarza się często, zwłaszcza odkąd papież przemeblował sekretariat episkopatu, umieszczając w nim przeciwników angażowania się Kościoła w politykę. Można więc przypuszczać, że był informowany o zamiarach biskupów.

Pretekstem stał się jeden ze zmienianych paragrafów kodeksu karnego, który zabrania nie tylko dyskryminacji, ale też „propagowania idei wyższości" z powodów rasowych, etnicznych i religijnych (w poprawce mają zostać dopisane słowa: „także ze względu na tożsamość płciową i orientację seksualną"). Biskupi twierdzą, że w takiej sytuacji nauczanie Kościoła o małżeństwie jako związku mężczyzny i kobiety czy też o rodzinie złożonej z matki, ojca i dziecka będzie uważane za dyskryminujące. W gruncie rzeczy jednak chodzi o to, że Kościół – nawet ten otwarty, z twarzą Franciszka przyjmującego w Watykanie osoby LGBT – nie zgodzi się na zrównanie w prawach związków osób homoseksualnych z tradycyjnym małżeństwem i rodziną. Ostre słowa episkopatu to strzał ostrzegawczy, by do tej granicy nikt nawet nie próbował się zbliżać.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Ukryta niewiara Polaków

NAJNOWSZE BADANIA RELIGIJNOŚCI, cyklicznie wykonywane przez CBOS, wskazują, że jako wierzący określa się ok. 90 proc. społeczeństwa. Liczba ta jest stabilna od wielu lat. W ostatnim dziesięcioleciu nastąpił jednak spadek deklarujących regularne uczestnictwo w nabożeństwach religijnych o ok. 10 proc. – z prawie 60 do niespełna 50 proc. Warto przy tym pamiętać, że w porównaniu do liczby wiernych realnie liczonych podczas mszy przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego to deklaratywne uczestnictwo wydaje się zawyżone – wedle ISKK w mszach bierze udział ostatnio 37 proc. wiernych.

Dyrektor ISKK ks. Wojciech Sadłoń uznał, że spadek liczby praktykujących przy utrzymującym się procencie osób określających się jako wierzące wskazuje nie tyle na sekularyzację, co indywidualizację wiary Polaków. Jest w tym sporo racji. Jednak nie można pominąć niemal dwukrotnego wzrostu liczby zdecydowanie określających się jako niewierzący (z 4 proc. w 2007 r. do 8 proc. w 2019 r.). Jednocześnie tylko 8 proc. (stabilna liczba na przestrzeni lat) uznaje się za głęboko wierzących. Być może więc Polska jest już dawno zsekularyzowana, a spadek praktyk religijnych i wzrost liczby świadomych ateistów tylko ten stan ujawnia. ©℗ PIOTR SIKORA

BEW

Rola służącej

„STOP CENZURZE” – grzmiał senator Ted Cruz, a prawicowy portal Breitbart News ogłosił: „Taliban zwyciężył” po tym, jak HBO Max czasowo zdjęło z platformy film „Przeminęło z wiatrem”. Jak wyjaśniano, film przedstawia „uprzedzenia rasowe, które były złe wtedy i złe są nadal”. Film wróci, ale poprzedzony historyczną dyskusją.

Spór toczy się w kontekście wielkich antyrasistowskich demonstracji i wiele mówi o USA. Ale dzisiejszą Amerykę pomaga też zrozumieć historia Hattie McDaniel – gwiazdy tego filmu, odtwórczyni roli Mammy (na zdjęciu). Z powodu przepisów o segregacji rasowej nie mogła wziąć udziału w uroczystej premierze w Atlancie, a gdy została pierwszą Afroamerykanką nominowaną do Oscara, nie chciano jej wpuścić do hotelu. Podczas gali przydzielono jej stolik na tyłach. Zwyciężyła, musiała jednak minąć dekada, by kolejny Afroamerykanin dostał nominację, i aż 24 lata, by statuetkę odebrał Sidney Poitier.

Krytykowali ją także Afroamerykanie: Walter Francis White, przewodniczący Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Popierania Ludności Kolorowej, nazwał ją „wujem Tomem”, sugerując, że w zamian za społeczny awans wspiera system. Odparła, że „woli zarabiać 700 dolarów tygodniowo grając służącą niż siedem dolarów będąc służącą”. Nie było w tym metafory: mogła w zasadzie grać wyłącznie służące. Chciała spocząć na Hollywood Cemetery. Życzenia nie spełniono. To też było miejsce tylko dla białych.

Decyzja HBO niczego filmowi nie ujmie. Może za to uświadomić widzom, że – jak powiedział William Faulkner – „Przeszłość nie umiera nigdy. Właściwie nawet nie jest przeszłością”.

© AGATA KAŹMIERSKA

Więcej na powszech.net/hattie

KULTURA W SKRÓCIE

AMSTERDAM
Polskiego krytyka sztuki Adama Szymczyka oraz wykładowczynię akademicką i redaktorkę Yvette Mutumbę powołano na stanowiska kuratorów muzeum Stedelijk. Muzeum Miejskie Amsterdamu posiada jedną z najważniejszych kolekcji sztuki nowoczesnej. Szymczyk był dotąd dyrektorem artystycznym najwyżej cenionych wystaw sztuki współczesnej, a w 2016 r. znalazł się na drugim miejscu listy najbardziej wpływowych kuratorów świata sztuki magazynu „ArtReview”.

BEN BIRCHALL / PA / EAST NEWS

LONDYN
Nie tylko w USA demonstranci dekapitują pomniki postaci kojarzonych z kolonizacją i utrzymywaniem niewolnictwa. Śmierć George’a Floyda wywołała masowe protesty także w Europie. Posągi straciły już m.in. Antwerpia (króla Leopolda II), Bristol (Edwarda Colstona – na zdjęciu) oraz Londyn, którego burmistrz Sadiq Khan w odpowiedzi na zamieszki zarządził przegląd pomników i nazw ulic w całym mieście.

POZNAŃ
Mimo że instytucje kultury w Polsce powoli wznawiają działalność, ich rozruch może być trudniejszy, niż zakładano. Pod koniec kwietnia prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak obiecał, że nie będzie oszczędzał na kulturze. Miesiąc później urząd miasta wysłał instytucjom kultury informację o planowanych na 4 mln zł cięciach wydatków.

Szczepionek i aborcji nie łączy moralna więź

ŁUKASZ LAMŻA

Organizacje religijne i antyaborcyjne w USA i Kanadzie protestują przeciwko wykorzystywaniu linii komórkowych z abortowanych płodów przy opracowywaniu szczepionki przeciwko COVID-19, co miałoby prowadzić do dylematów moralnych.

Linie komórkowe to populacje komórek, również ludzkich, wyizolowane z organizmu i namnażane w kontrolowanych warunkach. Niektóre mają dziesiątki lat. Komórki takie wykorzystuje się jako „laboratoria”, w których wytwarza się m.in. składniki szczepionek. W tym przypadku kontrowersje budzi zwłaszcza linia HEK-293: komórki nerki pobrane w 1972 r. z abortowanego płodu i powszechnie wykorzystywane od tego czasu przez biotechnologów – w tym kilka zespołów pracujących nad szczepionką przeciw COVID-19.

Papieska Akademia Życia wypowiedziała się na ten temat oficjalnie w 2005 i 2017 r., stwierdzając, że wykorzystywane dziś linie są „bardzo odległe od pierwotnych aborcji”, co oznacza, że nie występuje już „więź moralna” charakteryzująca działanie negatywne moralnie. W zaleceniu dla wiernych padają następujące słowa: „Uważamy, że wszystkie zalecane klinicznie szczepionki mogą być przyjmowane z czystym sumieniem, a ich stosowanie nie oznacza jakiegokolwiek współudziału w aborcji na życzenie”. ©℗

Włosy z probówki

ZESPÓŁ BADAWCZY kierowany przez Karla Koehlera wyhodował właśnie włosy, korzystając z ludzkich komórek macierzystych. Wcześniej, w 2004 r. Rebecca Morris i współpracownicy jako pierwsi osiągnęli taki rezultat, ale za pomocą komórek macierzystych wyizolowanych z mysiej skóry.

Badacze zaczęli od wyhodowania w laboratorium tzw. organoidów skóry, czyli samoorganizujących się tkanek. Tworzą się one z pluripotencjalnych komórek macierzystych – czyli takich, które potrafią przemieniać się w każdy rodzaj komórki. Badaczom udało się tak posterować rozwojem organoidów, by wykształciły się w nich komórki budujące dwie warstwy: naskórek oraz skórę właściwą. Po 70 dniach powstały także mieszki włosowe – rurkowate otwory, w których w końcu pojawiły się upragnione włosy, wraz ze wszystkimi innymi strukturami niezbędnymi do ich podtrzymywania.

Naukowcom udało się już z powodzeniem przeszczepić wyhodowane tkanki myszom, ale ich eksperyment otwiera także drogę do wielu innych badań dotyczących chorób skóry.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

TEMAT TYGODNIKA

PARADA NIERÓWNOŚCI

ADAM BODNAR, RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH:

W mojej pracy widzę bardzo wyraźnie, że na potępianiu „ideologii" cierpią konkretni ludzie. Podejmują próby samobójcze, cierpią psychicznie, bywają fizycznie prześladowani, emigrują.

MICHAŁ OKOŃSKI: Co ja widzę na Pańskim biurku – „Lech Kaczyński. Biografia polityczna" Sławomira Cenckiewicza?

ADAM BODNAR: Wdałem się w intensywną dyskusję na Twitterze z Januszem Kowalskim, wiceministrem aktywów państwowych, który jest jej współautorem. Zaproponowałem mu lekturę mojej książki „Obywatel PL", w której jest kilka przemyśleń na temat nadzoru nad spółkami Skarbu Państwa. Nie dość, że podjął rękawicę, to jeszcze przysłał mi tę biografię z dedykacją.

No to mam odpowiedź na jedno z pytań: czy jest nadzieja na podniesienie poziomu debaty publicznej w kraju?

GRAŻYNA MAKARA

Adam Bodnar na Slot Art Festival, opactwo cystersów w Lubiążu, lipiec 2019 r.

Bardzo miły gest. I oczywiście zamierzam książkę przeczytać. Ciekawe, co napisali o zakazie parady równości w Warszawie za prezydentury Lecha Kaczyńskiego.

No to mam od razu odpowiedź na pytanie kolejne: czy to prawda, że jest Pan rzecznikiem głównie osób LGBT+?

A tutaj trafił pan kulą w płot. Moja polemika z panem ministrem była w obronie nie osób LGBT+, tylko „Tygodnika Powszechnego". On skrytykował artykuł Kaliny Błażejowskiej, która analizowała obecność tej tematyki w kampanii wyborczej: mówił, że założyciel „TP" kardynał Sapieha w grobie się przewraca, a ja przypomniałem mu o zakazie dyskryminacji i świetnej akcji „Przekażcie sobie znak pokoju".

Polemiki to w ogóle Pana specjalność. Te z rzecznikiem praw dziecka są doprawdy malownicze.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłem po wyborze pana Mikołaja Pawlaka na urząd rzecznika praw dziecka, było zaproszenie go do rozmowy na temat jego projektu wprowadzenia alimentów natychmiastowych. Ja w ogóle uważam się za człowieka otwartego na dialog. Jak kiedyś „Gazeta Polska" czy „Sieci" poprosiły o wywiad – chętnie udzieliłem. Ale trudno, żebym się nie odzywał, jeśli rzecznik praw dziecka kłamie, że nie interesowałem się sprawą pedofilii w sopockiej Zatoce Sztuki, skoro zajmowałem się nią konsekwentnie od 2015 r. Podobnie rzecz się ma ze sporem wokół edukacji seksualnej: dlaczego mam przyjmować spokojnie uwagi typu: „Ręce precz od łóżek naszych dzieci"?

Jeszcze jedno pytanie Pan uprzedza: dlaczego ten temat stał się centralną kwestią w kolejnej kampanii wyborczej?

Bo działa na społeczne lęki i emocje. Bo w narracji środowisk prawicowych udało się połączyć problem homoseksualizmu z pedofilią i jeszcze z edukacją seksualną. Ci, którzy ulegają tej narracji, boją się nie osób homoseksualnych jako takich, tylko jakiejś bezosobowej „ideologii LGBT" (przypomnijmy, że ten skrót określa jedynie osoby o określonej orientacji seksualnej i tożsamości płciowej, a nie jakąkolwiek „ideologię"). A jeśli boją się osób homoseksualnych, to dlatego, że uwierzyli w opowieść o tym, że mogą skrzywdzić ich dzieci. Problem w tym, że mówienie o związku między homoseksualizmem a pedofilią to brednia.

Widzę też inne skojarzenie: pedofil to ksiądz, nie osoba homoseksualna. W kontekście pedofilii mówi się głównie o ludziach Kościoła.

Sprawcy pedofilii ponoszą w Polsce indywidualną odpowiedzialność. Jeżeli zostali złapani, nie ma znaczenia: ksiądz czy nie ksiądz. Dużym tematem jest oczywiście kwestia odpowiedzialności instytucjonalnej Kościoła, ale widać tu zmiany i dlatego nie zgadzam się z głosami, że od czasu pierwszego filmu Sekielskich nic się wydarzyło. Sąd Najwyższy wydał np. ostateczny wyrok w sprawie milionowego zadośćuczynienia, które chrystusowcy mają zapłacić ofierze jednego z członków tego zakonu. Być może powodem, dla którego temat tak porusza opinię publiczną, jest pytanie, na ile osoby mające jakąś wiedzę na temat sprawców dotąd niewykrytych nadają ich sprawom bieg, a na ile próbują ich kryć – to temat drugiego filmu Sekielskich.

Mówiąc o Kościele i pedofilii, nie chciałbym jednak generalizować. Przyznam, że było dla mnie odkryciem uświadomienie sobie stopnia autonomii poszczególnych diecezji. Widzę, że abp Wojciech Polak może stawać na głowie, mówić najpiękniejsze rzeczy, wspierać działalność „Zranionych w Kościele", ale to się nie musi przekładać na rzeczywistość, powiedzmy, Kościoła kaliskiego. A jeżeli gdzieś lokalny biskup czy proboszcz jest znajomym lokalnego prokuratora, przedstawiciele państwa mogą mieć skrępowane ręce.

Pan co najmniej parę razy pisał po filmie Sekielskich do prokuratury.

Dostawałem formalne odpowiedzi, które niewiele zmieniały.

A do kurii biskupich Pan pisze?

Metropolitę krakowskiego pytałem np. o sprawę zwolnionych pracownic jego biura prasowego. Zastrzegłem, że sprawy wewnątrzkościelne nie należą do moich kompetencji, ale jednak chciałbym sprawdzić, czy nie doszło do dyskryminacji. Dostałem kompleksową odpowiedź. ↦

↦ **Czasem sobie myślę, że w dziwnym kraju żyjemy. Kościół ma potężną pozycję, władze starają się dobrze żyć z biskupami, a wielu katolików ma poczucie, że są dyskryminowani ze względu na wyznawaną wiarę: że się ich wyszydza w mediach albo w miejscach pracy.**

Jeżeli dostajemy takie sygnały, to je podejmujemy. Zawsze zajmujemy się atakowanymi świątyniami czy księżmi. Przygotowaliśmy też raport „Dyskryminacja ze względu na wyznanie w miejscu pracy". Kiedy zajmowaliśmy się głośną sprawą pracownika Ikei, zwolnionego za homofobiczne wypowiedzi motywowane Biblią, mówiłem, że zdaję sobie sprawę, iż miejsce pracy może być nadmiernie sekularne. Tamten przypadek był jednak specyficzny. Po pierwsze, ów pracownik podpisał deklarację, że będzie szanował panujące w firmie zasady, po drugie, nawet po tych wypowiedziach dawano mu szansę. Inspekcja Pracy nie wykazała w działaniu Ikei żadnych nieprawidłowości.

Jeśli pan czytał książkę „Obywatel PL", wie pan, że mimo przyklejanej mi gęby „lewaka" o Kościele wypowiadam się z szacunkiem. Ba, zysk ze sprzedaży tej książki idzie na Kamiliańską Misję Pomocy Społecznej.

Dziwny kraj, w którym ludzie uważani za lewaków zapewniają, że szanują Kościół.

Dziwny kraj, w którym lewica nie podejmuje tematów wielu podstawowych wykluczeń. Nie zastanawiał się pan nigdy nad tym, dlaczego to przede wszystkim Kościół zajmuje się w Polsce hospicjami? Jak ludzie chcą umierać w godnych warunkach, to się tym tematem nie zajmujemy, bo jest za mało progresywny? Dobrze, że walczymy ze śmieciówkami i prekariatem, ale tymi najbardziej wykluczonymi w Polsce, żyjącymi w skrajnym ubóstwie albo w kryzysie bezdomności, zajmują się przede wszystkim instytucje kościelne.

W ogóle jak mówimy o prawach człowieka, to przecież nie mówimy o wartościach progresywnych i zachodnich, tylko o wartościach zapisanych w naszej konstytucji i wynikających z doświadczenia czasów, w których były łamane – mowa o tym w preambule. Dlaczego Grzegorz Przemyk, zamordowany w stanie wojennym student, ma być bohaterem prawicy? Dlaczego bohaterami prawicy, i to często skrajnej, są „żołnierze wyklęci"? Nie mówię o zbrodniarzu „Burym", ale o ludziach, których torturowano i którzy ginęli w stalinowskich więzieniach. Dlaczego Witold Pilecki, który ryzykował życiem, aby odkryć tragedię Auschwitz, nie jest na sztandarach lewicy?

Coś zresztą panu przeczytam, z programu pewnej partii politycznej. „Zainicjujemy rozwiązania legislacyjne, podniesiemy obowiązujące standardy w Kodeksie pracy, pracodawcy będą przeprowadzać ankiety dotyczące wynagrodzeń co dwa lata w celu zapobiegania nieuzasadnionym różnicom wynagrodzeń zatrudnienia kobiet i mężczyzn". Zgadnie pan, jaka to partia?

Żeby zagadka nie była za łatwa, muszę odpowiedzieć: „PiS".

I będzie to dobra odpowiedź. Aktualny program partii, o której się mówi, że tematom genderowym jest nieprzyjazna. Partii, która odpowiedziała na postulaty lepszych standardów opieki okołoporodowej, a ostatnio doprowadziła do nowelizacji ustawy o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet – wprowadzenia zasady izolacji sprawcy od ofiary, nawet jeśli wiąże się to z nakazem wyprowadzki z własnego mieszkania. Partii, która potrafi zachowywać się pragmatycznie: rozwiązywać problemy albo przejmować postulaty rywali, choć jest bardzo wstrzemięźliwa wobec praw kobiet na poziomie ideologicznym.

Politycy opozycji uczą się na własnych błędach?

Jeżeli dopiero w połowie 2020 r. czytam w „Gazecie Wyborczej" tekst jednego z liderów rządu Donalda Tuska – mam na myśli Bartłomieja Sienkiewicza – po którym mam poczucie, że zaczyna rozumieć Polskę, to z jednej strony się cieszę, a z drugiej myślę, co robił wcześniej. Nie czytał analiz Macieja Gduli o „dobrej zmianie" w Miastku? Nie zauważył, że emigracja ma swoje konsekwencje, takie jak drenaż mózgów czy podział w rodzinach? Że Polska wielkich miast nie jest tym samym co Polska miasteczek? Że PiS nie jest partią reprezentującą ludzi, którzy mają mniejszą świadomość obywatelską, tylko raczej grupę obywateli, którzy mają potrzebę bycia zauważonymi i obdarzonymi uznaniem?

O, zapalił się Pan.

Widzi pan tę mapę za moimi plecami? Pinezki oznaczają miejscowości, które odwiedziłem jako rzecznik. Ponad 200.

Dużo. Jaką Polskę zasłaniają?

W „Tygodniku" akurat nie będziecie zaskoczeni odpowiedziami. Piszecie np. o wykluczeniu transportowym. Albo o wykluczeniu seniorów czy osób z niepełnosprawnościami. Ale jak pan pyta o polityków opozycji: ja bym powiedział, że wszystkie partie za mało się otwierają na świat. Logika duopolu powoduje myślenie w kategoriach ciągłego sporu, a nie w kategoriach rozwiązywania problemów. Za politykami nie stoją też porządne zaplecza intelektualne. A na stronie Instytutu Obywatelskiego, czyli think tanku PO, ostatnie analizy pochodzą sprzed dwóch lat.

Wie pan, chodzę do Sejmu i Senatu i składam sprawozdania roczne.

Wiem, widuję te puste ławy rządzących.

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem żegnamy zmarłego 9 czerwca w wieku 90 lat

Adama Wodnickiego

artystę i pisarza, profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, współtwórcę wydawnictwa Austeria, świetnego tłumacza literatury francuskiej, autora niezrównanych esejów o Prowansji i dziedzictwie Śródziemnomorza.

Pani Marii składamy wyrazy najszczerszego współczucia

Redakcja i Fundacja Tygodnika Powszechnego

Nie tylko rządzących. Często jest tak, że idę korytarzem, spotykam jakiegoś parlamentarzystę opozycji, który klepie mnie po plecach i mówi: „Panie rzeczniku, dobrą pracę pan robi, gratuluję, ale ja już muszę iść". Myślę sobie wtedy: „Ale zaraz, przecież to, co ja sygnalizuję, jest dla niego festiwalem okazji". Na komisjach i na posiedzeniach plenarnych można zadawać mi pytania, a tu co? Pytań o przemoc policji brak. O sytuację w więzieniach brak. O DPS-y brak. O wykluczenie transportowe brak. O różne sprawy lokalne. Przecież to wszystko mogą być kampanijne ściągawki.

Bo tak w ogóle to chciałem zapytać, czy mam iść głosować 28 czerwca. Ustawa, na mocy której wybory zostaną przeprowadzone, wydaje się niekonstytucyjna nawet dla laika.

Na pana miejscu zważyłbym dwie racje, konstytucyjną właśnie, ale też polityczną. Dla niektórych naruszenie konstytucji, z jakim mamy do czynienia, jest na tyle istotne, że mogą nie chcieć do tego przykładać ręki. Inni znowu powiedzą, że doszło jednak do politycznego porozumienia ponad podziałami, które umożliwia wybór prezydenta, i że to pozwala uleczyć konstytucyjne rany.

Nie boi się Pan, że każdy przegrany może podważać ważność wyborów?

Jeśli się już zdecydował wziąć udział, będzie mu trudno, no chyba że uderzy w kwestie czasu antenowego w mediach publicznych, gdzie przewaga prezydenta nie pozwala mówić o równości. Większym problemem są ewentualne protesty tych, którym trudno będzie głosować, bo np. w ostatniej chwili ze względu na pandemię w ich gminie wybory będą korespondencyjne, a oni nie zdążą dopełnić formalności. Podobnie za granicą, gdzie ze względu na odległości, np. w krajach tak wielkich jak Kanada, może nie starczyć czasu na obieg przesyłek. A zupełnie odrębna kwestia dotyczy biernego prawa wyborczego.

Nie rozumiem.

Ustawa, która umożliwia głosowanie 28 czerwca, pozwoliła wymienić tylko jedną kandydatkę. Dlaczego? Przecież teoretycznie pan też mógłby w nowej sytuacji wyrazić wolę kandydowania. Ma pan skończone 35 lat i pełnię praw publicznych?

GRAŻYNA MAKARA

Zasada równości wobec prawa była w trakcie epidemii naruszana wielokrotnie i na wielu poziomach. Wyborów 28 czerwca być nie powinno.

Mam. Bardzo to lubię.

Tylko nie ma pan możliwości zebrania stu tysięcy podpisów w 7 dni. Do tego trzeba być kandydatem partii z ogólnopolskimi strukturami.

W świetle konstytucji mamy do czynienia z całkowicie nowymi wyborami, a w związku z tym wszyscy powinni mieć równe prawa. A tu prawa są nierówne już w punkcie startu, zaś przywileje kandydatów, którzy zgłosili się do poprzednich, są oczywiste. Przed naszą rozmową przeczytałem stanowisko Fundacji Batorego w tej sprawie i się zirytowałem. Napisali, że „ustawodawca nie zapewnił równych szans wszystkim kandydatom", a potem przeszli do krytyki TVP. Dlaczego zajmują się tylko kandydatami? A co z równymi szansami jakichś 20 milionów obywatelek i obywateli, którzy teoretycznie też mogliby chcieć kandydować? To jest ważne, bo chodzi o poszanowanie pryncypiów, nawet jeśli politycznie mogą nie mieć znaczenia.

Ciekawe, że nie mówi Pan o tym, że głosowanie może być dla mnie niebezpieczne.

Wierzę, że PKW i gminy zrobią wszystko, co w ich mocy, aby pod względem sanitarnym zabezpieczyć wybory. Ale liczę się też z tym, że w ciągu najbliższych dni może zostać wprowadzony stan nadzwyczajny i wyborów nie będzie.

Przecież mówił Pan, że jest porozumienie polityczne.

A jedna ze stron tego porozumienia nie może wywrócić stolika? Przypomnieć, że przecież wszyscy się tego domagaliśmy? Powiedzieć: przepraszamy, krzywa się nie spłaszcza, a zachorowań jest więcej niż wtedy, kiedy wybory nie mogły się odbyć?

Wprowadzenie stanu nadzwyczajnego i nieorganizowanie wyborów, nawet jeśli związane raczej ze spłaszczeniem krzywej poparcia dla kandydata władzy, może pozwolić ograniczyć rozwój pandemii.

Dlatego w takiej sytuacji nie będę protestował. Uważam, że od tygodni żyjemy w sytuacji, która uzasadnia wprowadzenie stanu nadzwyczajnego. I nie warunkuję tej opinii od tego, któremu z kandydatów się spodoba, a któremu zaszkodzi. Próbuję myśleć w kategoriach konstytucyjnych.

Czyli nie powinno być tych wyborów.

Uważam, że powinniśmy byli doczekać do 6 sierpnia i końca kadencji Andrzeja Dudy, a potem ogłosić wybory od nowa, z równymi szansami dla wszystkich i zbieraniem podpisów od zera. Być może wprowadzając mechanizm odszkodowań dla kandydatów, którzy ponieśli w ostatnich miesiącach wydatki i nie ze swojej winy nie mogli do wyborów przystąpić. I pod warunkiem, że epidemia by wygasła.

W ramach akcji Hot16Challenge2 rapował Pan m.in.: „Konstytucja to dla mnie wersy modlitwy". Ja to rozumiem tak, że ustawę zasadniczą traktujemy jak świętość i dogmat. Tylko problem ostatniego czasu polega na tym, że nie mamy Kongregacji Nauki Wiary, która by ten dogmat interpretowała.

Naukowcy, środowiska prawnicze, sędziowie są w ogromnej większości zgodni ↦

↦ w swoich interpretacjach konstytucji. Tylko muszą się mierzyć z jej wulgaryzacją, czytaniem na opak albo literalnie, bez zrozumienia ducha i istoty. No i z tym, że nie ma tej niezależnej instytucji, która mogłaby wydać ostateczny sąd.

Ale jak pan wspomniał Kongregację Nauki Wiary... Czy ona nie mówi, że powinien być szacunek dla osób homoseksualnych?

Mówi.

W Polsce jakoś nie słyszę o tej interpretacji.

Moim zdaniem ona jest obowiązująca.

A te wszystkie słowa o „tęczowej zarazie"?

Ich autorzy mówią, że nie potępiają grzeszników, tylko grzech. Albo „ideologię".

Rozwodnicy, mam wrażenie, nie są potępiani równie ostro, przeciwnie: szuka się im drogi powrotu do sakramentów, choć przecież też grzeszą. Co gorsza – i w mojej pracy widzę to bardzo wyraźnie – na potępianiu grzechu czy „ideologii" cierpią konkretni ludzie. Podejmują próby samobójcze, cierpią psychicznie, bywają fizycznie prześladowani, emigrują. Dlatego żadne okoliczności, także kampania wyborcza, nie mogą być uzasadnieniem dla dehumanizacji grupy społecznej i homofobicznej retoryki.

Pan mówi: konstytucja jest dla mnie jak wersy modlitwy, ale konstytucja mówi, że może ją interpretować Trybunał Konstytucyjny. Co robić, kiedy Trybunał przestał być niezależny?

Nie będzie efektownej odpowiedzi: liczyć na to, że kiedyś odzyska znaczenie. Może to zajmie 10 lat, może 20, ale kiedyś znów będziemy mieli arbitra niezależnego od władzy wykonawczej i ustawodawczej.

A teraz?

Wielką rolę mają sądy, które robią, co mogą, podejmując np. uchwały w większych składach i stosując bezpośrednio konstytucję. A ostatnią instancją jest Trybunał Sprawiedliwości UE.

Którego postanowień rząd nie wykonuje.

Na razie. Minęły dwa miesiące od postanowienia w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Liczę, że zostanie wykonane, zwłaszcza że Polska też ma swoje interesy, o które może się na forum unijnych instytucji upominać. Przypomnę choćby sprawę niemieckiego rurociągu OPAL, który miał być wykorzystywany przez Gazprom. Zakwestionowaliśmy to przed Trybunałem Sprawiedliwości i wygraliśmy. Trybunał stwierdził naruszenie zasady solidarności energetycznej.

Jest oczywiście pewna trudność związana z relacją między TSUE a sądami konstytucyjnymi państw członkowskich: niemiecki trybunał w Karlsruhe uznał, że nie czuje się związany wyrokami trybunału unijnego, co rzecz jasna pomaga podobnym instytucjom w Polsce i na Węgrzech.

Dla mnie to jeszcze bardziej skomplikowane. TSUE mówi, że Izba Dyscyplinarna nie powinna orzekać, a Izba właśnie odmówiła uchylenia immunitetu sędziego Tulei. Czyli podjęła dobrą decyzję.

Na pewno należy się cieszyć, że sędzia Tuleya ma chwilę spokoju. Ale kłopoty z Izbą Dyscyplinarną mogą mieć też inni sędziowie.

Jeżeli ustawa kagańcowa zacznie działać – bo choć formalnie obowiązuje, faktycznie w zakresie „uciszania sędziów" nie jest jeszcze stosowana – podobnych spraw mogą być dziesiątki, a opinia publiczna nie będzie się im przyglądać równie bacznie jak sprawie Tulei. Kto pamięta o zawieszonym i pozbawionym zarobków sędzim Juszczyszynie? A o sędzim Żurku, który napisał do mnie właśnie, że w jego procesie o podział majątku z byłą żoną skargę nadzwyczajną do Sądu Najwyższego wniósł prokurator generalny? Przecież to jest narzędzie, które powinno się stosować niesłychanie rzadko i wyłącznie w sprawach wielkiej wagi.

Prosi się o pytanie, czy jesteśmy demokratycznym państwem prawa.

Oddalamy się od jego standardów. W rankingu World Justice Project spadliśmy na 28. miejsce, jedno z ostatnich w UE. Ale to wszystko nie oznacza, że jeśli pójdziemy do sądu ze sprawą kradzieży czy rozwodu, nie zostaniemy sprawiedliwie osądzeni. Duża część sędziów nie będzie nigdy narażona na presję ze strony polityków. Jednak w kwestiach symbolicznych, związanych z wolnością słowa, sumienia i wyznania albo z odpowiedzialnością władzy, system przestaje działać.

Jak to jest, Panie Rzeczniku, pisać na Berdyczów? Pisze Pan i pisze, i odbija się Pan od ściany.

Czasem się jednak udaje coś osiągnąć, zwłaszcza na poziomie lokalnym, bo tam interwencja kogoś z Warszawy wciąż robi wrażenie. W Kruszynianach np. zablokowaliśmy właśnie uciążliwą dla środowiska inwestycję. Ale i na szczeblu centralnym bywa, że coś się uda. Od lat protestowaliśmy przeciwko przepisowi, który powodował, że osoby składające wniosek o emeryturę w maju dostawały gorsze świadczenia, niż gdyby składały je w czerwcu, i przy okazji którejś z tarcz antykryzysowych zostało to naprawione.

Jest też druga kategoria wystąpień: takich, które powodują, że ktoś musi się tłumaczyć. Media i politycy różnych partii zyskują dzięki nim wiedzę, uruchamiamy jakieś procesy. Tu dobrym przykładem może być przemoc policji: udało się wydać zakaz stosowania prywatnych paralizatorów albo wprowadzić program pilotażowy, umieszczający kamery na mundurach. Ostatni punkt zaś wiąże się z dawaniem świadectwa. Piszę, bo chcę, żeby został ślad sprzeciwu wobec naruszania praw obywatelskich albo dokumentacja konkretnych spraw.

Nawet jeśli wydaje się, że nic to nie da?

W tej pracy trzeba być cierpliwym. Nie można zakładać, że napisze się pismo, na które wszyscy odpowiedzą z zachwytem: „Ojej, panie rzeczniku, natychmiast zmieniamy". Ale nawet w sprawie stref wolnych od LGBT coś się zaczęło kruszyć. Pamiętam zresztą, że jak zaczęliśmy się nimi zajmować, wielu się dziwiło, uważając to raczej za lokalny folklor: „A, niech sobie przyjmują", „Wschód Polski, widać tak mają"...

Dość kolonialna perspektywa.

To pan powiedział. Myśmy jednak od początku zwracali uwagę, że te uchwały mają charakter normatywny i nie można ich tak po prostu lekceważyć. A jak zaczęliśmy je zaskarżać do sądów administracyjnych, to aktywista ruchu LGBT+ Bart Staszewski zaczął jeździć po tych miejsco-

wościach i stawiać przy tablicach na wjeździe mniejsze żółte tabliczki z informacją „Strefa Wolna od LGBT". Robił zdjęcie i następnie puszczał w świat. Ostra akcja, ale w punkt, bo wiele osób zrozumiało w końcu powagę sytuacji. Wkrótce dostałem pismo od wiceprzewodniczącej Komisji Europejskiej Věry Jourovej z prośbą o wyjaśnienia. Niedawno Komisja postraszyła województwa, w których takie rzeczy mają miejsce, perspektywą utraty unijnego wsparcia. W niektórych przypadkach zerwano współpracę w ramach miast partnerskich. W efekcie dalsze przyjmowanie uchwał wyhamowało i jestem przekonany, że samorządy, które już je przyjęły, wkrótce się z nich wycofają.

Jak czytam, że próbujecie pisać do powiatowych stacji sanepid, a one nie mają elektronicznych skrzynek podawczych, to mam wrażenie, że państwo jest z dykty.

Sanepid, podobnie jak np. nadzór budowlany czy inspektoraty ochrony środowiska, jest dramatycznie niedofinansowany. Niech pan jednak nie stawia takich tez zbyt łatwo. To państwo funkcjonuje. Przez trzy miesiące pandemii było w stanie przyjmować ustawy, obradować zdalnie, koordynować pracę służb, zapewniać elementarną ochronę zdrowia, wypłacać świadczenia itd. To państwo, jak podejrzewam, umożliwiło panu złożenie deklaracji podatkowej w kwadrans, a jeśli wyszła nadpłata – zwróciło pieniądze po kilkunastu dniach.

A nie ma Pan poczucia, że w tym państwie są równi i równiejsi? Górnicy to siła, której boją się wszystkie kolejne rządy, więc od ręki dostają sto procent „postojowego".

To jedna z najważniejszych lekcji po pandemii: zasada równości wobec prawa była w jej trakcie naruszana wielokrotnie i na wielu poziomach. Widzieliśmy to podczas słynnej wizyty prezesa PiS na cmentarzu, widzieliśmy podczas wizyty premiera w kawiarni. Widzieliśmy ministrów bez maseczek w Sejmie w tym samym czasie, gdy policja kierowała do sądów wnioski o ukaranie kilku tysięcy osób za brak maseczek. Teraz widzimy nierówne traktowanie różnych grup zawodowych. Zastanawiam się nad właściwą reakcją. Nie żałuję przecież górnikom, ale myślę o przedstawicielach innych zawodów. Powinni dostać tyle samo? Powinni. Tylko na koniec ktoś za to wszystko musi zapłacić. Z naszych podatków.

Ale w kwestii reakcji państwa na koronawirusa muszę zauważyć, że tu nie było mocnych. Żadne państwo nie było przygotowane, nawet te o wyższym PKB i lepszej koordynacji służb. Może poza Niemcami.

Pan uważa, że w sytuacji pandemii prawo do zgromadzeń powinno obowiązywać?

Myślę, że nie zawsze właściwie rozumiemy konstrukcję praw obywatelskich. Są takie, które są absolutne, np. zakaz tortur i nieludzkiego traktowania. Tu nie ma wyjątków: nie można kogoś troszeczkę pobić, żeby lepiej zeznawał. Ale większość naszych praw podlega jednak ograniczeniom.

Tylko że wolność zgromadzeń wyłączono mocą rozporządzenia. W jednej opinii nazwaliśmy to hybrydowym stanem nadzwyczajnym. Moim zdaniem nie doszłoby do aktów przemocy policji wobec demonstrantów, gdyby nas posłuchano i wprowadzono jakieś rozwiązania pośrednie. Kilka dni temu na demonstracji przed Sądem Najwyższym było 150 osób, zachowujących zasady dystansu społecznego, w maseczkach. Wcześniej władza zakazywała wszystkiego, jak leci, a ludzie, którzy mieli potrzebę demonstrowania, traktowali policję jako przedstawicieli państwa i wyładowywali na niej swoją frustrację.

Nie zazdroszczę policjantom.

Musieli przestrzegać prawa, a widzieli, że jest nieprzemyślane. No ale nie musieli z taką łatwością sięgać po przemoc. A zatrzymania czy wywożenie zatrzymanych do innych miast, w środku nocy, to skandal.

A sanepid?

Mechanizm był fatalny: policja sporządzała notatki, a sanepid na ich podstawie nakładał kary, w zasadzie nie przeprowadzając postępowania administracyjnego. Solidnie go za to obsobaczyliśmy, co spowodowało wycofanie części kar i zapewne spowoduje wycofanie kolejnych. Uczestniczymy jako strona ↦

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.
Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc Kobiet".

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ w ponad 20 postępowaniach administracyjnych dotyczących nałożenia takich kar. I nie odpuścimy.

Powiedział Pan w książce, że ma skórę nosorożca. Nie miał Pan nigdy poczucia fizycznego zagrożenia?

Były takie momenty, np. po tym, jak skrytykowałem brutalne potraktowanie przez policję podejrzanego o zabójstwo dziewczynki w Mrowinach. To wtedy TVP, żeby mnie zaatakować, wykorzystała moje sprawy rodzinne. Oczywiście, jak się czyta strumień hejtu na siebie w internecie, to się człowiek zaczyna zastanawiać, czy coś mu faktycznie nie grozi.

Ale przyjąłem zasadę, że nie będę robił z siebie ofiary. Są pewne osoby w życiu publicznym, które muszą się liczyć z tym, że coś podobnego może je spotkać, a jeśli zaczną eksponować swoje emocje, mogą stracić racjonalny ogląd rzeczywistości.

A jaki jest ogląd racjonalny?

Zawsze będą jacyś niezadowoleni i tacy, którzy swoje niezadowolenie będą adresować w kierunku osób na świeczniku. Nie mówię już o tym, że mnóstwo tzw. shit-stormów trwa parę godzin. Przeżywam czasem awantury, które się odbywają na Twitterze, a potem rozmawiam ze znajomymi, którzy w życiu o nich nie słyszeli.

Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chciał Pan kandydować na drugą kadencję. Wiem, że dla PiS jest Pan niewybieralny, ale o tym, że to będzie jedna kadencja, mówił Pan już za PO.

Dziękuję, jest pan jedynym, który to pamięta. Mówiłem jeszcze za czasów mojej poprzedniczki, że dorobek pierwszej kadencji może stanąć pod znakiem zapytania, jeśli w końcówce zacznie się liczyć głosy poparcia. Wyobraźmy sobie, że rządzi PO: miałbym teraz nie krytykować Trzaskowskiego, bo mi nie odpowiedział na pisma dotyczące wolności zgromadzeń i nie zrealizował swojej obietnicy przyjęcia w Warszawie Karty Praw Osób Bezdomnych? Miałbym kalkulować, że politykom nie spodoba się krytyka przeludnienia ośrodka w Gostyninie, zakładanego przecież za czasów poprzedniej władzy?

Takich zwierząt nie ma.

Nie rozumiem.

Czytam tę Pana książkę i myślę, że to jedyna w tej kampanii pozycja o formacie prezydenckim. Mamy tu horyzont wyzwań na kilkanaście lat, mamy poważną rozmowę o klimacie, demografii, rozwarstwieniu społecznym. Naprawdę nie myślał Pan o kandydowaniu?

Umówiłem się z obywatelami na bycie rzecznikiem praw obywatelskich do września 2020 r. Może kiedyś jeszcze wrócę do służby publicznej, w kraju czy za granicą.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

GRAŻYNA MAKARA

Dlaczego to głównie Kościół zajmuje się w Polsce hospicjami? Jak ludzie chcą godnie umierać, to lewica się tym tematem nie zajmie, bo jest za mało progresywny? Czy „żołnierze wyklęci" nie mogliby być także jej bohaterami?

DR HAB. ADAM BODNAR jest wieloletnim działaczem ruchu praw człowieka. Rzecznik praw obywatelskich od 2015 do września 2020 r. Ostatnio ukazała się książka „Obywatel PL" – wywiad rzeka, który przeprowadził z nim Bartosz Bartosik.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„TP" 22 / 2020

Połóg: trudne narodziny matki

Artykuł Karoliny Przewrockiej-Aderet i wywiad Katarzyny Kubisiowskiej z psycholożką Marleną Trąbińską-Haduch na temat połogu sprowokowały wiele reakcji naszych Czytelniczek i Czytelników. Oto niektóre z głosów:

To było doświadczenie, którego nigdy nie zapomnę, i do którego często wracam myślami, choć wolałabym nie wracać. Wspomnienia są trudne, choć urodziłam zdrowego, pięknego, długo wyczekiwanego synka, a mąż wspierał mnie, na ile potrafił. Moje ciało mnie zaskakiwało. Niby mieliśmy wraz z mężem dużą wiedzę z dobrej szkoły rodzenia, ale chyba nie spodziewałam się, że można doświadczyć tylu dolegliwości naraz. Choć ja tak naprawdę nawet tych symptomów nie zauważałam: liczyło się to, że muszę zdać egzamin z „bycia dobrą mamą". Zamiast spać czy odpoczywać, w czasie drzemek synka realizowałam zadania z „listy do zrobienia". Nie mieliśmy z mężem nikogo do pomocy. Bardzo chciałam spotkania z rodziną, ale dopiero później zrozumiałam, że potrzebne nam było wsparcie. A my resztkami sił szykowaliśmy obiad i deser dla całej grupy gości. Gdy przyjechali, to się okazało, że nie jestem w stanie ich słuchać – byłam tak niewyspana, że dosłownie nie rozumiałam, co mówią. Popłakałam się, ale szybko postarałam się, by uśmiech wrócił. Przecież chcieli zobaczyć szczęśliwych, świeżo upieczonych rodziców, a ja im tego nie zapewniłam. Czułam się z tym strasznie. Jakoś do tej pory nie potrafię chyba całkiem tego zaakceptować, choć wiem, jak bardzo potrzebowałam pomocy. Słów, że wszystko ze mną w porządku. Wypłakania się. Wygadania. Pamiętam, jak wiele dały mi odwiedziny siostry albo koleżanki, która powiedziała: „Jak ty sobie świetnie radzisz!". Od tej pory objawy nagle zniknęły!

BARBARA

Dziękuję za artykuł Karoliny Przewrockiej-Aderet. Pokazał mi, że nie tylko ja czułam się cholernie samotna, gdy urodził się mój syn. I tak, to racja: do momentu rozwiązania otoczenie interesuje się kobietą, a później staje się ona jakby niewidzialna. A przecież dopiero wtedy potrzebuje pomocy!

KAMILA

Dla mnie najtrudniejszy był początek połogu, te cztery dni w szpitalu bez odwiedzin (bo szalejąca grypa na zewnątrz), z położnymi obwiniającymi mnie o płacz dziecka i przewracającymi oczami, gdy prosiłam je, by pokazały mi, jak trzymać dziecko do mycia. Całe szczęście w domu czekała na mnie moja mama, która gotowała, sprzątała, pomagała kąpać, przewijać. Mimo wsparcia ze strony mamy i męża, wspominam ten czas jako niebycie w swoim ciele. Czas trudniejszy niż poród, bo trwający sześć tygodni. Z dobrych wspomnień zapamiętałam szkołę rodzenia, gdzie powiedziano nam, że karmienie piersią udaje się nie wszystkim i nie od razu, i żeby dać sobie czas. To były najważniejsze słowa, jakie tam usłyszałam.

MALWINA

Katolicki głos przeciw przemocy

Dziękuję Kalinie Błażejowskiej za opublikowany na stronie „TP" tekst „Eksperyment na polskiej rodzinie". To niezwykle ważne, że „Tygodnik" zamieścił ten artykuł. Uważam, że powinien dotrzeć do jak największej liczby osób, w tym do katolików i wszystkich tych, którzy powołują się na religię, dokonując etycznych wyborów. Artykuł upomina się o zaprzestanie krzywdzenia osób LGBT+. Obrzydliwe używanie problematyki orientacji seksualnej czy tożsamości płciowej dla celów politycznych, czy jakichkolwiek innych partykularnych interesów, jest przemocą na tych osobach i ich rodzinach. Uważam, że hierarchowie Kościoła katolickiego w Polsce przyłączają się w sposób bezpośredni do tej krzywdy zarówno poprzez wypowiedzi, jak i brak jednoznacznego głosu potępienia dla przemocy stosowanej przez polityków, media i reprezentantów Kościoła. Czy naprawdę nie ma w Kościele żadnego sprawiedliwego hierarchy, który mocą autorytetu swojego urzędu nazwie po imieniu to zjawisko? Czy Kościół w Polsce chce nadal zapisywać się w historii jako ten, który przykłada rękę do tej przemocy wobec swoich sióstr i braci? Artykuł Kaliny Błażejowskiej jest nazwaniem po imieniu tego zjawiska i apelem o opamiętanie. Jest jednym z nielicznych katolickich głosów, które pomagają widzieć zbiorowość Kościoła jako wspólnotę chrześcijańską.

Dr n. med. ZBIGNIEW BARSZCZ, psychoterapeuta i psychiatra

Autorzy opublikowanych listów dostaną od nas notes TUROWICZ na 75-lecie.

PROŚBA O POMOC

W lutym 2020 r., w trakcie seminarium geograficznego, dotarliśmy w północnej Rwandzie do przeludnionej wioski Kinoni. Zobaczyliśmy tam rzesze małych dzieci, żyjących w głębokiej biedzie, niedożywionych i pozostawionych bez opieki. Postanowiliśmy dać tym maluchom szansę na wczesną edukację, zjedzenie śniad ania, zabawę i opiekę medyczną. Pragniemy wybudować dla nich przedszkole! Mieszkańcy Rwandy w latach 90. XX w. doświadczyli niewyobrażalnego cierpienia. Wojna domowa doprowadziła do ludobójstwa, w którym zginęło prawie milion osób. Skutki tej tragedii będą odczuwalne przez długie lata. Rwanda dziś się rozwija. Młodzi ludzie ciężko pracują, jednak ich dzienny zarobek jest zazwyczaj niższy niż 2 euro. W kraju rodzi się wiele dzieci, z których większość dorasta w ubóstwie. Jeszcze niedawno wiele z nich nie dożywało piątego roku życia. Są miejsca w Rwandzie, gdzie sytuacja jest szczególnie trudna. Takim właśnie regionem jest północna część kraju, gdzie wojna zakończyła się dopiero kilkanaście lat temu. Wpłat można dokonywać za pośrednictwem strony: **pomagam.pl/kinoni-rwanda**. Wszystkie zebrane środki przekazujemy bezpośrednio do Rwandy. Przedszkole powstaje pod opieką parafii w Kinoni. Uczyć się w nim będzie mogło około 100 dzieci. Szukamy ludzi dobrego serca, którzy w realizacji tego sprzedsięwzięcia nas wspomogą.

Prof. MAŁGORZATA DURYDIWKA
Dr KINGA KRZESIWO
Prof. MIROSŁAW MIKA
Prof. ALINA ZAJADACZ

PAWEŁ

Śpiewak:
Przymierze noahickie

Po dwunastu miesiącach wody ustąpiły. Arka przestała być potrzebna. Noe po wylądowaniu złożył krwawą ofiarę Bogu. Całą podróż troszczył się o zwierzęta, karmił je wedle ich zwyczajów, czyścił arkę z odchodów. Do tego miał wiecznie głodnego pasażera na gapę – olbrzyma, Oga, który siedział na wystającej z arki belce. A gdy już wszyscy rozbiegli się i odlecieli w swoich kierunkach, Noe karmiciel sięgnął po nóż, zabił część pasażerów i nakarmił Boga zapachem krwi. Chyba lubił kwik zarzynanych zwierząt i płynącą posokę. A zapach krwi był Wiekuistemu przyjemny. Bóg dostrzegł też, że bez zabijania człowiek nie może istnieć. Wzbudza lęk i – co gorsza – przypada mu cała władza nad zwierzętami. Bóg pojął po potopie, że nie powstanie nowa ludzkość, że na nic zdadzą się kolejne katastrofy i straszne klęski. Choć tych akurat Bóg nam nie poskąpił.

Nic zła ludzkiego nie powstrzyma. Można je tylko hamować i ograniczać. A narzędziem jest jedynie prawo. To największy i najtrwalszy wynalazek Pana Boga, który do dziś sami, na Jego podobieństwo próbujemy wprowadzać i tym samym regulować jakoś stosunki międzyludzkie. Nic nie jest w Biblii równie ważne jak kolejne przymierza, a w czasach nam bliższych – filozofie umowy społecznej. Przymierze noahickie było pierwsze, przełomowe i do dziś obowiązuje. Obejmuje całą ludzkość, a w jej imieniu przyjął je Noe i tak przekazał potomnym. Nie wymaga szczególnej wiary religijnej czy konwersji. Po prostu wszyscy ludzie powinni się do niego stosować. Tysiące lat później Bóg zawarł z Hebrajczykami przymierze na górze Synaj i ono zostało w pewnym stopniu przyjęte przez wszystkie religie biblijne. Choć zasadniczo odnosi się tylko do narodu wybranego.

Praw noahickich jest siedem. Są proste i oczywiste. W Talmudzie Babilońskim tak zostały przedstawione: ustanowienie prawa, zakaz bluźnierstwa, idolatrii, cudzołóstwa, przelewania krwi ludzkiej, czyli morderstwa, kradzieży i spożywania krwi żywych stworzeń. Niektórzy uważają, że zakaz bluźnierstwa łączy się oczywiście z uznaniem Boga jedynego. To są ramy cywilizacji. Ci, którzy ich nie przestrzegają, są – mówiąc z grecka – barbarzyńcami, a ci, co je akceptują, mogą oczekiwać wsparcia i ochrony ze strony Żydów. Średniowieczni mędrcy nauczali, że osoby, którym miłe jest przymierze, mają udział w świecie przyszłym tak jak Żydzi. Nic nie wiemy o tym, jakie kary mogą spaść na tych, którzy łamią przymierze noahickie. Tego ani Tora, ani Talmud nie wyjaśniają. Zostaje tylko jeden przekaz: każdemu człowiekowi, każdej wspólnocie dostępne jest minimum godziwego, cywilizowanego życia. Wiemy, jak się powinno organizować, jak o nim myśleć. Reszta już od Boga nie zależy. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ekologiczny Kościół

W mowie do głosicieli królestwa Bożego Jezus radzi słuchaczom, żeby pamiętali, iż „uczeń nie przewyższa nauczyciela ani sługa swego pana. Wystarczy, że uczeń stanie się jak jego nauczyciel, a sługa jak jego pan”. „Jest bowiem napisane: Bądźcie świętymi, bo Ja jestem święty”. Oszałamiająca perspektywa! Niedawno zmarły Adolfo Nicolás, były generał jezuitów, mówił do nowicjuszy: „Całe życie jest procesem. Jesteśmy jak kawałek chleba albo kielich wina, które zostają przemienione w Ciało i Krew. Również my zostajemy przemienieni w Chrystusa. On staje się zasadą naszego życia i ostatecznym jego celem. Chodzi więc o proces przemiany”.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby to nasze stawanie się chrześcijanami niczemu i nikomu nie szkodziło. Ale tak nie jest. Zapomnieliśmy, że „gdy Pan Bóg uczynił ziemię i niebo”, „ziemia była bezładną pustką”, a „nie było człowieka, który by pracował na roli i kopał w ziemi studnię, aby nawodnić glebę”. Zamiast stać się opiekunem ziemi, człowiek stał się jej zawziętym oprawcą. Próbujemy ten proceder usprawiedliwiać, opacznie interpretując przykazanie: „zaludniajcie ziemię oraz czyńcie ją sobie poddaną”. Poddaną, to znaczy zdaną na naszą łaskę i niełaskę. A przecież jesteśmy tylko dzierżawcami Bożego majątku. I tak staliśmy się uzurpatorami, którzy okradają Boga, zamiast z Nim współpracować. Wyniszczając przyrodę i godząc w ludzi, uderzamy w Boga.

24 maja tego roku rozpoczął się Jubileuszowy Rok „Laudato si”, a rok wcześniej Arturo Sosa, przełożony generalny jezuitów, ogłosił „Uniwersalne preferencje apostolskie Towarzystwa Jezusowego na lata 2019–2029”, w których czytamy: „Szkoda wyrządzona ziemi jest równocześnie szkodą wyrządzoną ludziom najbardziej podatnym na zranienie, jakimi są tubylcze ludy, zmuszone do emigrowania, mieszkańcy wsi oraz miejskich peryferii. Niszczenie środowiska, jakie się dokonuje w panującym systemie ekonomicznym, wyrządza międzypokoleniową szkodę, ponieważ dotyka nie tylko mieszkańców ziemi – w sposób szczególny młodych – ale warunkuje również i wystawia na ryzyko życie przyszłych pokoleń”.

Kiedy więc Jezus mówi: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało”, ale „duszy zabić nie mogą”, trzeba te słowa odnieść do siebie i postawić pytanie: Co ja tu, gdzie jestem, mogę zrobić, żeby nie tylko nie niszczyć dzieła Bożego, jakim jest świat, ale je pielęgnować? Dlatego Franciszek, ogłaszając jubileusz „Laudato si”, pragnie obudzić Kościół z odrętwienia spowodowanego bezdusznym, zakorzenionym w manicheizmie podejściem do rzeczywistości. Pragnie doprowadzić Kościół do nawrócenia ekologicznego, tzn. podjęcia odpowiedzialności za los ludzi i środowiska ich życia, czyli kosmosu. ©

Gdy Ojciec rodzi
we mnie swego Syna,
jestem tym samym Synem,
nie jakimś innym.

MISTRZ ECKHART

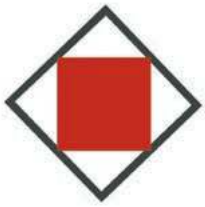

Kochaj bliźniego
jak tego,
kim sam jesteś.
Wszystkie dusze bowiem
stanowią jedność;
każda jest przecie
iskrą Duszy pierwotnej.

RABBI SZMELKE
Z NIKOLSBURGA

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Brak wody

Liturgia czyni nas w ostatnim czasie uczestnikami wydarzeń związanych z osobą proroka Eliasza. W Biblii pojawia on się nagle w 17. rozdziale Pierwszej Księgi Królewskiej – Pismo nie mówi nam nic o jego rodzinie, rodowodzie, dzieciństwie, młodości, formacji duchowej. Pojawia się, by – jak to później ujął Syrach – „Słowem Pańskim zamknąć niebo" (Syr 48, 3): ogłasza suszę, która potrwa 3,5 roku. To konsekwencja grzechu bałwochwalstwa, którego – w ślad za swoim królem, Achabem – dopuścił się cały Izrael, oddając się kultowi Baala. 42 miesiące bez deszczu stają się dramatycznym wyzwaniem także, rzecz jasna, dla proroka. Ratunek znajduje on najpierw na wschodnim brzegu Jordanu, nad potokiem Kerit, gdzie z rozkazu Pana kruki przynosiły mu pokarm. Później jednak, gdy potok wysechł, Bóg każe mu powędrować na północ, poza granice Ziemi Świętej, do Sarepty Sydońskiej: „albowiem rozkazałem tam pewnej wdowie, aby cię żywiła" (1 Krl 17, 9).

I tu właśnie pojawia się cały ciąg pytań, od których nie sposób uciec, ale które wydają się bolesne i trudne do podjęcia. Jak to bowiem jest, że prorok Pana nie może znaleźć ocalenia w Ziemi Świętej, a może je znaleźć w świecie pogańskim? Ten, który walczy z Baalem, ocaleje w ziemi, która w ówczesnych kategoriach myślenia „należy" właśnie do Baala? Dlaczego jedyny Bóg, któremu ufa i o którego walczy, nie może go ocalić na „swojej" ziemi? Czego w niej brakuje?

W pierwszej chwili mamy ochotę powiedzieć, że brakuje w niej wody, ale to za prosta odpowiedź. W Sarepcie Sydońskiej też jest susza – też „nie ma wody", a wdowa, w chwili, gdy Eliasz ją spotyka, zbiera właśnie chrust, by na nim przyrządzić ostatni w życiu posiłek dla siebie i swojego syna. Problemem Izraela nie jest więc brak wody! W Sarepcie Sydońskiej nie ma wody – tak jak nie ma jej w Izraelu. Więc? Czym się różni Sarepta od Samarii i od całego Izraela?

Otóż tym, że w Sarepcie Bóg znalazł kobietę, w której odnalazł wiarę. „Wiele wdów było w Izraelu – powie po latach Jezus (zob. Łk 4, 25) – za czasów proroka Eliasza, ale do żadnej nie został posłany...".

To nie wody brakuje Bogu w Izraelu, by mógł uratować proroka; brakuje Mu człowieka, który byłby zdolny pełnić Jego wolę. „Jest wiele wdów", ale nie ma takiej, której mógłby „rozkazać", by podzieliła się resztkami swego pożywienia z Eliaszem.

Rzecz jest jeszcze mocniejsza w wymowie, bo wdowa z Sarepty wcale się do Pana nie przyznaje. Proszącemu ją o chleb Eliaszowi odpowiada: „Na życie Pana, Twego Boga...". Nazywa Pana Bogiem Eliasza, ale nie swoim. Sama Go nie zna, w sposób świadomy Go nie wybrała. A przecież Bóg w rozmowie z Eliaszem nie ma żadnej wątpliwości co do jej posłuszeństwa. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 VI)

12. niedziela zwykła:
Jr 20, 10-13; Ps 69; Rz 5, 12-15;
Mt 10, 26-33;
Poniedziałek: 2 Krl 17, 5-8. 13-15a. 18;
Ps 60; Mt 7, 1-5;
Wtorek: 2 Krl 19, 9b-11. 14-21. 31-35a. 36;
Ps 48; Mt 7, 6. 12-14;
Środa, uroczystość narodzenia św. Jana Chrzciciela:
Jr 1, 4-10; Ps 71; 1 P 1, 8-12; Łk 1, 5-17;
Czwartek: 2 Krl 24, 8-17; Ps 79; Mt 7, 21-29;
Piątek: 2 Krl 25, 1-12; Ps 137; Mt 8, 1-4;
Sobota: Lm 2, 2. 10-14. 18-19; Ps 74; Mt 8, 5-17;
13. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 8-12a. 14-16a; Ps 89;
Rz 6, 3-4. 8-11; Mt 10, 37-42.

Otwarcie sezonu w Parku Rozrywki, Zator, 6 czerwca 2020 r.

OCHROŃ SIĘ SAM

Wirus zostanie z nami długie miesiące. Nie wiemy, jak przejdziemy drugą falę – również dlatego, że do końca pierwszej daleko.

MACIEJ MÜLLER

Nie ma prostej odpowiedzi na pytanie, jak długo SARS-CoV-2 z nami pozostanie. Nie da się nawet jednoznacznie powiedzieć, na jakim etapie jest pandemia. Mamy dopiero pierwszy sezon COVID-19, liczba zachorowań w niektórych krajach sięga 1 proc. ludności, a w innych, ekstremalnych przypadkach, dochodzi do 20 proc.

16 marca Polska się zamknęła. I to nie tylko na zewnątrz, w sensie granic. Zatrzasnęły się też bramy szkół, urzędów, uczelni, wielu zakładów pracy, kościołów i cmentarzy.

– Po wprowadzeniu obostrzeń współczynnik reprodukcji wirusa (R) wynosił ok. 1, co oznacza stan endemiczny epidemii: ani się nie rozwijała, ani nie zanikała – mówi dr Rafał Mostowy, biolog chorób zakaźnych z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ, który w marcu

sporządził matematyczny model epidemiologiczny SARS-CoV-2. – Z tym że R to średnia dla całej populacji, a poszczególne osoby zakażają w różnym stopniu. Wiele badań wskazuje, że koronawirus działa na zasadzie ognisk transmisji, dlatego obserwujemy wiele zakażeń w jednych miejscach i niewiele w innych.

– Podczas pierwszej fali dokonaliśmy w Polsce uniku, chroniąc się do domów i eliminując komunikację międzyludzką. Przyczailiśmy się, żeby zyskać czas, zobaczyć, co to za wróg, czym grozi, jak się przenosi i jak go zabić – tłumaczy sens lockdownu dr Paweł Grzesiowski, immunolog, prezes Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń. – Teraz wychodzimy z ukrycia, ale nazywanie tego powrotem do normalności uważam za niestosowne. Powinniśmy mówić o ostrożnym wychyleniu się z bunkra z wysoko postawioną gardą. Bo po prawdzie nie mamy pojęcia, co się stanie, np. czy wirus nie zmutuje i nie stanie się jeszcze groźniejszy, niż jest. Niestety, zaczęliśmy się zachowywać tak, jakby go już nie było, ignorujemy zasady sanitarne. Z całą pewnością przyniesie to wzrost zachorowań.

Epidemiolodzy z niepokojem patrzą na Iran, który zniósł większość obostrzeń w połowie kwietnia. Po kilku tygodniach nastąpił gwałtowny wzrost dziennych przypadków zachorowań (2 maja zaobserwowano 802 przypadki i tego dnia zaczęła wzbierać fala wznosząca, od 27 maja liczba notowanych dziennie zakażeń przekracza 2 tys.). Czy jest jakiś powód, dla którego w Polsce miałoby być inaczej? Dr Grzesiowski zwraca uwagę, że od siedzenia w domu nie nabiera się odporności. Żeby ją nabyć, trzeba albo przejść chorobę, albo się zaszczepić.

Immunulog na podstawie kilku przeprowadzonych w Polsce badań serologicznych (dotyczących obecności w układzie odpornościowym przeciwciał) szacuje, że koronawirus spenetrował polskie społeczeństwo w ok. 2-3 proc. Co oznacza, że na COVID-19 chorował już nawet milion Polaków. Tymczasem rządowe statystyki zbliżają się do 30 tys.

Lockdown przyniósł też ciekawe skutki uboczne. Siedzenie w domach przerwało drogi zakażeń wielu innym zarazkom przenoszącym się drogą kropelkową lub przez kontakt. Skutek? Dr Grzesiowski, korzystając z danych NIZP-PZH, zestawił zachorowania na wybrane choroby w okresie od stycznia do końca maja dla roku obecnego i poprzedniego. Przypadków grypy jest 98 proc. mniej, biegunki rotawirusowej 88 proc., ospy wietrznej 48 proc., salmonellozy 31 proc.

To lockdown sprawił, że w Polsce nie powtórzył się scenariusz włoski czy niemiecki. Lekarze nigdy nie byli w sytuacji, w której musieliby decydować, kogo podłączyć do respiratora, a kogo nie.

Płaski szczyt

Minister zdrowia przez długi czas przesuwał nadejście szczytu zachorowań na kolejne tygodnie, teraz mówi już raczej o drugiej fali mającej nadejść jesienią.

– Pojęcie szczytu łączy się z uproszczonym modelem krzywej epidemiologicznej – wyjaśnia dr Rafał Mostowy. – Pojawia się nowy zarazek, ludzie są na niego podatni. Na początku obserwujemy przyrost wykładniczy liczby zakażeń. Długi czas prawie nic się nie dzieje i nagle uderza silna fala. Jednak współczynnik R sukcesywnie spada, ponieważ przy rosnącej liczbie chorujących i już uodpornionych wirus ma coraz mniej możliwości infekowania. O szczycie mówimy, kiedy liczba zakażeń zrówna się z liczbą wyzdrowień. Odtąd wykres opada i zaczyna przypominać kształtem dzwon. W praktyce może to być bardziej skomplikowane (np. przez wprowadzanie i luzowanie obostrzeń) i szczytów może być wiele.

Epidemia w Polsce nie rozwinęła się w ten klasyczny sposób, ponieważ wkrótce po pierwszych raportowanych zakażeniach z 4 marca zamknęliśmy się w domach. Stąd powtarzające się na rządowych konferencjach hasło spłaszczania krzywej – i wciąż przesuwającego się szczytu.

Na początku lockdownu testowaliśmy kilkadziesiąt-kilkaset próbek dziennie, dzisiaj dzięki budowaniu sieci laboratoriów wykonujących testy teoretyczna przepustowość sięga 35 tys. dziennie. Liczba przeprowadzonych od początku pandemii testów przekroczyła na początku czerwca milion. Czy to wystarcza, by kontrolować dynamikę epidemii w Polsce?

Tadeusz Jędrzejczyk, były prezes NFZ, obecnie dyrektor departamentu zdrowia w Pomorskim Urzędzie Marszałkowskim: – Dostępność testów jest kluczowa nie ze względu na samo leczenie choroby, ale dlatego, że umożliwia szybką izolację zakażonych oraz ich kontaktów i duszenie w zarodku ognisk infekcji.

30 tys. badanych dziennie próbek według dr. Grzesiowskiego nie daje nam żadnej realnej wiedzy o przebiegu epidemii. – Żeby mieć jakiś obraz sytuacji, musielibyśmy wykonać ich 300 tys. Niemniej jestem zdecydowanie przeciwny pomysłom przeprowadzania masowych testów na ślepo, traktowania ich na równi z morfologią.

Tymczasem niedawno resort zdrowia umożliwił finansowanie testów u wszystkich pacjentów przyjmowanych do szpitali, bez względu na to, czy zdradzają jakiekolwiek objawy COVID-19. Dr Grzesiowski uważa, że nie przynosi to żadnej korzyści w walce z epidemią.

W lutym WHO podawała, że 80 proc. zakażonych przechodzi COVID-19 bezobjawowo lub słaboobjawowo. Najnowsze analizy podnoszą ten wskaźnik nawet do 95 proc. Jeśli założymy, że mamy milion chorych, to 950 tys. nie dostrzeże znaczących objawów. – Niestety, polskie statystyki nie wyróżniają chorych bezobjawowo, nie znamy proporcji tych grup. Ale zapewne było ich sporo, skoro liczba hospitalizowanych nigdy nie była wysoka – zauważa dr Grzesiowski.

Co więcej, nigdy nie zbliżyła się nawet do połowy limitu wydajności polskich szpitali (ok. 10 tys.). Tylko raz, 22 kwietnia, sięgnęła 3505 osób, a w ostatnim czasie wynosi ok. 2-2,3 tys. Według dr. Grzesiowskiego wynika to m.in. z tego, że populacja polska jest relatywnie młoda, a dzieci i młodzież w przeważającej liczbie przechodzą COVID-19 bez objawów.

Tadeusz Jędrzejczyk: – Wirus dotarł do nas później. Jesteśmy mniej mobilnym społeczeństwem niż Włosi, Francuzi czy Anglicy. Dlatego zamrożenie zgasiło falę zachorowań na samym początku. Do zbiorowej wyobraźni przemówiły reportaże o sytuacji we włoskich szpitalach, co ułatwiło wprowadzenie lockdownu.

Istotną rolę odegrało także to, co boleśnie odbiło się na pacjentach z chorobami innymi niż COVID-19. – Zamykając praktycznie szpitale na zabiegi planowe, nie tylko zwiększyliśmy ich potencjał w leczeniu COVID-19, ale jednocześnie zmniejszyliśmy wirusowi szansę na przenoszenie się pomiędzy pacjentami a personelem – mówi Jędrzejczyk. – Kluczowe było ograniczenie kontaktów osób z populacji wrażliwej, czyli starszych i chorych przewlekle. Z tego samego względu ważne było wprowadzenie limitu uczestników nabożeństw w kościołach. ↦

JAREK PRASZKIEWICZ / FORUM

Wesele

„Nie będę anestezjologiem dla kretynów. Nie każcie nam raz jeszcze przechodzić przez te trzy miesiące, które właśnie minęły" – to fragment głośnego postu włoskiego lekarza Carla Seriniego, który po zniesieniu obostrzeń obserwował tłumy ludzi beztrosko bawiących się na ulicach i w barach. Bez masek – albo z maskami na brodzie. We Włoszech na COVID-19 zmarło ponad 34 tys. osób, wykryto 235 tys. infekcji.

Od maja rząd odmraża polską gospodarkę: każdy dzień lockdownu oznaczał dla niej miliardowe straty. Zaczęło się od zwiększenia limitu osób mogących przebywać w sklepie spożywczym, kończy się na częściowym otwarciu stadionów, umożliwieniu organizacji wesel na 150 osób i zniesieniu jakichkolwiek limitów w kościołach. Minister zdrowia tłumaczył, że listy uczestników zarówno wesel, jak i meczów są imienne – więc w razie czego sanepid nie będzie miał problemu z opanowaniem ogniska.

Czy istnieje złoty środek między lockdownem a w miarę normalnym życiem? Dr Grzesiowski: – Oczywiście. Niemal totalny lockdown nie był spowodowany racjonalną oceną sytuacji, tylko działaniem na zasadzie paniki. Nie było np. żadnego powodu, żeby zatrzymywać ruch lotniczy: nie słyszałem o żadnych przypadkach zakażeń na pokładzie samolotu.

Immunolog jest także zdania, że należałoby przeprowadzić „inteligentny lockdown", czyli zamknąć miejsca, które są potencjalnym ogniskiem zakażeń, gdzie wirus najlepiej się przenosi. Decyzji o zamrożeniu lub odmrożeniu jego zdaniem nie powinno się wydawać centralnie, bez uwzględniania stopnia lokalnego zagrożenia.

– W źle wentylowanych, zamkniętych pomieszczeniach ludzie siedzą obok siebie, pchają się, krzyżują oddechy. Dla wirusa to świetna okazja. Wystarczy jeden zakażony – przestrzega dr Grzesiowski. – Nie pomyślano o żadnym zabezpieczeniu najstarszych, tymczasem najmniej zagrożona grupa, dzieci, jest chroniona: szkoły stoją zamknięte, przedszkola działają na pół gwizdka. Dlatego trzymajmy się podstawowych zasad sanitarnych. To środki tanie i skuteczne.

Tadeusz Jędrzejczyk: – Kluczowe dla spowolnienia są zmiany codziennych zachowań. Unikanie ściskania ręki, używanie maseczek w pomieszczeniach zamkniętych. Najskuteczniejsza w ograniczaniu liczby zakażeń jest świadomość, że każdy z nas może być nieświadomym nosicielem.

Jesienią koronawirus spotka się z wirusem grypy. Ich objawy są zbliżone, ogniskami zakażeń COVID-19 staną się poczekalnie lekarzy rodzinnych.

Niedawny raport medycznego czasopisma „Lancet" stawia sprawę jasno: utrzymanie dystansu powyżej metra od innych osób, maska zakrywająca nos i usta, osłona oczu oraz higiena rąk – łącznie ograniczają ryzyko zakażenia o ponad 80 proc.

Nad jeziorem

Minister Łukasz Szumowski nie ukrywa, że sam by na wesele nie poszedł. Szef Naczelnej Rady Lekarskiej prof. Andrzej Matyja nie wybiera się nawet do galerii handlowej i radzi unikać skupisk. „Miłość można wyznawać sobie w inny sposób niż w tłumie 150 osób – mówił w rozmowie z RMF. – Nie wyobrażam sobie, że po godzinie dwunastej uczestnicy wesela zachowają jakąkolwiek ostrożność". Przyznał też, że przeraża go wyznaczenie wyborów prezydenckich na 28 czerwca, ponieważ ze względu na wiece wyborcze, w których uczestniczą tłumy ludzi, „kulminacja zarażeń może wystąpić tuż przed I turą".

Tymczasem doświadczenia zarówno Francji, jak i Bawarii, gdzie zorganizowano wybory podczas pandemii, nie pozostawiają wątpliwości: w ciągu kolejnych tygodni po głosowaniu wykresy zachorowań wystrzeliły w górę. Bawaria, pod względem liczby przypadków na milion zajmująca czwarte miejsce wśród niemieckich landów, dwa tygodnie po wyborach wyszła na prowadzenie.

A czy podróże wakacyjne pozwolą wirusowi, skupionemu w kilku województwach centralnej i południowej Polski, roznieść się równomiernie po kraju? Według dr. Grzesiowskiego samo przemieszczanie się ludzi po kraju – np. wyjazd warszawiaka na Mazury – nie powoduje zagrożenia. Do zakażenia może dojść dopiero podczas ogniska nad jeziorem, picia z tej samej butelki czy palenia wspólnego skręta.

Spotkanie wirusów

Co czeka nas jesienią? Dr Grzesiowski uważa, że po odmrożeniu możemy długo jeszcze nie zauważyć narastającej drugiej fali czy raczej wyrównującej się pierwszej, bo tak naprawdę jej nie przeszliśmy. Gospodarka jego zdaniem nie jest jeszcze odmrożona, ludzie poruszają się w mniejszym stopniu niż przed lockdownem. Skoro nie siedzimy w ukryciu, to, jak przewiduje, nastąpi wzrost zachorowań. A druga fala pojawia się zazwyczaj po pół roku, bo wirus musi mieć czas, by przeniknąć do nowych populacji.

Niestety, w ocenie zagrożenia matematyka pomaga umiarkowanie. Dr Rafał Mostowy: – Modele epidemiologiczne nie służą predykcji, ale lepszemu zrozumieniu, co się dzieje teraz. W moim modelu nie posługuję się liczbą wychwyconych zakażeń, tylko liczbą zgonów, która jest statystyką o wiele bardziej wiarygodną. Tylko że ona mówi nam, co się działo w populacji jakiś miesiąc-półtora wcześniej. Bo tyle czasu mija od momentu zakażenia, przez pojawienie się symptomów, hospitalizację, do śmierci.

– Wysyp większych i mniejszych ognisk choroby czeka nas zapewne jeszcze latem – wskazuje Tadeusz Jędrzejczyk. I wymienia oprócz dużych i średnich zakładów pracy szpitale, kościoły i lokale weselne. Były szef NFZ nie ma natomiast większych obaw co do wyborów: – Lokale będą pod najskuteczniejszym możliwym nadzorem, to jest społecznym. Oczywiście, ze względu na skalę (kilkadziesiąt tysięcy komisji) nie uda się zapobiec w stu procentach przenoszeniu zakażeń, ale nie spodziewałbym się wysypu infekcji akurat z tego powodu.

Rafał Mostowy: – W wielu krajach po poluzowaniu restrykcji następuje przyrost zakażeń, ale nie tak gwałtowny, jak można się było spodziewać. Istnieje możliwość, że wirus rozprzestrzenia się wolniej w lecie niż w zimie. Inne koronawirusy, np. powodujące przeziębienie, mają zmienną dynamikę ze względu na pory roku.

Jednak wirus szaleje w krajach, w których temperatury są o wiele wyższe niż w Polsce, np. w Brazylii, gdzie w począt-

kach czerwca liczba dziennie raportowanych testów pozytywnych przekraczała nawet 30 tys.; łącznie zachorowało ponad 700 tys. osób, co dało Brazylii drugie miejsce po USA.

– Tutaj w grę wchodzi nie tylko temperatura, ale też wilgotność i inne warunki atmosferyczne – podkreśla dr Mostowy. – Bardzo trudno jest tworzyć model dynamiki sezonowej wirusów, bo np. wirus grypy cichnie u nas w lecie, a w innych krajach, gdzie jest wilgotno, zakaża na potęgę. W klimacie europejskim możemy się spodziewać mniejszego przyrostu zakażeń COVID-19, ale nie mamy pojęcia, w jakim stopniu.

Eksperci ostrzegają, że jesienią koronawirus spotka się z wirusem grypy: to początek sezonu tej choroby. Ich objawy są zbliżone, co grozi tym, że ogniskami zakażeń COVID-19 staną się poczekalnie lekarzy rodzinnych. Mogłyby temu zapobiec szczepienia przeciw grypie, ale są one płatne i rocznie przyjmuje je co najwyżej 4 proc. populacji. Szef samorządu lekarskiego prof. Andrzej Matyja postuluje wprowadzenie obowiązkowych szczepień przynajmniej dla grup ryzyka. Ministerstwo pracuje tymczasem nad innym narzędziem mogącym pomóc w rozbrojeniu tej bomby: chodzi o umożliwienie lekarzom POZ zlecania testów na SARS-CoV-2 (dziś nie mają takich możliwości).

Gotowość

W marcu brakowało wszystkiego: procedur bezpieczeństwa, środków ochronnych, testów. System budowano w ogniu walki. Czy do drugiej fali będzie przygotowany lepiej? Według dr. Grzesiowskiego system nie przeszedł prawdziwego sprawdzianu. Żaden ze szpitali jednoimiennych nie miał pełnego obłożenia. Trudno zaś ocenić, co by się wydarzyło, gdyby było 100 tys. zachorowań naraz. Z jego słów można wysnuć wniosek, że uratował nas nie tyle system ochrony zdrowia, ile fakt, że schowaliśmy się do domów.

– Jeśli chodzi o przygotowanie szpitali, sytuacja jest dużo lepsza niż w marcu – uważa Tadeusz Jędrzejczyk. – Zaopatrzenie w środki ochrony jest już prawie znormalizowane, wiedza o sposobach postępowania z pacjentami zdecydowanie większa, procedury oraz sposoby izolacji zweryfikowane w praktyce.

Byłego szefa NFZ niepokoi natomiast ryzyko wyczerpania się zasobów oraz skutki zdrowotne ponownego ograniczenia dostępu do szpitali. – Jeśli doszlibyśmy do 10 tys. hospitalizacji naraz, to ryzyko wyłączenia nie tylko planowej, ale i ratunkowej misji szpitali jest naprawdę duże. Przed nami są też problemy budżetowe NFZ i samorządów – wymienia. – Rząd powinien zagwarantować Funduszowi linię kredytową, aby ten mógł zapewnić płynność funkcjonowania szpitalom. Dopracowania wymagają także zasady kierowania do walki z epidemią lekarzy i pielęgniarek.

Mutacja

Koronawirus zostanie z nami jeszcze długo. Ocalić nas może dopiero wytworzenie się tzw. odporności stadnej. Jak daleka do tego droga? Wspomnieliśmy o badaniach serologicznych, wskazujących, że z koronawirusem zetknęło się ok. 2-3 proc. Polaków. – W Nowym Jorku COVID-19 przeszło jakieś kilkanaście procent populacji – wskazuje Rafał Mostowy. – O odporności stadnej możemy mówić przy 60-70 proc. Bez szczepionki raczej jej nie osiągniemy.

Tymczasem nawet najbardziej optymistyczne prognozy nie pozwalają spodziewać się szczepionki wcześniej niż za rok. Tymczasem nadziei możemy jednak upatrywać w... samym wirusie. A raczej w jego mutacjach.

– Ogromna większość z nich jest szkodliwa – tłumaczy biolog. – Mutacja to błąd w kopiowaniu ładunku genetycznego, powodujący, że np. replikacja staje się wolniejsza albo słabnie zdolność do przyłączania się do komórki. Niestety w przypadku koronawirusa stajemy znowu przed zastrzeżeniem: to nowy patogen, mało o nim wiemy. W doniesieniach naukowych pojawiły się nawet informacje o jego mutacjach w kierunku wzmocnienia zdolności transmisji.

– Ale na razie nie istnieją żadne dowody wiążące poszczególne mutacje z konkretnymi zjawiskami w populacji, np. zwiększającą się śmiertelnością – uspokaja dr Mostowy. – Większość mutacji SARS-CoV-2 jest dla nas pożyteczna, bo powstawanie kolejnych mutantów pozwala śledzić, w jaki sposób on się rozprzestrzenia. A ewolucja zarazków chorób zakaźnych generalnie przebiega w kierunku zmniejszenia zjadliwości, czyli stopnia szkodzenia zakażonemu organizmowi. Patogeny, jak wszystkie byty ewolucyjne, dążą do tego, by wytworzyć jak najwięcej potomstwa. A najlepszą drogą do tego jest niepodcinanie gałęzi, na której się siedzi. Czyli: niezabijanie gospodarza.

©℗ MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz,
jak wygodnie jest mieć nieograniczony dostęp
do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podcastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu
– na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik” **bez ograniczeń!**

TYGODNIK POWSZECHNY

Polska z dźwigu widziana

KRZYSZTOF KRÓL, DZIAŁACZ ZWIĄZKOWY:

Mówią, że idzie kryzys. Mnie to śmieszy. Bo w mojej branży kryzys jest zawsze. Tu panują XIX-wieczne relacje pracy.

RAFAŁ WOŚ: Co to jest #Tyra16Challenge?

KRZYSZTOF KRÓL: To jest inicjatywa, żeby robić rap ludzi pracy w czasie wirusa.

Jak #hot16challenge2?

Inaczej, bo nie jest po to, żeby walczyć z „ostrym cieniem mgły". Tylko z biedą i wyzyskiem, który jest powszechny.

Słuchałem paru kawałków. Jeden – Pana autorstwa – leci tak: „Twój ból jest lepszy niż mój / Twoja kariera jest lepsza niż moja robota frajera". Z kolei w tym – na nutę „Patointeligencji" Maty – jest taki fragment: „Mój ziomo co w kabinie na dźwigu siedzi od poranka / po godzinie roboty chce walić w szybę głową baranka / my to patobudowlanka".

To są uczucia towarzyszące siedzeniu w kabinie. Izolatka w więzieniu to surowa kara, natomiast w polskich realiach gospodarczych spędzanie dnia w kabinie żurawia wieżowego lub tira to praca na lepszym poziomie. Ciekawe, ilu z czytelników siedziało kiedyś 12 godzin w kabinie dźwigu.

Pewnie niewielu.

No właśnie. To jest rzeczywistość społeczeństwa klasowego. Żyjemy niby w jednym miejscu, mówimy w tym samym języku, a nie wiemy o sobie nic. Mijacie te budowy codziennie. To niby jest zaraz za płotem. Zupełnie inny świat niż ten, w którym żyjecie.

Cco widać z takiego dźwigu? Jak wygląda stamtąd Polska. Przed covidem i po.

Mówią, że idzie kryzys. Ale mnie to śmieszy. Bo w mojej branży kryzys jest zawsze. W ogóle dla pracowników szeregowych – kryzys jest zawsze. Tu panują XIX-wieczne relacje pracy.

Rozumiem, że te „XIX-wieczne relacje" to taka fraza. Licentia poetica.

Nie, żadna *licentia*. To jest prawda. U nas normą jest 12-godzinny dzień pracy.

Ale przepisowo powinno być osiem godzin.

Przepisowo to my chcieliśmy wydobyć od Ministerstwa Rozwoju rozporządzenie, które by pozwalało mierzyć faktyczny czas pracy operatora żurawia. Żeby był tachometr. Nie zgodzili się. Dali nam bardziej ogólne rozporządzenie. Ale i ono nie jest na 90 proc. budów respektowane. No więc się pracuje. Po 250-270 godzin miesięcznie.

Ale przynajmniej się dobrze zarabia?

Z zarobkami sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie da się mówić o jednolitych poborach w budowlance, bo mamy bardzo – nawet jak na Polskę – wolnorynkowe realia. Tu jest pełen przekrój wszystkich rozmaitych form zatrudnienia. Możesz być na czarno. Możesz być na samozatrudnieniu. Możesz być też zatrudniony, ale oficjalnie masz najniższą pensję, a resztę pod stołem. Możesz mieć zlecenie, żeby mieć składki na ZUS, a reszta pod stołem. Różnice są olbrzymie. Operatorzy są uważani za najlepiej opłacanych budowlańców. Ci na dole, czyli cieśle, zbrojarze albo murarze, robią zazwyczaj na akord. Taki murarz też może dociągnąć do 6 tys. miesięcznie, tak jak operator. Ktoś powie, że nieźle. No ale to jest właśnie kosztem tych 250-270 godzin.

Ciężko.

Bo to jest ciężka praca. W deszczu, śniegu, upale. Albo, tak jak ja, w ciasnej kabinie kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Ta praca niszczy: fizycznie i psychicznie. Ja mam czterdzieści lat. Mówią mi inni robotnicy, że wyglądam na trzydzieści. Ja im tłumaczę, że to dlatego, że ja nie dałbym rady pracować 270 godzin w miesiącu, więc pracuję rzadziej, jako zastępca, gdy inni są na zwolnieniu. Ale ja nie jestem ślepy i widzę tych ludzi wokół mnie. Jak wracasz po ciężkiej pracy do domu, to nie czytasz poezji.

I nie gotujesz jarmużu na parze.

Jedyne, czego pragniesz, to szybkie uzupełnienie kalorii i łatwa rozrywka. Więc żresz, co popadnie. Byle słodkie albo tłuste, bo to najszybciej działa. Do tego trzy piwka, żeby się zresetować i zapomnieć o fizycznym bólu i upokorzeniu. Jak ktoś jest bardziej ogarnięty, to jeszcze jakaś prostytutka w weekend. Ktoś powie, że żyjemy jak świnie.

A żyjecie?

Tak. Trudno, żeby było inaczej. Musimy żyć z konsekwencjami takiego funkcjonowania. Więc potem jesteś grubasem, masz zmarszczki, chorujesz, masz problemy ze znalezieniem dziewczyny czy utrzymaniem związku z żoną, bo on ci się rozpadnie przez brak kontaktu. Nie masz też kontaktu z dziećmi. To jest potem szybkie pikowanie. Koło pięćdziesiątki masz pierwsze poważne schorzenie, przed sześćdziesiątką musisz się wycofać z lepiej płatnych robót. W związku z tym lepszego niż obecnie już mnie nie zobaczycie. Trzeba się cieszyć chwilą. To są skutki tych 250-270 godzin tyry miesiąc w miesiąc. Ale to nie jest przypadek. To jest specjalnie tak zorganizowane.

Co to znaczy?

Budowlanka to branża oparta na pracownikach wyrwanych z korzeni. Podwójnie wyalienowanych. Ostatnie pięć lat to jest stały wzrost liczby Ukraińców na budowach. Stawiam, że za pięć lat to będzie branża wyłącznie migrancka.

Ale nawet przed pojawieniem się Ukraińców polska budowlanka opierała się na migrantach wewnętrznych. Tu jest bardzo mało ludzi z miasta, którzy po robocie jadą sobie do domu tramwajem. Taki pracownik nie jest potrzebny, bo on nie chce pracować dłużej niż 8 godzin, ma jakieś życie poza pracą. Lepszy jest przyjezdny. Albo dowieziony na dniówkę z różnych wiosek i miasteczek w Wielkopolsce lub taki z jeszcze dalszych okolic, co śpi pod miastem na kwaterze i jeździ do siebie na weekendy albo raz w miesiącu. To skutkuje wyalienowaniem i w jednym, i w drugim miejscu. Ale takie

skoszarowanie jest dobre dla pracodawcy, bo ludzie jak mają do wyboru wrócić na kwaterę po 10 godzinach albo zrobić jeszcze dwie, to zrobią te dwie. Pracują sześć dni w tygodniu, bo dwudniowy weekend na kwaterze na peryferiach nieznanego miasta jest stratą czasu. Sam tak robię, jak jadę czasem na „delegację" do Niemiec.

Mówił Pan o tych migrantach z Ukrainy. Są konflikty? Zarzuty, że odbierają pracę?

To nie tak działa. Oczywiście, wszyscy wiedzą, że Ukraińców ściąga się tu po to, żeby pracowali taniej i dłużej. I pracują. Normą jest u nich 16-18 zł za godzinę. Jak Ukrainiec dobije do 20 zł, to jest święto. Polak ma w analogicznej sytuacji raczej 20-24 zł. Ale to nie jest żadna wrogość na zasadzie „zabierają robotę". Mi płacą Polacy, a nie Ukraińcy. Raczej nam ich szkoda, bo ich cisną jeszcze bardziej niż nas. I życzymy im, żeby pojechali do tych Niemiec – tak jak straszą nasze probiznesowe media. Niech pojadą i zarobią jak ludzie, a nie tak jak u nas.

Ale konflikty są?

Są. Ale nie idą po linii Polak–migrant. Tylko pomiędzy pracownikami z różnych brygad, z różnych firm podwykonawczych. I to znowu nie jest przypadek, tylko konsekwencja bardzo wolnorynkowych relacji w polskiej branży budowlanej. Ja siedzę na górze i można powiedzieć, że widzę to stamtąd lepiej (*śmiech*).

I co widać?

Tam pod dźwigiem normalnie walczą ze sobą różne brygady budowlane. Choć pracują na jednej budowie, to każda może mieć innego szefa, inną organizację i co jeszcze ciekawsze – być inaczej opłacana. Operator pracuje na czas, więc jemu zależy, żeby było jak najmniej roboty i żeby nikt nie miał do niego pretensji, że coś źle zrobił. Z kolei ci na dole – na przykład zbrojarze – chcą ukręcić jak najwięcej stali. Bo są płaceni od tego, ile roboty wykonają. Więc już jest pierwsze pole konfliktu.

Na dodatek te różne brygady walczą o dostęp do dźwigu, bo pod jednym dźwigiem działa zbyt dużo ludzi, którzy nie są w stanie pracować, jeżeli nie mają na czas przetransportowanego materiału, np. cegieł ze składowiska na strop. W takich warunkach nie ma szans na powstanie między pracownikami jakiejś solidarności. Jak ją tworzyć, gdy każdy pracuje na innych zasadach? Dlatego to tak wygląda. Nie tylko w budowlance. W fabrykach dużych koncernów jest podobnie. W Volkswagenie pod Poznaniem jest 12 grup płacowych dla robotników. Plus cztery dla pracowników wypożyczanych z agencji pracy tymczasowej. To ma rozbijać jedność. ↦

KRZYSZTOF KRÓL pracuje jako operator dźwigu na poznańskich budowach. Działa w związku zawodowym Inicjatywa Pracownicza.

ARCHIWUM PRYWATNE

Co jeszcze widać z dźwigu?

Prawdziwym mistrzostwem świata jest kierownictwo. Ja na dobrą sprawę nigdy nie wiem, ilu mam kierowników. Czasem czterech: kierownik budowy, mój pośrednik, właściciel dźwigu i główny wykonawca.

I to jest za każdym razem inna osoba?

Czasem bywa, że główny wykonawca ma swój dźwig. Wtedy jest trzech. Ale co do zasady, to kierownictwo jest tu rozproszone. Ktoś powie, że bajzel. Gdzie tam! To metoda. Bo jak kierownicy czegoś chcą ode mnie, to nagle z żądaniami może występować czterech różnych facetów. Nic ich nie obchodzi, że domagają się ode mnie sprzecznych rzeczy. Ale jak ja coś chcę od nich, to nagle się okazuje, że kierownika w ogóle nie mam.

Jakiś przykład?

W poniedziałek poszedłem do roboty i zatrzasnęła mi się kabina. Ale tak kompletnie, że nie mogłem z niej wyjść, bo żurawie wieżowe na polskich budowach są z zasady w tragicznym stanie technicznym. No to siedzę tam na górze, jest godzina 12 i dzwonię do mojego pośrednika. A on mi na to, że nic nie wie i że będzie dzwonił do kierownika budowy. Potem mówi, że kierownik budowy mu obiecał, że do 16 będzie serwis.

I przysłał?

Gdzie tam! 16 mija, serwisu nie ma. A ja o 17 mam schodzić. No to w końcu wygiąłem okno i z okna dźwigu wyszedłem na wysięgnik. Z wysięgnika na wieżę. To jest jakieś 40 metrów w dół, dla mnie nie problem, bo nie mam lęku wysokości. Ale przykładowo 50-letni operator z nadwagą i z chorym kręgosłupem – co w tej branży jest normą – już nie da rady wykonywać takich akrobacji na wysokości, żeby móc wrócić do domu czy zdążyć na wizytę u dentysty. Dentysty, który nie czeka w nieskończoność na pacjenta, tak jak my musimy czekać na gruszkę z betonem, która często zamiast o 16 przyjeżdża o 19.

Behapowiec się nie przyczepił?

Behapowiec to jest jeszcze osobna historia. Generalnie jego zadaniem na budowie jest zarobienie na siebie i na generalnego wykonawcę. Daje więc kary podwykonawcom, którzy próbują je przerzucać na pracowników. W tym wypadku na drugi dzień straszył mnie mandatem za wyjście na wysięgnik. Do tego potem dzwoni kierownik i mi mówi, że ludzie mu donoszą, że ja byłem pijany i uciekłem z budowy. Stara śpiewka. Każdy kierownik, jak ma problem z ogarnięciem pracowników, to zwala na nich, że byli pijani.

> Wobec Ukraińców nie ma wrogości, że „zabierają robotę”. **Płacą mi Polacy**, a nie Ukraińcy. Raczej nam ich szkoda, bo ich cisną jeszcze bardziej niż nas.

Ale wracając do tamtego dnia, mówię mojemu kierownikowi, że to ja powinienem usłyszeć jego tłumaczenia, dlaczego przez pięć godzin nie mógł mi załatwić serwisu. Na co on, że to nie jego zadanie. Ta historia powtarza się w różnych wariantach. Jak oni czegoś chcą od ciebie, to jest ich czterech. Ale jak ty ich pytasz, na przykład czemu pieniądze się spóźniają, to słyszysz zawsze: „wiesz, od pieniędzy to nie ja jestem...”.

Przez ostatnich parę lat krążyło takie przekonanie, że w czasach dobrej koniunktury i niskiego bezrobocia „mamy rynek pracownika”.

Ja nie mam ani obiektywnego, ani subiektywnego przekonania, że siła przetargowa pracowników jest większa. W ostatnich latach – tych tzw. dobrych – płace wzrosły może o 20 proc. A i to nie wszędzie. Jak gadam o tym ze starszymi kolegami, to oni mówią, że te ostatnie dwa-trzy lata może przypominały trochę okres 2006-08. Ale czy to jest dużo? Nawet jeśli się uzna, że to był ten „rynek pracownika”, to mamy taki schemat: 10 lat „rynku pracodawcy”, potem dwa pracownika, potem znowu 10 lat pracodawcy. Tak to wygląda z naszej perspektywy.

A teraz znowu idzie kryzys.

Już słyszę, że komuś tam obcięli godzinową stawkę z 24 do 20 zł. Tu nie ma i nie było żadnych – nawet nieskutecznych czy zblatowanych z kierownictwem – związków zawodowych. Tu ludzie w ogóle nie są w stanie sobie wyobrazić sytuacji, w której można się postawić i domagać jakiegoś „postojowego”. Z drugiej strony, oni widzą, jak ich znajomi tracą pracę. I wtedy się cieszą, że w ogóle mają tę robotę. Na razie roboty jest dużo. Wygląda trochę na to, że w budowlance żadnego kryzysu nie ma. Nawet jak był wirus, to nie było przestojów. Cały czas stawiają się nowe dźwigi. Ale ludzie są wbici w ziemię. Jeszcze jest paru starszych majstrów, którzy pamiętają czasy sprzed 1989 roku. Były dla budowlanki najlepsze w historii.

Czytelnikom trudno będzie w to uwierzyć.

Patrzycie na życie innej klasy społecznej przez okulary własnej klasy. I myślicie pewnie, że na budowach to jest tak jak u was w biurze, tylko więcej na świeżym powietrzu. I że kiedyś za komuny to był syf, a teraz jest znośnie. Zapewniam was, że jest inaczej. A jak ktoś podnosi krzyk, że tak być nie powinno, to się mówi: „A co ty, w PRL-u chcesz żyć?”. Gdyby budowlaniec się nad tym głębiej zastanowił, to by krzyknął: „Tak! Chcę!”. Ale jeśli nie uwierzycie, to wasza sprawa. Niejedyna to sytuacja, w której głos robola zostanie zignorowany.

Czemu tak jest?

Bo wasz ból jest większy niż mój?

A poważnie?

Ludzie nie lubią mówić, że są w syfie, nawet jeżeli mają tego świadomość. Chcą zachować choć resztki godności. Części pracowników wydaje się, że są twardzi. Myśli taki, że jak wyciągnie 6-10 tys. miesięcznie, waląc po 300 godzin, to jest bogaczem. A przecież drobny przedsiębiorca jak ma 15 tys., to mówi, że przymiera głodem. A duży jak ma 50 tys., to idzie do rządu po pomoc, bo ledwo wyrabia. Ostatecznie ten mój przekaz jest o realiach i pewnie nawet w interesie pracowników. Ale przy obecnym stanie świadomości robotnicy tak siebie nie interpretują. Dlatego – wracając do rapu, od którego zaczęliśmy – proletariaccy raperzy wolą gadać o imprezach i dupach. Jakby byli królami życia. Ale prawda jest taka, że nie są, bo kończy się weekend i zaczyna praca.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

ARTUR KUBASIK

Tzw. niemiecki rynek, Świnoujście, 5 czerwca 2020 r.

Pogranicze w śpiączce

PIOTR OLEKSY

Cisza, spokój, przy targowisku dla Niemców wreszcie słychać ptaki. Dla Świnoujścia jednak taśma przecinająca promenadę nad morzem oznaczała powolne zamieranie.

Jakby czas cofnął się do lat osiemdziesiątych. Nie ma co prawda radzieckich żołnierzy, ale miasto stało się nieco klaustrofobiczne – z jednej strony Bałtyk, z drugiej Świna, z trzeciej granica. Do pełnego obrazu brakuje tylko biegaczy pustynnych, czyli roślin, których pędy przelatują na westernach przez puste ulice.

Wielu mieszkańców przyjęło zamknięcie granic z ulgą. Z Niemiec docierały plotki, że mieszkańcy najbardziej dotkniętych epidemią landów kierują się na północny wschód, gdzie liczba zakażeń jest mniejsza. W przededniu zamknięcia granic sznur niemieckich samochodów, załadowanych kanistrami, kierował się do polskich stacji benzynowych. Gdy wprowadzono już kontrole, kolega wracający zza Odry wrzucił na lokalną grupę facebookową pytanie, czy na przejściu Garz – Świnoujście są duże kolejki. „A co, chcesz nam przywieźć śmierć?" – odpowiedział ktoś.

Przaśność na pokaz

Nikt chyba się wtedy nie spodziewał, że potrwa to tak długo. W marcu sezon letni wydawał się jeszcze całkiem odległy. W sezonie wszystko powinno wrócić do normy. Miasto będzie pełne niemieckich turystów, oblegną hotele i restauracje. To będzie nas cieszyć. Będą niestety też robić korki w mieście i na przeprawie promowej. Na to będziemy wyklinać. Ale pokoje i apartamenty się zapełnią, Ukraińcy będą smażyć i sprzątać, Niemcy płacić, a my zarabiać. Przygraniczne targowisko, zwane niemieckim rynkiem, zatętni życiem. Ciągnie się kilka kilometrów wzdłuż ul. Wojska Polskiego, wygląda jak prowizorka zbita z blachy falistej, pleksi i podobnych materiałów. Głośna niemiecka muzyka, koszulki z wizerunkami zespołów muzycznych, ubrania, sery, kiełbasy, miody i przede wszystkim papierosy. I nawoływanie: „*Shashlik, shashlik! Zigaretten, zigaretten!*".

Ten rynek to prawdziwy fenomen. Tłumy Niemców ciągnące od budki do budki zapewne myślą, że tak wygląda Polska. A przecież żaden Polak tam nie kupuje. Ta przaśność, te dźwięki, ta bazarowość, to wszystko specjalnie dla nich.

Tymczasem przyszedł czerwiec i cisza na rynku niemieckim stała się dokuczliwa. Zrobiło się ciepło, a stojący na plaży znak, zakazujący przejścia, nie zniknął. Żołnierze Straży Granicznej z lornetką nadal obserwują z wydm. Co rusz musieli cofać tych, którzy próbują przejść wodą. – Wydaje im się, że zakaz dotyczy tylko plaży – opowiadali pogranicznicy.

Smutny widok: taśma na promenadzie transgranicznej, otwartej zaraz po wejściu do strefy Schengen. Latem w jedną i drugą stronę przewalały się przez nią tłumy: na rowerze, na rolkach, pieszo. Tuż za nią znajduje się pomnik otwartych granic – jakby dwie nogi, jedna z flagą polską, druga niemiecką, kroczące wzdłuż granicy. Na stacji kolei Usedomer Bäderbahn na skrzyżowaniu ul. Wojska Polskiego i 11 Listopada cały czas pali się czerwone światło.

↦

ARTUR KUBASIK X2

(Strzeżona) plaża na wydmach, obok: ścieżka rowerowa łącząca Świnoujście z niemieckim miastem Ahlbeck. Czerwiec 2020 r.

Oddechy miasta

Polska historia Świnoujścia to opowieść o łapaniu kolejnych oddechów. Na konferencji w Poczdamie, gdy Wielka Trójka postanowiła, że Polska będzie kontrolować ujście Odry. Mimo to przez długi czas Polacy byli w Świnoujściu kimś w rodzaju niemile widzianych gości. Większa część strategicznie położonego miasta, w tym cała strefa nadgraniczna i nadmorska, były kontrolowane przez radzieckich żołnierzy. Nawet przeprawa promowa była poza jurysdykcją polskich władz. By dostać się do centrum miasta, leżącego na wyspie Uznam, należało mieć specjalną przepustkę. Wiele urządzeń infrastruktury miejskiej, jak na przykład wodociągi, były zarządzane przez „ruskich". Pograniczne miasto dusiło się pod naciskiem strategicznego położenia.

Gdy Armia Radziecka wycofała się w 1958 r. z części nadmorskiej i zlikwidowano obowiązek przepustek, w mieście mogła zacząć się powoli rozwijać turystyka. To był pierwszy, nieco głębszy oddech. Przygraniczne części miasta nadal były jednak poza kontrolą polskiej administracji. Polskie Świnoujście nie miało więc lądowego połączenia z resztą świata. Kolejny przełom nastąpił po zjednoczeniu Niemiec i wycofaniu się wojska. Okolica w końcu nabrała cech pogranicza: otwarto przejście Świnoujście – Ahlbeck. Co prawda tylko dla ruchu pieszego i rowerowego, ale zawsze coś. Niemcy po swojej stronie stworzyli duży parking (z kinem dla kierowców), dzięki czemu rozwinęło się targowisko. Sam Ahlbeck to mały kurort, który nie może być równorzędnym partnerem dla 40-tysięcznego Świnoujścia, największego miasta na wyspie Uznam. Dla nas wystarczyło jednak, że niedaleko granicy istniał supermarket, który błyskawicznie stał się celem pieszych i rowerowych wypraw: po proszki, żelki, alkohole i wiele innych niemieckich dóbr. Bardziej wydajnych, bardziej kolorowych, nowoczesnych, a czasami nawet tańszych.

Pełną piersią

Wejście do strefy Schengen otworzyło zupełnie nowy etap. Świnoujście ruszyło biznesowo pełną parą, wywindowano ceny usług i nieruchomości, powstały luksusowe hotele oraz liczne zakłady fryzjerskie. W końcu dokonała się rzecz, której zapowiedzi słyszałem od dziecka: otwarto restaurację McDonald's. Powstała pierwsza galeria handlowa. Miasto zaczęto rewitalizować, wyraźnie nawiązując do przedwojennego dziedzictwa. Stojaki na rowery i kwietniki ozdobiły zdjęcia pokazujące, jak dana ulica wyglądała w czasach niemieckich.

Dla mieszkańców Świnoujścia i polskich turystów nagle otworzył się zupełnie nowy świat – bliski geograficznie i krajobrazowo, a niedawno tak daleki. Wioska Kamminke nad Zalewem Szczecińskim, leżąca przy samej granicy, zachwyca zabudową – pokryte strzechą domki na klifie boleśnie uświadamiają, jak mogłyby wyglądać nieodległe wioski na wyspie Wolin. Gdy latem od morza wiało zbyt mocno, to można było tam wyskoczyć, by wykąpać się w Zalewie Szczecińskim. Przekonaliśmy się do bułek ze śledziem. W niektórych latach lotnisko w Heringsdorfie oferowało połączenia z Warszawą i Krakowem. Świnoujście stało się tym, czym powinno być: centrum życia całych wysp ujścia Odry.

W oczekiwaniu

Pod koniec maja rozeszła się wieść, jak się okazało prawdziwa, że otworzą granicę w połowie czerwca. Na rynku niemieckim zaczął się niewielki ruch. Niektórzy przedsiębiorcy zaczęli szykować się na otwarcie, porządkować i remontować stragany. Pojawiła się nadzieja. Niektórym ten stan uśpienia mógł się podobać – cisza, spokój, bez korków, przy rynku niemieckim słychać śpiew ptaków. Ale doskonale widać było, że to przy otwartych granicach wyspiarskie miasto nabrało rozpędu. Szybko zaczęliśmy postrzegać to jako normalność. Widok pograniczników na plaży nie był po prostu smutny. Podsycił też strach, że ta normalność była tylko epizodem.

© PIOTR OLEKSY

ANNA

Dziewit-Meller:
Brakująca połowa dziejów

O tym, że popkulturowe obrazy kształtują naszą percepcję rzeczywistości, nie trzeba nikomu mówić. Wielu czerpie z nich podstawową wiedzę o tym, jak wygląda życie innych ludzi, kim są i jaka jest ich społeczna rola. Nie jest też wielką tajemnicą, że przekazy te niezwykle często oparte są na stereotypowych ujęciach – blondynki są głupie, młodzi Afroamerykanie popełniają przestępstwa, biali starsi mężczyźni rządzą światem, a kobiety parzą kawę ważnym prezesom albo wyciągają pranie z pralki w swoich domach na przedmieściach. Tak właśnie media budują zafałszowany obraz kolejnych grup – w wielu przypadkach wzmacniając krzywdzące stereotypy, z których tak ciężko się potem wydostać.

Wiem, że obecnie wielu moich rodaków, po odsłużeniu swego w zakresie wiedzy eksperckiej o pandemiach, powoli przechodzi na pozycje eksperckie dotyczące historii rasizmu w USA. To skądinąd ujmujące, że Polak potrafi, tak bardzo potrafi! Niemniej ja właśnie muszę zaniżyć narodowe statystyki i przyznać, że moja rodzina posiada wstydliwe epizody niewiedzy na temat historii Stanów Zjednoczonych, osobliwe w odniesieniu do historii ludności afroamerykańskiej.

Otóż najpierw doniosę na ojca moich dzieci, który mieszkając w 1991 r. w Atlancie, zapisał się na uniwersytecie Emory na zajęcia pod tytułem *Black studies*. Dla 20-letniego smyka zza opadłej właśnie żelaznej kurtyny wiedza, jaką dostał na tych zajęciach, była doprawdy zdumiewająca – po raz pierwszy w życiu usłyszał historię świata opowiedzianą nie z białej perspektywy i uświadomił sobie nie tylko to na przykład, że starożytny Egipt (w Polsce znany zwłaszcza z wersji z Zelnikiem i Brylską) to jednak historia ludzi o ciemnej skórze, ale także to, że Jezus Chrystus też raczej nie miał błękitnych oczu i woskowo białej twarzy.

O ile jednak ekspercki sanhedryn wypowiadający się o problemach rasowych na Facebooku może wybaczyć te błędy młodości mojemu mężowi, w końcu co oni tam na tym zadupiu świata, jakim był PRL, wówczas mogli wiedzieć (prócz tego, że „w Ameryce biją Murzynów"), o tyle mój osobisty brak w wykształceniu jest znacznie gorszy, bo jest świeży, dzisiejszy. Otóż – wierzcie mi ludzie lub nie – nie miałam zielonego pojęcia o tym, że na tzw. Dzikim Zachodzie czarnoskórzy kowboje stanowili bez mała jedną trzecią wszystkich mieszkańców tych terenów, znanych mi z niemieckiej serii książek o Winnetou i filmów typu „Tańczący z wilkami" albo serialu „Doktor Quinn". Popkulturowa wersja Dzikiego Zachodu niemal całkowicie pominęła rzeszę ludzi budujących potęgę Ameryki. Taki bowiem jest wszeteczny urok popkultury.

A dowiedziałam się tego wszystkiego właśnie teraz, śledząc doniesienia z ogarniętej niepokojem Ameryki. Moją uwagę przykuła fotografia młodej czarnoskórej kobiety, jadącej na koniu przez centrum Oakland, w tłumie protestujących po tragicznej śmierci George'a Floyda. Brianna Nobel, 25-letnia przedsiębiorczyni z Kalifornii, postanowiła w ten sposób zamanifestować swój gniew przeciwko rasizmowi. Nie wiedziała jednak, że jej jazda stanie się nie tylko internetowym viralem, ale także inspiracją dla kolejnych Afroamerykanów, którzy od dawna usiłują przywrócić należne miejsce czarnoskórych kowbojów w historii Ameryki. Wielu z nich na trwające wciąż manifestacje przyjeżdża teraz konno. Na przykład opisani przez „New York Timesa" członkowie grupy Compton Cowboys.

Zawód poganiacza bydła był po wojnie secesyjnej jednym z nielicznych sensownych zajęć, jakie mogli legalnie wykonywać ci ludzie, choć oczywiście skala dyskryminacji, jakiej doświadczali, gnając stada przez prerię, była dramatyczna. W pracach badaczy Dzikiego Zachodu, takich jak William Loren Katz, przeczytać można jednak, że choć pogardzani i wykluczani w miastach, w swoim środowisku kowboje ci cieszyli się szacunkiem nieznanym nigdzie indziej. Dziś pamięć o tych ludziach starają się przywracać takie postaci jak Cleo Hearn, Afroamerykanin od ponad 50 lat zajmujący się hodowlą bydła, który w 1970 r. jako pierwszy czarnoskóry został oficjalnym mistrzem rodeo i jako ów mistrz otrzymał stypendium w college'u. Hearn był także pierwszym Afroamerykaninem, który wcielił się w kultową postać Marlboro Mana, zarezerwowaną przez lata dla białych mężczyzn. Dziś ten starszy już kowboj nie tylko organizuje rodeo, w którym bez problemu mogą wziąć udział ludzie dowolnego koloru, rasy i płci, ale także stara się przywracać pamięć o poprzednich pokoleniach tych, których ciężka praca przyczyniła się do budowy potęgi Ameryki, zwłaszcza zaś legendy Dzikiego Zachodu. Do tej pory znałam ją w okrojonej wersji, pełnej typów w rodzaju Johna Wayne'a, ale już to zmieniam. Uwielbiam, gdy z podręczników historii znikają plamy. Białe. ©

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem informujemy o śmierci

Ś.† P.

Aleksandry Hohol

Mateuszowi i całej rodzinie
składamy serdeczne wyrazy współczucia.

PRZYJACIÓŁKI I PRZYJACIELE
Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO",
CENTRUM KOPERNIKA I COPERNICUS CENTER PRESS

KAPŁAŃSKA FUTUROLOGIA

Pandemia zdaje się podważać naszą niezbędność. Przypadki pedofilii ściągają nas z piedestału. Czy ksiądz ma przyszłość?

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

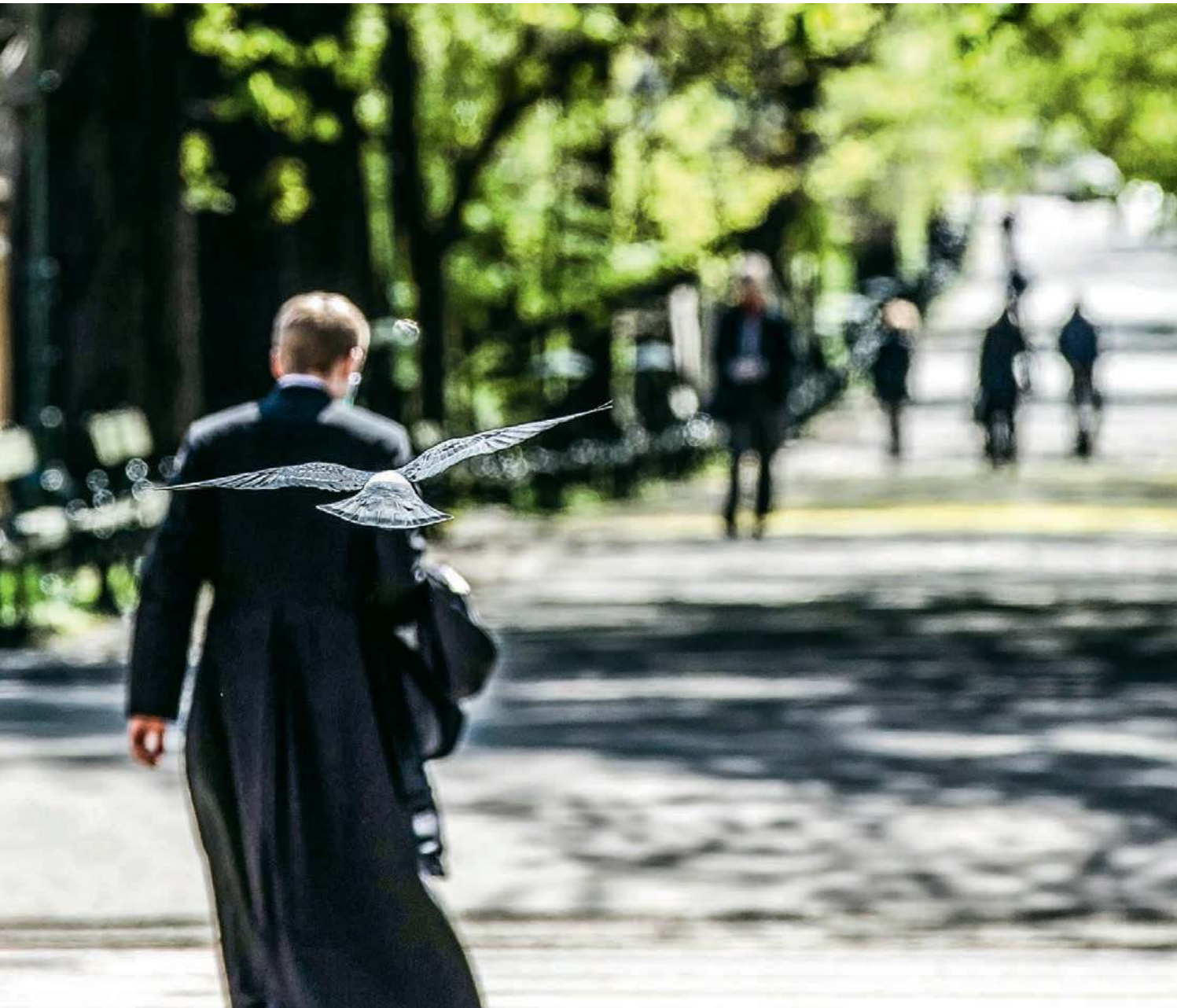

Czas, w którym się znaleźliśmy, można potraktować jak kurację z klerykalizmu – mówił niedawno ks. Adam Boniecki. – Nagle się okazało, że ksiądz nie jest nam niezbędnie potrzebny do zbawienia. Co więcej, że niektórzy księża nie są nam do niczego potrzebni w sferze »posługi słowa« – jak się lubi nazywać to, co mówią. Bo po prostu nie mają nic do powiedzenia" („TP" nr 17-18/20). Pytanie jednak, czy to jest kuracja z klerykalizmu, czy może z kapłaństwa? To istotne rozróżnienie. Czy przedłużająca się epidemia doprowadzi do jakiejś redefinicji roli księdza? Tak, to prawda, że przez tygodnie dawaliśmy sobie radę bez kapłanów, a przynajmniej bez bezpośredniego z nimi spotkania: komunia duchowa, żal doskonały, liturgia domowa, transmisje. Sam pisałem na tych łamach, by nie mylić sakramentalności Kościoła z „sakramentalnym i liturgicznym klerykalizmem", czyli przekonaniem, że Jezus jest tylko tam, gdzie są sakramenty, a sakramenty tam, gdzie kapłan.

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Czy księża wrócą do swoich ról? Ale co tak właściwie jest rolą księdza? Poza tym – ponieważ są one ściśle związane – rolę teologiczną łatwo pomylić z rolą społeczną. Film „Zabawa w chowanego" kolejny raz pokazał, do czego może doprowadzić pomieszanie tych dwóch ról z ich jednoczesnym przecenianiem. Bez dość powszechnej zgody na specjalny status księdza wiele z tych dramatycznych historii mogłoby wyglądać inaczej. Oprawcy swój wyjątkowy status wykorzystywali, ofiary – ulegały mu. W jakimś sensie wydawał się przecież naturalnym spoiwem struktury religijno-społecznej.

W teologicznym rozkroku

Kiedy przed 30 laty przygotowywałem się do święceń kapłańskich, czytałem wydany w 1972 r. „Czas otwarty" ks. Janusza St. Pasierba. To rozważania pisane już po Soborze Watykańskim II: wiał wiatr zmian, których autor był entuzjastą, choć został ukształtowany przez Kościół przedsoborowy i wciąż jedną nogą w nim tkwił. Dobrze to widać w eseju pt. „Liturgia jako dzieło sztuki". Pasierb przyznaje w nim, że chciał kiedyś napisać tekst o liturgii przedsoborowej i dać mu tytuł „Oda na śmierć królowej": „Byłem zwolennikiem nowej liturgii, doceniałem jej prostotę i przystępność, powściągliwość i biblijność. (...) Ale moje serce pozostaje po stronie liturgii dawnej, liturgii mojego ministranckiego dzieciństwa i kleryckiej młodości".

Nie ma teologii liturgii bez teologii kapłaństwa. Inaczej myśli o sobie ksiądz, który sprawuje tzw. liturgię przedsoborową, a inaczej – liturgię odnowioną. Pasierb ma świadomość zmian, jakie wpływają na rozumienie kapłaństwa. Pisze tak: „Czy księża są jeszcze potrzebni? Jeśli tak, to do czego? Człowiekowi współczesnemu nie bardzo trafia do przekonania argumentacja historyczna, że idea kapłaństwa jako pośrednictwa między człowiekiem a siłami nadprzyrodzonymi jest stara jak sama ludzkość. (...) Człowiek współczesny, w jakimś stopniu *self made man* (...) jest przekonany, że może sam, bez pośredników załatwiać swoje sprawy z Bogiem". Czyżby dzisiejszy kryzys kapłaństwa to wypadkowa braku zapotrzebowania na pośredników między ludźmi a Bogiem?

Kościół bez księży

Myśl o zbędności księdza w procesie zbawienia pojawia się też wśród wierzących. Ks. Remigiusz Szauer z Uniwersytetu Szczecińskiego przeprowadził badania religijności studentów i uczniów szkół średnich diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej („Między potrzebą doznań a trwałością potrzeb"). Jedno z pytań brzmiało: „Czy Kościół mógłby prowadzić do zbawienia wiernych bez duchownych?". Co prawda tylko 9,7 proc. badanych odpowiedziało „zdecydowanie tak", ale odpowiedzi „raczej tak" udzieliło aż 26,2 proc., co daje łącznie ponad 35 proc. Tych, którzy nie wyobrażają sobie zbawienia bez pośrednictwa kapłanów, jest łącznie 25,9 proc. respondentów. Zaskakujący jest także duży odsetek tych, którzy nie zdecydowali się na żadną odpowiedź – tych jest aż 38 proc. To – niestety – potencjalni „wyznawcy" Kościoła bez księży.

To prawda, że ponad 30 proc. głęboko wierzących nie widzi możliwości, aby Kościół prowadził wiernych do zbawienia bez księży, ale jednocześnie ponad 20 proc. respondentów z taką autodeklaracją wiary jest zdania, że duchowni nie są potrzebni do tej misji, a aż 47 proc. głęboko wierzących nie ma zdania w tej kwestii. Tak oto rodzi się religijność bez niezbędnej roli kapłana.

Chyba jeszcze bardziej zaskakująco brzmią odpowiedzi w powiązaniu z deklaracjami na temat praktyk. 46,6 proc. respondentów praktykujących częściej niż w niedzielę opowiada się za koniecznością duchownych dla zbawczej misji Kościoła. Pozostaje pytanie: czy to aż, czy tylko 46,6 proc.? W tej samej grupie 16,1 proc. zadeklarowało, że Kościół mógłby się obyć bez księży w drodze do zbawienia. W grupie praktykujących systematycznie tych, którzy opowiadają się za niekoniecznością księży, jest 33,6 proc., a 28,8 proc. jest odmiennego zdania.

Mnie jako księdza zaskakuje fakt, że tak wielu (głęboko) wierzących i systematycznie praktykujących katolików ↦

nie widzi konieczności kapłana. Przecież biorą udział we mszy, a więc w czymś, co bez kapłana jest – w rozumieniu teologii katolickiej – niemożliwe.

Niepotrzebny

Można by zaryzykować stwierdzenie, że poprzez wielotygodniowe obchodzenie się bez fizycznego uczestnictwa w liturgii sprawowanej przez księdza w jakimś sensie potwierdziła się jego „niekonieczność". Owszem, parafie starały się prowadzić transmisje, ale – Bogiem a prawdą – mogłaby przecież wystarczyć jedna dla wszystkich, gdyby sprowadzić całą kapłańską posługę do umożliwienia wiernym „uczestnictwa" w mszy transmitowanej. Owszem, podkreślano wyjątkowość takich praktyk jak komunia duchowa i żal doskonały. Owszem, pisano, że liturgia domowa nie zastąpi liturgii pod przewodnictwem kapłana. Ale jednocześnie pytano, czym w gruncie rzeczy różni się nabożeństwo Wielkiego Piątku sprawowane w domu przez ojca rodziny od tego w kościele?

Jeśli coś jest możliwe w wyjątkowej sytuacji, to znaczy, że jest *de facto* możliwe zawsze. Jak przypomina Pasierb, „w najstarszych religiach ojcowie rodziny spełniali funkcje kapłańskie, które potem wyspecjalizowane stały się domeną »fachowców«". Ano właśnie. Przypomnieliśmy sobie o Kościele domowym, o kapłańskiej funkcji ojców i w ogóle świeckich. Mówiąc nieco anegdotycznie: skoro ksiądz zbędny jest już do święconki, to do czego w ogóle jest potrzebny? Próby organizowania święconki w Wielką Sobotę były powodowane dobrem wiernych czy lękiem przed utratą statusu?

Przewodniczący

Wracam do Pasierba z 1972 r.: „Nowa wizja Kościoła – nowe ukształtowanie kościoła. Świeccy i duchowni stoimy wokół ołtarza i przez ołtarz, który symbolizuje Chrystusa, patrzymy sobie w oczy". Pasierb doświadczył przejścia od liturgii starej do nowej, od – w dużym skrócie – pokazywania ludowi pleców do patrzenia mu w oczy. Ta „nowa topografia" liturgii ujawniała oczywiście nową teologię, którą daje się wyczytać z soborowej konstytucji „Sacrosanctum concilium" (co ciekawe, inni z tego samego dokumentu wyprowadzają zgoła inną wizję teologiczną).

Ta teologia dokonała przesunięcia w obrębie rozumienia podmiotu sprawowania liturgii, zwłaszcza Eucharystii. Powiedziano, że „czynności liturgiczne należą do całego Ciała Kościoła, (...) poszczególnych natomiast członków dosięgają w różny sposób, zależnie od stopnia święceń, urzędów i czynnego udziału" (n. 26). Dalej dokument mówi, że zarówno świecki, jak i duchowny spełnia swą funkcję „w odprawianiu liturgii" (n. 28). Kapłan mszy nie sprawuje „dla ludzi", ale „z ludem", bo właściwym podmiotem odprawiającym mszę jest całe zgromadzenie, któremu on przewodzi. Właśnie dlatego wspólne sprawowanie liturgii ma pierwszeństwo „przed odprawianiem indywidualnym i niejako prywatnym" (n. 27), choć każda msza „ma zawsze charakter publiczny i społeczny" (n. 27), także ta sprawowana *sine populo*.

> Podczas pandemii przypomnieliśmy sobie o Kościele domowym, o kapłańskiej funkcji ojców i w ogóle świeckich. Mówiąc anegdotycznie: skoro zbędny jest do święconki, **to do czego w ogóle ksiądz jest potrzebny?**

Skoro kapłan przestaje być odprawiającym solistą, należy mu przypisać inną funkcję – przewodniczenia zgromadzeniu liturgicznemu. *Ars celebrandi* zamienia się w *ars praesidendi*, sztuka celebrowania w sztukę przewodniczenia, a ta domaga się zgoła innych kompetencji komunikacyjnych. Obrazowo wyraził to Pasierb: „Odprawiając mszę św. twarzą do ludzi, trzeba mieć (...) twarz i coś z nią robić, coś wyrażać spojrzeniem, mimiką, uczymy się patrzeć sobie w oczy". Także i w tym zdaniu ujawnia się swoista teologiczno-liturgiczna schizofrenia polskich kapłanów – w dużej mierze teologicznie przedsoborowych i liturgicznie posoborowych. Uczyliśmy się wszyscy już Nowej Mszy (*Novus Ordo Missae*), ale z tkwiącą w nas mocno przedsoborową wizją Ludu Bożego, z umiłowaniem starego porządku teologicznego, gdy – jak mówili złośliwi – świecki miał wyłącznie prawo powiedzieć „amen".

Razem lub samotnie

Cóż to ma wspólnego z epidemią? W jej trakcie internet obiegały zdjęcia kapłanów sprawujących mszę samotnie wobec pustych ławek. Niektórzy prosili parafian, by przysyłali swoje zdjęcia, które umieszczali w kościele. Pojawiły się pytania o sens takich celebracji. Środowiska tradycyjne podkreślały, że sprawowanie mszy twarzą do nawy w chwili, gdy nikogo w niej nie ma, ukazało pułapkę kryjącą się w teologii (a może w praktyce) mszy sprawowanej w stronę ludu. Samotny kapłan napotykał *horror vacui*. Nagle przestał czemukolwiek przewodniczyć. Został „skazany" na samotną celebrację, która przed Soborem nie była niczym nadzwyczajnym. Tylko czy sensownym?

Ks. Boniecki mówi: „Te samotnie odprawiane msze zawsze były, i jeśli się zdarzają, to nadal są dla mnie silnym przeżyciem. W pustym pomieszczeniu, bez innych uczestników odczuwam wspólnotę z Kościołem, ze wszystkimi mszami, które na świecie się w tym momencie odprawiają. Nie jestem w centrum, bo jestem sam. Wtedy nie ma innego centrum poza Jezusem".

W ostatnim czasie pojawiały się jednak propozycje wyrastające z zupełnie innej wrażliwości teologicznej. Postulowano zupełne zawieszenie liturgii, które miałyby być sprawowane bez ludu, i to nie z powodów epidemiologicznych, ale teologicznych. Księża z Francji apelowali: „dopóki wszyscy nie będziemy mogli zgromadzić się na Eucharystii, to taka Eucharystia jest wypaczeniem nakazu Chrystusa". Msza bez ludu byłaby według nich czystym rytualizmem, który akcentuje konieczność zadośćuczynienia samej akcji liturgicznej, a nie dobru ludu Bożego, którego na tej mszy nie ma. W tym rozumieniu nie chodzi o łączenie się z mistyczną, powszechną wspólnotą Kościoła, ale ze wspólnotą *in concreto*, aktualizującą się w danym miejscu i czasie. Jeśli nie ma wspólnoty, nie ma racji do sprawowania mszy. Po prostu nie ma czemu przewodniczyć.

Kapłan jak świecki

Nie dziwi mnie krytyka takich propozycji. Na ćwiczeniach w ramach wykładów z teologii laikatu omawiam z przyszłymi duchownymi fragmenty książki „Być ka-

płanem dzisiaj" ks. Gisberta Greshakego, w której podejmuje on kwestię relacji duchownych do świeckich, a także problem klerykalizmu księży. Fragment dotyczący relacji kapłan–Eucharystia–wspólnota spotyka się zawsze z tym samym dystansem słuchaczy: „specyficzny charakter [kapłana] polega na aktywnym służeniu wspólnocie, nie zaś na szukaniu »duchowego samospełnienia« przez wykonywanie funkcji kapłańskich. Ponieważ kapłan zawsze pozostaje »laikiem« (członkiem Ludu Bożego), to »bycie urzędu razem z« pozostałymi chrześcijanami powinno znajdować swój zewnętrzny wyraz w taki sposób, że tam, gdzie – w sprawowaniu Eucharystii na przykład – jego kapłańska posługa nie jest koniecznie potrzebna, powinien zupełnie świadomie zająć miejsce pośród Ludu Bożego". W konsekwencji – tam, gdzie w formie wspólnotowej liturgia jest niemożliwa, trzeba się powstrzymać od jej samotnego sprawowania. Bez ludu msza nie ma racji bytu.

Ireneusz Cieślik, świecki liturgista, tak pisał na portalu „W ięzi" o samotnych celebracjach księży w czasie epidemii: „Zazwyczaj trudno było dostrzec w ich wypowiedziach i gestach nawet cień świadomości, że sprawowanej przez nich Eucharystii z powodu braku wiernych brakuje czegoś fundamentalnego pod względem sakramentalnym. Miało się wrażenie, że ten brak wiernych postrzegany jest bardziej w kategoriach dyskomfortu z powodu braku lub skromności audytorium". Mówiąc krótko, nie miał kto księdzu odpowiedzieć.

Na przeciwległym biegunie będzie kard. Robert Sarah, który mówił „Naszemu Dziennikowi": „Bywa, że z powodu przymusowego odosobnienia [księża] odprawiają Mszę Świętą w samotności. Uświadamiają sobie wówczas niezmierną wielkość Ofiary Eucharystycznej, która nie potrzebuje wielkich rzesz ludzi, by przynosić owoce. Przez Mszę Świętą ksiądz dotyka całego świata. Jak Mojżesz i jak sam Jezus, księża odkrywają na nowo moc swojego wstawiennictwa, swoją funkcję pośrednika między Bogiem i człowiekiem. Oczywiście, sprawując Eucharystię, już nie mają przed sobą ludu Bożego. Zwracają wówczas spojrzenie ku Wschodowi". Daleka jest to perspektywa od tej przedstawionej przez grupę francuskich kapłanów, a jednocześnie bliższa polskim księżom.

Od myślenia o sobie w kategoriach szczególnego wstawiennictwa trzeba przejść do pośrednictwa, rozumianego jako pokorne reprezentowanie Boga wobec człowieka.
Ludzie wciąż potrzebują księdza, nie chcą klerykała.

Wstawiennictwo

Wracamy do punktu wyjścia: do wstawiennictwa i pośrednictwa. Ta wstawiennicza funkcja kapłaństwa wciąż jest żywa w świadomości wiernych. I nie chodzi tylko o samo zamawianie mszy, ale o prośby typu „niech się ksiądz za mnie pomodli", zdradzające przekonanie, że modlitwa zanoszona przez księdza ma specjalny status, jest – jakby z natury – bardziej skuteczna, bezpośrednio docierająca do Boga. Jak się ksiądz pomodli, to będzie inaczej.

Kard. Sarah ma rację. W teologii kapłaństwa, która w nas dominuje, chodzi nie tylko o funkcję pośredniczącą, ale o funkcję wstawienniczą, a wstawiać się może jedynie ten, kto ma większe kompetencje niż proszący. Tylko skąd miałyby się one brać? Z wiedzy teologicznej? Ta jest przecież dostępna wszystkim. Z życia duchowego? Niejeden świecki prowadzi bogatsze życie duchowe niż jego proboszcz. Z technik? Też nie, bo kapłaństwo nie ma nic wspólnego z szamanizmem. A więc z czego? Z kondycji sakramentalnej? Ta uzdalnia go – jedynie czy aż? – do przewodniczenia liturgii, której podmiotem jest „mistyczne Ciało Jezusa Chrystusa, to jest Głowa ze swymi członkami". To Kościół – jak przypomina Konstytucja o liturgii – „wykonuje całkowity kult publiczny" (n. 7), a nie ksiądz.

Po co ludziom ksiądz? A może po co Bogu ksiądz? „Po Jego wniebowstąpieniu [Chrystus] – odpowiada Pasierb – pragnie spotykać się z ludźmi przez człowieczeństwo, by Jego straszliwy majestat był jakby ograniczony przez słabość wybranego człowieka. (...) Potrzebuje ich dla ludzi, żeby zmniejszyć dystans – ileż się niektórzy biedni księża namęczą nieraz, żeby go właśnie stworzyć, żeby na tym zbudować swój żałosny »autorytet«. Bóg potrzebuje zwykłych ludzkich nóg, żeby iść do ludzi, potrzebuje ludzkich rąk, żeby ich dotknąć, pogładzić, podnieść, potrzebuje ludzkich ust, żeby mówić do ludzi zrozumiałym dla nich językiem". Tak zarysowana perspektywa redefiniuje kapłańskie pośrednictwo. Najpierw odwraca jego kierunek. Potem przekształca je w pośrednictwo służebne. Od myślenia o sobie w kategoriach szczególnego wstawiennictwa, które pozwala na dystans, inność, odrębność i koturnową wyjątkowość, trzeba przejść do pośrednictwa, które jest rozumiane jako pokorne i nieudolne reprezentowanie Boga wobec człowieka. Ludzie wciąż potrzebują księdza, nie chcą klerykała.

Dwa kierunki

Jeszcze raz Pasierb: „Podstawowa rzecz, którą trzeba zrozumieć i ciągle o niej pamiętać, że księdzem nie zostaje się dla siebie. Egotyzm, egoizm są największymi wrogami powołania. Księdzem może zostać tylko ten, kto posiada zdolność głębokiego przejmowania się losem innych ludzi – aż po ostateczne konsekwencje". Ja wiem, że w kontekście ostatnich wydarzeń ten postulat brzmi gorzko i może mało wiarygodnie. Ale jest prawdziwy. To prawdziwy powód dla bycia księdzem – przejęcie się losem człowieka.

Przychodzący do seminarium kandydat będzie słyszał przez 6 lat, że kapłan to *alter Christus* – drugi Chrystus, albo nawet *ipse Christus* – sam Chrystus. I że będzie działał *in persona Christi*. I choć to w określonych kategoriach teologicznych prawda, może się od niej zakręcić w głowie i w sercu. Bo kim jest wtedy ta cała reszta? Kim jest Kościół, do którego idzie? Łatwo tu o poczucie wyższości, a nawet pogardę.

Ale ważne jest też pytanie, z jaką wizją przychodzi. Czy będzie chciał poprzez ołtarz spoglądać w oczy zgromadzonych razem z nim na liturgii? Czy może raczej jego wzrok będzie się kierował ku Wschodowi? A może to fałszywa alternatywa? Może swoje kapłaństwo „wygrywają" ci, którzy potrafią złączyć w sobie oba kierunki? Popatrzeć ludziom w oczy i z oczu Boga nie stracić?

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Tora i kąpiele leśne

DOROTA BIDZIŃSKA

– My nie tylko igramy z ogniem – mówi o globalnych zmianach klimatycznych rabin David Seidenberg. – My jedziemy na drewnianym koniku prosto do pożaru.

Kiedy patrzy w rozgwieżdżone niebo, myśli o obietnicy, którą Najwyższy złożył praojcu Abrahamowi: „Będę ci błogosławił i dam ci potomstwo tak liczne jak gwiazdy na niebie" (Rdz 22, 17). I o tym, że gdyby Abraham żył w dzisiejszym Nowym Jorku lub Jerozolimie, miastach, które nie zasypiają, rozświetlonych milionem lamp i neonów, obietnica Boża zabrzmiałaby dość żałośnie.

Widok kwitnących sadów sprawia, że w głowie pobrzmiewają mu słowa z Księgi Powtórzonego Prawa: „Jeśli przez wiele dni będziesz oblegał miasto i walczył z nim, nie zetniesz jego drzew podkładając siekierę, bo będziesz spożywał z nich owoce. Dlatego ich nie zniszczysz. Czy drzewo to człowiek, byś je oblegał?" (Pwt 20, 19-20). Wspomina też swoją wizytę na Zachodnim Brzegu i widok płonących palestyńskich gajów oliwnych. Ogień podłożyli izraelscy osadnicy. „Tora naucza nas, że życie na ziemi świętej to przywilej, a nie prawo – przywilej, który może zostać odebrany, jeśli będziemy nadużywać zarówno ziemi, jak i innych ludzi" – przekonuje w jednym z wpisów na blogu, który prowadzi dla „The Times of Israel".

Globalnym zmianom klimatycznym przygląda się trzymając w jednej ręce alarmujące raporty Tel Aviv University o pustynnieniu terenów wokół Negewu, a w drugiej księgę Tory: „Ziemia, którą idziecie posiąść, nie jest podobna do ziemi egipskiej, skąd wyszliście, a w którą posiawszy nasienie doprowadziliście wodę jak do ogrodu warzywnego przy pomocy nóg. Ziemia, którą idziecie posiąść, jest krajem gór i dolin, pijącym wodę z deszczu niebieskiego. To ziemia, którą stale nawiedza Pan, Bóg wasz, na której spoczywają oczy Pana, Boga waszego, od początku roku aż do końca" (Pwt 11, 10-12).

To, czy deszcz spadnie na ziemię – przekonuje dalej natchniony autor – zależy od woli Bożej i tego, czy lud przestrzega Jego prawa. A rabin zauważa, że opowieść, która jeszcze niedawno uznawana była przez naukowców za prymitywny przesąd, kryje w sobie głęboką prawdę. Izrael i Palestyna to jeden z najbardziej wrażliwych na zmiany klimatyczne terenów na ziemi, zaraz po obszarach polarnych. Tu dostrzec można uniwersalne przesłanie dla całego świata: za grzechy przeciwko środowisku zapłacimy surową karę.

Teologia nocnego nieba

Rabin David Seidenberg mieszka w Northampton w stanie Massachusetts. Jest autorem książki „Kabbalah and Ecology". Prowadzi gościnne wykłady w Stanach i na świecie. Temat: tradycja i myśl judaistyczna w kontekście zagrożeń środowiska naturalnego.

– Kiedy zainteresowałem się światem przyrody? Nie pamiętam czasów, kiedy mnie to nie interesowało! – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu". – Od zawsze uwielbiałem to, co nazywa się teraz kąpielami leśnymi, zanim jeszcze stało się to modne. W ten sposób znajduję wewnętrzną równowagę.

Od kilku lat pasjonuje się też astronomią: „Obserwacja gwiazd uczy nas patrzeć na głębię ciemności, która je otacza, rozumieć, że niewidzialne jest bardziej rozległe niż widzialne – pisze na blogu. – Karmiąc nasze oczy, napełniamy nasze serca zdumieniem, a w sercach pełnych zdumienia rozlewa się wdzięczność".

– Jedną z najpiękniejszych rzeczy w astronomii jest to, że obszaru stworzenia, który ona bada, ludzkość nigdy nie zniszczy – tłumaczy. – Ogrom wszechświata pozostaje nienaruszony, mimo że zaburzamy zdolność do zachwycania się nim przez zanieczyszczenie światłem i odpady kosmiczne. Osobiście uważam, że możliwość oglądania Drogi Mlecznej powinna być jednym z podstawowych praw człowieka!

Przyznaje, że żadna inna kwestia nie jest dla niego teraz tak paląco ważna jak zmiany klimatyczne, wymieranie gatunków czy zanieczyszczenie oceanów.

– Wszystkie te problemy są manifestacją naszego głębokiego duchowego kryzysu – alienacji od świata wokół nas. Sądzę, że dostrzeżenie w religii soczewki do przyglądania się ekologii ma ogromny potencjał dla odnowy religijnych instytucji i osobistego duchowego doświadczenia.

W „Kabbalah and Ecology" zwraca się w stronę teologicznej koncepcji *celem* – Bożego obrazu, według którego został stworzony człowiek. Dowodzi, że ta kategoria powinna być rozszerzona także na inne pozaludzkie byty, ich wzajemne relacje i współegzystowanie. Argumentację opiera o wnikliwe studia źródeł rabinicznych i mistycznych tekstów kabały.

Publicysta Ben Lorber przyznaje, że początkowo te treści budziły w nim sprzeciw: „Naszą ziemią jest Talmud, naszym ekosystemem halacha, naszą ojczyzną – pamięć" – pisze o swoim rozumieniu judaizmu w recenzji opublikowanej w „Protocols", piśmie, które reklamuje się jako progresywne i lewicowe, „oddające głos żydowskim twórcom marginalizowanym i wykluczanym przez mainstreamowe platformy". „Być może to dlatego, że nie lubię kempingów, jak zresztą większość Żydów, których znam. Czerpię duchową pożywkę i radość z natury, ale sądzę, że czysta egzaltacja światem natury, dla niego samego, jest swego rodzaju poganizmem".

Tymczasem Seidenberg pokazuje, że to właśnie budowanie opozycji natura *versus* kultura jest późniejszym wpływem, który dotarł do judaizmu wraz z oświeceniem. I że w historii religii zawsze istniały nurty znajdujące się w kontrze do takiego dualistycznego podejścia – jak kabała, będąca odpowiedzią na antropologię kształtującą się pod wpływem filozofii średniowiecznej i chrześcijańskiej apologetyki.

„»Kabała i ekologia« jest pracą wywodzącą się z głębokiej wierności i miłości do żydowskiej tradycji, która, z ostrożną dbałością o dziedzictwo, stara się położyć duchowo-teoretyczne fundamenty dla nowego etosu i nowego sposobu bycia Żydem" – podsumowuje Lorber.

Tyle prasa lewicowa. A jak jego książkę odbierają środowiska konserwatywne?

ARCHIWUM PRYWATNE

Rabin David Seidenberg

Czy nie pojawiają się zarzuty, że wykracza poza ortodoksję? – Takie oskarżenie oznaczałoby, że środowiska ortodoksyjne potraktowały moją książkę poważnie, jak wyzwanie. Prawdę mówiąc, byłbym zadowolony, gdyby tak się stało – odpowiada. – Co prawda przeczytało ją, i nawet doceniło, kilku ortodoksyjnych rabinów i aktywistów, ale szeroko rozumiany świat ortodoksów przeszedł obok niej obojętnie. Jakby nie zdając sobie sprawy, że problemy ekologiczne dotykają egzystencji nas wszystkich.

Odkopana studnia

Jego relację z judaizmem ortodoksyjnym najkrócej można opisać dwoma słowami: „to skomplikowane". Pochodzi z niereligijnej rodziny. Kiedy był w college'u, zaczął odkrywać dla siebie tradycję: „Czułem, jakbym odkopał dla siebie studnię, która żywiła moich przodków" – opisuje to doświadczenie, nawiązując do fragmentu z Tory, w którym Izaak odkopuje studnie swojego ojca Abrahama (Rdz 26).

Z czasem jednak na tym idealnym obrazie zaczęły pojawiać się rysy. Najwyraźniejszą był sposób traktowania kobiet w świecie ortodoksji. Inną, równie dokuczliwą, próby narzucania jednego sposobu dochodzenia do Boga i przeżywania wiary kosztem ludzkiej wolności. „Uważam, że poważnym grzechem wobec ludzkiej godności jest mówienie komuś, w co wolno mu wierzyć, a poważnym grzechem wobec Boga – wierzyć, że jest tylko jedna droga odkrywania świętości" – wyjaśnia. To był dla niego trudny moment – właśnie sporym wysiłkiem odkopał dla siebie studnię, a równocześnie wyraźnie czuł, że musi ją opuścić.

Zaczął chodzić do synagog reformowanych. Czuł się tam obco. W modlitwach brakowało mu pasji i zapamiętania, których doświadczał na zgromadzeniach ortodoksów. W połowie lat 90. postanowił założyć własny egalitarny *minjan*. Spotykali się na Manhattanie, w Nowym Jorku. Zgromadzenie modlitewne mężczyzn i kobiet, otwarte dla każdego, niezależnie od tego, czy był Żydem ortodoksyjnym, konserwatywnym czy reformowanym. Razem praktykowali tradycyjne formy modlitwy. Z czasem ta idea przeniosła się do innych miast w Stanach, a dziesięć lat później rabin Seidenberg wraz z przyjaciółmi założył stronę neohasid.org, gdzie udostępniali modlitwy, tradycyjne chasydzkie pieśni i wyjaśniali żydowskie rytuały wszystkim zainteresowanym, także nie-Żydom szukającym duchowych źródeł w różnych tradycjach.

David Seidenberg został wyświęcony na rabina zarówno w konserwatywnym Jewish Theological Seminary, jak i przez rabina Zalmana Schachtera-Shalomiego – jednego z założycieli ruchu odnowy żydowskiej i działacza na rzecz dialogu międzyreligijnego. Sam o sobie mówi, że jest „rytualnym prawicowcem" i „politycznym lewicowcem". – Przekonałem się, że nawet w ramach jednego życia musisz wielokrotnie przekopać studnię swojego młodzieńczego ustanowienia. Nie przejmować się etykietami i kopać – zwierza się.

Jarmułka i środkowy palec

„*Petach lewaw kol bocea lachatof ha-ani we-ha-adama*" – „Dotknij serc tych, którzy szukają jedynie zysków kosztem ubogich i ziemi".

We wrześniu 2015 r., cztery miesiące po opublikowaniu encykliki „Laudato si'", rabin Seidenberg na portalu opensiddur.org zamieścił autorskie tłumaczenie modlitwy papieża Franciszka „Za naszą Ziemię" na język hebrajski.

– Nie powiedziałbym na pewno, że mam gruntowną wiedzę na temat „Laudato si'" – odpowiada ostrożnie, kiedy pytam go o odbiór papieskiego dokumentu. – Dla mnie ważne jest podkreślenie wpływu zmian klimatycznych na życie najuboższych. To wyjątkowo dobitny sposób sformułowania tej myśli w Kościele katolickim.

„Jeśli zmiany klimatyczne się pogłębią, możemy spodziewać się, że będzie więcej wojen o zasoby, więcej zalanych terenów i pustynnienia, więcej uchodźców i większa presja na nasze systemy" – pisze na blogu.

Symbolem tego, jak bezwzględność wobec natury idzie w parze z okrucieństwem wobec innych ludzi, są dla niego właśnie te płonące gaje oliwne, podpalane przez izraelskich osadników.

To niejedyny obrazek, który wrył się w jego pamięć podczas wizyty na Zachodnim Brzegu. Brał udział w wyjeździe organizowanym przez Rabbis for Human Rights. Wraz z innymi rabinami podróżował od osady do osady autokarem z kierowcą Palestyńczykiem. Pewnego razu mijali grupę osadników – młodych ludzi w jarmułkach, z powiewającymi na wietrze frędzlami *cicit*. Ci, gdy tylko zobaczyli palestyński autobus, podnieśli się, wykrzykując coś i wyciągając w jego stronę środkowe palce. Rabin Seidenberg chciał im zrobić zdjęcie, poprosił więc kierowcę, żeby odrobinę zwolnił. Kierowca nie posłuchał, ze stężałą twarzą jeszcze bardziej przyspieszył. Strach w jego oczach wystarczył za wszystkie opowieści o terrorze, którego palestyńscy mieszkańcy doświadczają tu na co dzień. ↦

W 2007 r., kiedy buldożery stanęły przed beduińską wioską Umm al-Hiran (na jej miejscu miała powstać żydowska osada), zorganizował akcję Save the Negev. Zamierzali wywrzeć presję na amerykańskie biuro Żydowskiego Funduszu Narodowego, które finansowało budowę nowych ośrodków na miejscu beduińskich wiosek. Choć Fundusz ugiął się pod tymi naciskami, Umm al-Hiran i tak została zburzona, a izraelski sąd najwyższy pobłogosławił tę decyzję, uznając ją za całkowicie zgodną z prawem.

– Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Wcale nie na lepsze. Obecna sytuacja Beduinów z Negewu regulowana jest przez rasistowską politykę rządu – mówi rabin Seidenberg. – Zdaje się, że nie ma teraz możliwości, byśmy mogli tu, w Stanach, realnie wpłynąć na tę kwestię.

Zresztą poczynaniom własnego rządu przygląda się z tym samym oburzeniem. W poście opublikowanym na Tisza be-Aw, święto, kiedy Żydzi wspominają zburzenie Pierwszej i Drugiej Świątyni Jerozolimskiej, stanowczo sprzeciwiał się polityce migracyjnej Stanów Zjednoczonych. „Tisza be-Aw upamiętnia doświadczenie uchodźstwa, bycia wrzuconym we wrogi świat, bez schronienia i opieki – pisze. – Musimy stale o tym pamiętać, by otworzyć się na człowieczeństwo współczesnych uchodźców i przybyszów”.

Król Achasz-wirus

Na ostatnie święto Purim założył połyskliwy kaftan i tekturową koronę. Do zdjęcia pozuje ze zmierzwionymi włosami, udawanym przerażeniem, z opakowaniem płynu dezynfekcyjnego w wyciągniętej ręce. Kim jestem? – zapytał znajomych na Facebooku. „King Ahash-virus” – odpisał ktoś, robiąc aluzję do perskiego króla Achaszwerosza, męża biblijnej Estery. „Koronawirus grany przez Johnny’ego Deppa?” – zgadywał ktoś inny. „Tylko micwa, a nie wirus!” – skomentował jeszcze ktoś.

Globalnym zmianom klimatycznym przygląda się trzymając w jednej ręce alarmujące raporty o pustynnieniu Negewu, a w drugiej księgę Tory.

„Grał fantastyczny klezmerski band Burikes – opisywał później ten wieczór. – Próbowałem tańczyć z największym zapamiętaniem, na jakie mogłem się zdobyć, będąc świadomym wirusa, wiedząc, że to może być ostatni raz, kiedy tańczymy pełni radości, w tłumnym kole, przez długi czas”.

Kilka tygodni później, jak wielu Żydów w Stanach, Izraelu i na całym świecie, świętował najdziwniejszą Paschę w swoim życiu – Paschę czasów lockdownu: bez rodzinnych spotkań, bez sederu z przyjaciółmi.

„To jasne: koronawirus nie jest spowodowany przez zmiany klimatyczne. Jest jednak wynikiem takiego samego podejścia: tego, jak postrzegamy siebie i naszą kulturę. Że można użyć i zużyć świat wokół nas – napisał na blogu, nawiązując do hipotezy, że pandemia ma swój początek na targu zwierząt w Wuhan. – Jeśli potraktowalibyśmy zmiany klimatyczne równie poważnie jak epidemię koronawirusa – a zniszczenie globalnego klimatu jest znacznie bardziej zabójcze pod względem skali i zakresu – wiele moglibyśmy zmienić. Po ustaniu pandemii dużym wyzwaniem będzie przeciwstawienie się pragnieniu, by robić wszystko dokładnie tak jak przedtem, zamiast tworzyć nową, bardziej zrównoważoną normalność”.

Choć globalne zmiany klimatyczne zdają się coraz bardziej nieuniknione, rabin Seidenberg wciąż nie traci nadziei.

– Muszę walczyć – mówi. – Dla mojego dziecka, dla przyszłych pokoleń, dla sprawiedliwości. Wciąż ważnym pytaniem jest, jak duchowo podejdziemy do kryzysu klimatycznego. Czy weźmiemy odpowiedzialność za to, co zrobiliśmy? I jaki rodzaj cywilizacji będziemy budować? Czy niedostatek i zniszczenia poprowadzą nas w stronę rządów autorytarnych – tak jak to już się dzieje w wielu miejscach na świecie? Czy przeżyjemy przebudzenie, tworząc prężne, demokratyczne społeczności, które ukształtują nową przyszłość? Wszystko jest w naszych rękach.

© DOROTA BIDZIŃSKA

REKLAMA

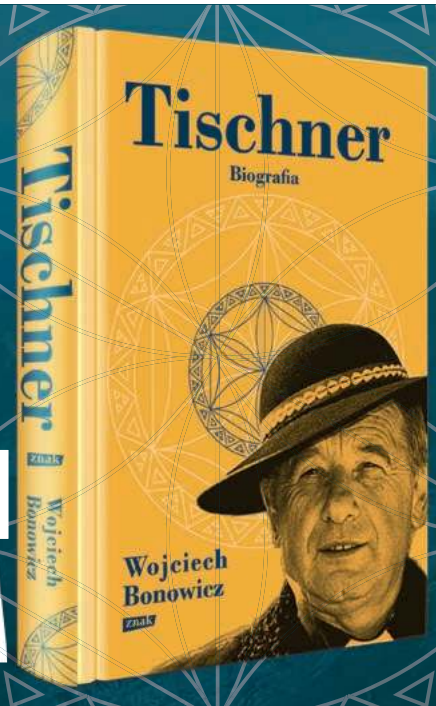

Spotkanie z człowiekiem, który przywraca ludziom nadzieję

Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak Tischner wchodził do pokoju, to jakby się drzwi otwierały w człowieku. Drzwi się otwierały – i żyć się chciało. Każdy z nas nosi w sobie pragnienie, żeby przyszedł taki ktoś, kto mu powie: „Słuchaj, cała ta twoja szamotanina ma sens”. Każdy chce to usłyszeć.

Tischner. Biografia to nowa książka. Choć można też powiedzieć – zmieniona i znacznie poszerzona wersja książki *Tischner* opublikowanej w 2001 roku. Dodałem wiele wątków, bo przez ostatnich dwadzieścia lat zebrałem mnóstwo nowych informacji, dotarłem do kolejnych dokumentów, wysłuchałem nowych opowieści.

Wojciech Bonowicz

PARTNER TYGODNIK POWSZECHNY znak

JUŻ W SPRZEDAŻY

kod rabatowy w księgarni 37tischner znak.com.pl KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

Przewietrzanie wiary

ARTUR SPORNIAK

Nauki przyrodnicze coraz częściej stają się probierzem dla teologicznych interpretacji.

Nestor polskich teologów o. Stanisław Celestyn Napiórkowski w książce „Jak uprawiać teologię" wskazuje, że współczesne nauki stanowią inspirację i wsparcie dla teologów. Dzisiaj należałoby powiedzieć więcej: że teologowie muszą się liczyć z wynikami nauk, jeśli nie chcą popadać w anachronizm. Czy teologia w Polsce wystarczająco docenia nauki przyrodnicze?

Wspomniane wprowadzenie do teologii o. Napiórkowskiego od trzech dekad jest żelaznym punktem w spisie lektur prawie wszystkich adeptów teologii w Polsce.

Poznaniu naukowemu autor poświęca jedną z czterech części podręcznika, ale czyni to tylko po to, by odpowiedzieć na pytanie, czy teologia jest też nauką. Zanim padnie pozytywna odpowiedź, czytelnik dowiaduje się o nauce zdumiewających rzeczy, m.in. że istnieje co najmniej jedenaście jej różnych koncepcji (o. Napiórkowski streszcza poglądy na naukę różnych filozofów, m.in. niemieckich idealistów czy marksistów). Pluralizm wśród przedmiotów, celów i metod różnych nauk jest tak wielki, że właściwie niczego nie da się powiedzieć o nauce jako takiej. Stanowisko autora dobrze ilustruje stwierdzenie, że „nauka uprawiana przez Marię Curie-Skłodowską bardziej się różniła niż upodobniała do nauki, którą rozwijał Albert Einstein".

Tyle że ta konstatacja przedstawia nieprawdziwy obraz nauki. Oboje – Skłodowska i Einstein – byli fizykami, a przecież fizycy doskonale się rozumieją dzięki wypracowanej w czasach nowożytnych precyzyjnej matematyczno-empirycznej metodzie poznawania rzeczywistości. Jej poznawczą skuteczność potwierdza władza, jaką człowiek zdobył nad przyrodą. Dlatego stanowi ona metodologiczny ideał – który pozostaje ideałem, nawet jeśli dla wielu innych dyscyplin naukowych jest nieosiągalny.

Podręcznik o. Napiórkowskiego to zaledwie próbka, która obrazuje liczne nieporozumienia związane z podejściem do nauk przyrodniczych w obszarze teologii. Ale zdarzają się coraz częściej pozytywne przykłady. Inicjatywą bardzo obiecującą była konferencja zorganizowana przez tarnowską Sekcję Wydziału Teologicznego UPJP2 w grudniu 2017 r., zatytułowana „Powstanie człowieka w ujęciu interdyscyplinarnym". Jej owocem stała się książka opublikowana pod tym samym tytułem pod koniec zeszłego roku przez wydawnictwo Copernicus Center Press.

Pomysł konferencji był ambitny: Kościół najpierw pyta biologów, jak człowiek powstał, następnie głos zabierają filozofowie, którzy badają implikacje pojawienia się człowieka i przygotowują grunt dla teologów, a ci z kolei próbują określić ramy dla nowego, ewolucyjnego paradygmatu w teologii. O ile na konferencji nie do końca udało się ten plan zrealizować, o tyle publikacja dzięki zaproszeniu dodatkowych autorów przynosi bardzo ciekawy wynik.

Genealogię gatunku człowieka na podstawie najnowszych odkryć i hipotez paleontologicznych przedstawia antropolożka Wioletta Nowaczewska. Ewolucyjne pojawienie się cech typowo ludzkich tropi biolog ewolucyjny Jan Kozłowski. Z kolei genetyczka Ewa Bartnik odpowiada na pytanie, czy istnieją geny człowieczeństwa. W części filozoficznej moderator sesji i redaktor książki ks. Tomasz Maziarka przedstawia teorię emergentyzmu, która w obiecujący sposób kreśli nowe metafizyczne ramy dla refleksji teologicznej. Ks. Michał Heller broni przypadku, wbrew pozorom bardzo racjonalnie wpisanego w ewolucję kosmosu. Natomiast nad znaczeniem zasady antropicznej, wskazującej „kosmiczne zbiegi okoliczności", które umożliwiły powstanie życia, zastanawia się ks. Tadeusz Pabian.

W części teologicznej m.in. księża Damian Wąsek i Wojciech Grygiel kreślą zarys teologii ewolucyjnej, wskazując np. na konieczność reinterpretacji dogmatu o grzechu pierworodnym, a ks. Grzegorz Strzelczyk „odwraca" tradycyjne rozumienie duszy – dusza nie jest „organizatorem" ciała, tylko tym aspektem naszej cielesności, który stanowi „interfejs" do transcendencji. Całość jest pobłogosławiona przez biskupa tarnowskiego Andrzeja Jeża, co dla niektórych grup czytelników może mieć znaczenie.

HO / AFP / EAST NEWS

Jest jeden problem z tą książką: bardzo łatwo ją przegapić. Ma brzydką okładkę, w mało zachęcające zielono-brązowe plamy. Także enigmatyczny tytuł nie zapowiada intrygującej zawartości. Warto się jednak zewnętrznymi pozorami nie zniechęcać. Problem teologii konfrontowanej z najnowszymi osiągnięciami nauk przyrodniczych powinien zainteresować katechetów, teologów, studentów teologii, a także wszystkich, którzy chcą swoją wiarę „przewietrzyć". ©℗

POWSTANIE CZŁOWIEKA W UJĘCIU INTERDYSCYPLINARNYM
red. Tomasz Maziarka, Copernicus Center Press, Kraków 2019

Na zdjęciu: Skamieniała czaszka Chilecebus carrascoensis, przedstawiciela gatunku naczelnych, żyjącego 20 mln lat temu w Andach. Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej, Nowy Jork, 2016 r.

Prymas i sztuczne rzęsy

PIOTR LITKA

Władze PRL bardzo interesowały się wyborem następcy kardynała Stefana Wyszyńskiego. Poważnie liczono się z tym, że nowym prymasem zostanie ks. Józef Tischner.

MAREK SKORUPSKI / FORUM

Ks. Józef Tischner, Warszawa, 1995 r.

Przełom wiosny i lata 1981 roku był jednym z najdramatyczniejszych okresów w najnowszej historii Kościoła katolickiego w Polsce. W maju poinformowano opinię publiczną o poważnej chorobie kard. Stefana Wyszyńskiego. W oficjalnym komunikacie można było przeczytać, że „w połowie marca 1981 roku wystąpiły u Księdza Prymasa objawy zaburzeń układu pokarmowego, które utrzymywały się przez kilka dni (...). Kolejne narady zespołu specjalistów stwierdziły, że choroba – mimo leczenia – ma przebieg postępujący". Był to nowotwór.

Informacja podpisana przez ośmiu lekarzy nie pozostawiała złudzeń. Prymas mógł wkrótce umrzeć. A dzień przed wydaniem tego komunikatu, 13 maja, na placu św. Piotra w Rzymie dokonano zamachu na życie Jana Pawła II. W ciągu niespełna dwóch tygodni maja 1981 r. Kościół w Polsce mógł stracić dwa ważne dla siebie symbole: Prymasa Tysiąclecia i Papieża z Krakowa.

Jan Paweł II ocalał. Prymas zmarł 28 maja o godzinie 4.40 rano.

Świadomość odchodzenia

Kard. Wyszyński wiedział, że konieczne jest zapewnienie ciągłości funkcjonowania Kościoła w tym trudnym czasie. Prymas – wedle słów jego sekretarza, ks. Bronisława Piaseckiego – planował po ukończeniu 80. roku życia (czyli po 3 sierpnia 1981 r.) zrezygnować z zajmowanych funkcji i „przy najbliższym spotkaniu z Ojcem Świętym powtórzyć swą prośbę, dwukrotnie uprzednio składaną".

Nie zdążył jednak tego zrobić. Na niecałe dwa miesiące przed śmiercią w prowadzonych od lat „Notatkach" zauważał: „Rozpoczyna się *via dolorosa* wśród przyjaciół Hioba. Dzień dla mnie doniosły, wydaje mi się, że jest to *initium finis* [początek końca]". Mówiąc o „przyjaciołach Hioba", prymas miał na myśli trzy bliskie sobie w tamtym czasie osoby: bp. Bronisława Dąbrowskiego, ks. Alojzego Orszulika i Romualda Kukołowicza.

Pomimo choroby na przełomie marca i kwietnia 1981 r. prymas nadal intensywnie pracował, wyjeżdżając do podwarszawskiej Choszczówki – jak to ujmował jego sekretarz – z „walizą

akt". Uczestniczył też w licznych oficjalnych i mniej oficjalnych spotkaniach, przebywając m.in. z ostatnią kilkudniową duszpasterską wizytą w Gnieźnie czy udzielając audiencji licznej delegacji przedstawicieli NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych. Także wtedy (dokładnie 26 marca 1981 r.) przez kilka godzin rozmawiał z gen. Wojciechem Jaruzelskim na temat napiętej sytuacji w kraju, spowodowanej „kryzysem bydgoskim" (19 marca 1981 r. podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej pobili kilku działaczy opozycyjnych, w tym przewodniczącego NSZZ Solidarność regionu bydgoskiego, Jana Rulewskiego). Polsce groził strajk generalny i trudny do przewidzenia rozwój wypadków.

Znany, zdolny, niezależny

Śmiercią kard. Stefana Wyszyńskiego oraz wyborem jego następcy żył w połowie 1981 r. nie tylko Kościół katolicki i opinia publiczna. Służbowo zajmowali się nią także pracownicy wywiadu cywilnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którzy przesyłali zza Spiżowej Bramy i z innych placówek dyplomatycznych rozsianych po świecie obszerne raporty i analizy dotyczące sytuacji w Polsce i w Kościele po spodziewanym odejściu prymasa.

Większość zachowała się w archiwum IPN. Wśród następców Wyszyńskiego w dokumentach PRL-owskiego wywiadu wymieniano często także ks. Józefa Tischnera. Z zachowanych dokumentów przebija z jednej strony strach, a z drugiej – podziw dla krakowskiego kapłana.

Zaledwie dzień po śmierci prymasa, w piątek 29 maja 1981 r., opracowano szczegółową charakterystykę ks. Tischnera. Oficer podpisujący się pseudonimem „Fin", na podstawie informacji dwóch kontaktów operacyjnych o pseudonimach „Disco" i „Eduardo", pisał, iż Tischner jest „wspaniałym oratorem, potrafi pięknie mówić do każdego środowiska (jest biegłym nawet w gwarze góralskiej)". I dalej: „Jest cenionym w środowiskach kleru i inteligencji katolickiej intelektualistą. Cieszy się uznaniem obecnego papieża, który obdarzył go wyjątkowym zaufaniem, dając mu do »recenzji« pisane przez siebie encykliki". W cytowanej notatce informacyjnej podkreślono też, że Tischner „należał do grona najbliższych doradców kard. Wojtyły (w Krakowie)". Ponadto – według „Fina" – Tischner jest „rozważny, zrównoważony, lubi wyrabiać sobie własne zdanie, niezależnie od swych przełożonych oraz z ks. Dziwiszem i kard. Macharskim zaliczany jest do grona najbliższych papieżowi ludzi".

Inicjatywy kard. Macharskiego

Skąd wzięła się kandydatura Tischnera na to prestiżowe stanowisko?

W ostatnim tygodniu życia prymasa Wyszyńskiego, między 19 a 22 maja 1981 r., kard. Franciszek Macharski pojechał do Watykanu. Według licznych informatorów wywiadu PRL działających za Spiżową Bramą krakowski hierarcha miał przede wszystkim przekazać powracającemu do sił po zamachu papieżowi wiadomości na temat stanu zdrowia umierającego Wyszyńskiego. Ponadto kard. Macharski miał jakoby przekonywać Jana Pawła II do tego, by w przypadku własnej nominacji na prymasa to ks. Tischner został powołany na stanowisko ordynariusza Archidiecezji Krakowskiej.

„Rozwiązanie w ten sposób sukcesji – pisano w notatce informacyjnej z 27 maja 1981 r. – bardzo odpowiadałoby kard. Macharskiemu i części Kurii Krakowskiej. Druga część Kurii widzi w ks. Tischnerze potencjalnego następcę prymasa [Wyszyńskiego]. W tym duchu »urabiali« ks. Dziwisza podczas jego przyjazdu do kraju [kiedy 11 maja spotkał się w Warszawie z umierającym prymasem]".

Jednakże – dowodzono w notatce – „nominacja kard. Macharskiego na stanowisko Prymasa Polski nie odpowiada duchowieństwu spoza środowiska krakowskiego. Jest to problem istotny dla samego Macharskiego, bo jako Prymas na samym początku swego urzędowania może spotkać się z oporami i nieposłuszeństwem wśród poszczególnych diecezji. Sytuacja ta byłaby na rękę rządowi, który potrafiłby to umiejętnie wykorzystać".

Ostatecznie na stanowisko prymasa powołano młodego (wówczas 52-letniego) ordynariusza warmińskiego oraz doktora obojga praw: kanonicznego i świeckiego, biskupa Józefa Glempa, który wcześniej przez kilkanaście lat był sekretarzem zmarłego prymasa. Nominację 7 lipca 1981 r. oficjalnie ogłosiło Radio Watykańskie. Dodatkowo – co było wydarzeniem wyjątkowym – o swojej decyzji papież poinformował w specjalnym liście przesłanym na ręce kard. Franciszka Macharskiego.

Polski Kościół miał nowego przywódcę.

Teologia humoru

Tischner podchodził do swojej kandydatury z dystansem i właściwym sobie poczuciem humoru. Wystarczy przypomnieć, że w 1994 r. podczas audycji Elżbiety Koniecznej w Radiu Kraków, nagrywanej z udziałem Tadeusza Gadacza oraz publiczności, jej uczestnicy wśród wielu anegdot z życia krakowskiego kapłana usłyszeli także i tę dotyczącą jego wyjazdu do Wiednia wiosną 1981 r.

„Rzeczywiście – wspominał Tischner – sytuacja była nieco makabryczna. Napięcie w Europie. Breżniew, proszę państwa, w Pradze. Szykuje się interwencja wojsk zaprzyjaźnionych w Polsce, a ja mam tuż przed wyjazdem z Wiednia załatwić jeszcze zakupy, które mam wypisane na kartce".

Listę zakupów Tischner otrzymał od bratanicy. W zakupach pomagał mu jego przyjaciel Krzysztof Michalski, który lepiej mówił po niemiecku. Kiedy Michalski odczytywał kolejne pozycje z listy, trafił na sztuczne rzęsy. „Ja rozumiem – komentował po latach Tischner – że jest sztuczne tworzywo, że jest sztuka piękna, ale żeby były sztuczne rzęsy, to nie domyślałem się tego. Domyślałem się, że jest w kobiecie trochę nieprawdy, ale żeby aż tyle...".

Zakupy się udały. Część pozycji z listy została zapakowana, a sztuczne rzęsy trafiły do kieszeni Tischnera. W dniu zakupów austriacka gazeta „Die Presse" opublikowała duże zdjęcie ks. Tischnera z podpisem: „Prawdopodobny następca kardynała Wyszyńskiego w Polsce". Podczas zakupów miał tę gazetę przy sobie i w kilku sklepach został rozpoznany jako bohater sensacyjnego artykułu. „Teraz już wszystko jasne, proszę państwa, dlaczego historia potoczyła się tak, a nie inaczej – tłumaczył Tischner. – Po prostu: inni jeździli bez rzęs". ©

Podczas pisania tekstu korzystałem z książki ks. Bronisława Piaseckiego „Ostatnie dni Prymasa Tysiąclecia" (Poznań 2001), audycji Elżbiety Koniecznej „Teologia humoru", zrealizowanej w 1994 r. dla Radia Kraków, oraz materiałów z Archiwum IPN.

8 MINUT, 46 SEKUND

Epidemia, kryzys, śmierć George'a Floyda, protesty i zamieszki, straszący wojskiem prezydent: czy dla Stanów mogło być gorzej?

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Jest wieczór, 31 maja. Od brutalnej interwencji policji w Minneapolis minęło sześć dni. Telewizja CNN robi relację, podczas której dochodzi do konfrontacji rodziny George'a Floyda z szefem lokalnej policji Medarią Arradondo. Brat zmarłego zadaje pytanie, czy prócz Dereka Chauvina, który przez prawie 9 minut dusił kolanem czarnoskórego mężczyznę, aresztowani powinni być też inni policjanci biorący udział w interwencji. Arradondo, pierwszy w historii Minneapolis czarnoskóry szef policji, odpowiada, że brak reakcji z ich strony jest tożsamy ze współudziałem w zabójstwie, i że dlatego już następnego dnia zwolnił z pracy zamieszanych w sprawę policjantów. Na oczach milionów widzów mówi: „Floyd umarł na naszych rękach i uważam, że jest to współudział".

Trzy dni później prokuratura aresztowała tych policjantów – J. Alexandra Kuenga, Tou Thao i Thomasa Lane'a – i postawiła im zarzut pomocnictwa oraz podżegania do morderstwa. Zaostrzono też zarzuty wobec Chauvina, który przebywa w areszcie od 29 maja. Jest oskarżony o morderstwo drugiego stopnia, za co grozi do 40 lat więzienia. Wcześniej miał zarzut morderstwa trzeciego stop-

OLIVIER DOULIERY / AFP / EAST NEWS

W pobliżu Białego Domu, 7 czerwca 2020 r.

nia, co według prawa stanu Minnesota oznacza działanie w sposób lekceważący dla ludzkiego życia, ale bez zamiaru zabicia.

Dwie autopsje wykazały, że przyczyną śmierci Floyda było uduszenie wywołane przez „stały nacisk". Przypomnijmy, że mężczyznę aresztowano w związku z podejrzeniem o zapłacenie fałszywym banknotem. Szef związku zawodowego policji napisał w obronie policjantów, że Floyd miał kryminalną przeszłość: w 2009 r. został skazany na 5 lat za napad z bronią w ręku, a wcześniej był aresztowany m.in. za kradzież i handel narkotykami.

Kultura tuszowania

Sprawę interwencji, która doprowadziła do śmierci Floyda, badają prokurator generalny Minnesoty, Departament Sprawiedliwości i FBI. Gubernator stanu wszczął śledztwo, które ma wykazać, czy w policji w Minneapolis dochodziło w przeszłości do nadużyć na tle rasowym.

W tym największym, 430-tysięcznym mieście w Minnesocie, jak w wielu innych miejscach w USA, rysuje się wyraźny podział. Afroamerykanie, którzy stanowią tu 20 proc. mieszkańców, zarabiają trzy razy mniej niż biali, rzadziej kończą studia i mają częściej do czynienia z policją. Z raportu policji z lat 2015-16 wynika, że czarnoskórzy byli dwa razy częściej zatrzymywani niż biali (zarazem brakuje statystyk na temat przestępczości według podziału na rasę). Jak z kolei wynika z danych, na jakie powołuje się „New York Times", od 2015 r. prawie 60 proc. przypadków użycia siły przez policjantów w Minneapolis dotyczyło czarnoskórych. Afroamerykanie stanowią też ponad 60 proc. ofiar strzelanin policyjnych w ostatniej dekadzie. W większości przypadków funkcjonariuszom nie postawiono zarzutów lub zostali uniewinnieni. To zresztą zjawisko powszechne w Stanach, co związane jest m.in. z szerokimi uprawnieniami policji, a także niechęcią prokuratorów do wszczynania postępowań, podczas których trudno ocenić, czy policjant zasadnie użył siły.

W amerykańskiej policji wiele spraw zamiatanych jest pod dywan. Świetny przykład to Minneapolis. Choć przez prawie dwie dekady wobec Chauvina złożono co najmniej 18 skarg (jedna dotyczyła postrzelenia), prócz dwóch nagan nie spotkały go żadne konsekwencje. Tou Thao, obecny przy aresztowaniu Floyda, ma na koncie sześć skarg. W 2017 r. został pozwany za skopanie zatrzymanego czarnoskórego (sprawa skończyła się ugodą).

Nawet jeśli brutalny policjant zostanie zwolniony, może odwołać się do sądu orzekającego w sprawach dotyczących funkcjonariuszy publicznych. Z analizy organizacji The St. Paul Pioneer Press wynika, że w latach 2014-19 w Minnesocie 46 proc. takich spraw skończyło się przywróceniem policjanta do służby. Dave Bicking z organizacji Communities United Against Police Brutality twierdzi w rozmowie z „New York Timesem", że jest to związane z kulturą tuszowania patologii w policji. Jeśli wyjątkowo dojdzie do zwolnienia policjanta, taką decyzję łatwo jest przedstawić w sądzie jako „arbitralną".

Na taki argument powołał się w odwołaniu Daniel Pantaleo, nowojorski policjant zwolniony dyscyplinarnie w związku z głośną sprawą Erica Garnera. W 2014 r. Pantaleo brał udział w aresztowaniu 43-letniego Afroamerykanina, podejrzanego o sprzedaż nielegalnych papierosów. Przydusił go kolanem, choć ten skarżył się, że nie może oddychać. Niedługo potem Garner zmarł, a jako przyczynę podano zatrzymanie akcji serca. Choć policjantowi nie postawiono zarzutu zabójstwa, przez pięć lat toczyło się w jego sprawie śledztwo federalne i dyscyplinarne. W tym czasie patrolował zwyczajnie ulice. W wyniku protestów, jakie rozgorzały w 2014 r. w całych Stanach, nowojorscy policjanci przeszli tylko serię szkoleń dotyczących tego, jak nie nadużywać siły i nie kierować się rasistowskimi stereotypami.

Fala gniewu

Być może sprawa aresztowania Floyda przybrałaby podobny obrót, gdyby nie nagrane przez osobę postronną wideo, które minuta po minucie pokazuje, jak duszony jest człowiek. Nagranie oburzyło Amerykanów i doprowadziło do protestów oraz zamieszek w całym kraju. Od Kalifornii po Nowy Jork, od Minneapolis po Atlantę setki tysięcy ludzi domagały się sprawiedliwości w sprawie zmarłego 46-latka.

Demonstrujący symbolicznie klęczeli przez 8 minut, 46 sekund (tyle czasu policjant przyduszał Floyda) i skandowali: „Nie mogę oddychać" (ostatnie jego słowa) oraz „Czarne życie ma znaczenie". Wśród zalewających internet materiałów w pamięć zapadają nagrania, na których widać policjantów klęczących w tłumie. Solidarność z demonstrującymi okazali m.in. funkcjonariusze z Ferguson, gdzie pięć lat temu podczas interwencji zginął czarnoskóry 18-latek Michael Brown. W mieście rozgorzały wówczas zamieszki.

Nic jednak nie przebije fali gniewu, jaka przeszła teraz przez Stany. W trzecią noc protestów w Minneapolis spalono komisariat. W Nowym Jorku kilkunastu funkcjonariuszy zostało rannych, w Atlancie palono auta i wybito szyby w siedzibie telewizji CNN, w Oakland zmarł postrzelony policjant. W wielu miastach niszczono wozy policyjne, atakowano budynki rządowe, a także grabiono sklepy i bankomaty. W odpowiedzi na zamieszki i plądrowania gubernatorzy co najmniej 23 stanów zarządzili mobilizację Gwardii Narodowej. Władze ok. 40 miast wprowadziły godzinę policyjną, którą wielu ↦

demonstrantów ignorowało. Dochodziło do starć z policją, która używała gazu łzawiącego i gumowych kul.

Do protestów podłączali się różnego rodzaju ekstremiści, od anarchistów po skrajną prawicę. „Washington Post" podaje, że w protestach w Minneapolis, Salt Lake City, Dallas, Atlancie i Filadelfii brali udział członkowie ruchu białych suprematystów Boogaloo, którzy otwarcie dążą do wojny domowej w USA. Niektórzy mieli karabiny. W Las Vegas aresztowano trzech członków tego ruchu, którzy przynieśli na protesty butelki z benzyną. Federalni śledczy oskarżyli ich o podsycanie zamieszek i postawili im zarzut „terroryzmu wewnętrznego".

Na demonstracjach w całym kraju pojawiali się też anarchiści, co wykorzystywał Donald Trump. O zaognianie sytuacji na ulicach prezydent oskarżył Antifę – koalicję ruchów antyfaszystowskich, których członkowie chętnie ścierają się z policją i skrajną prawicą. Trump zagroził, że wciągnie Antifę na listę organizacji terrorystycznych.

Niesprawiedliwość w czasach epidemii

Zdaniem prof. Jonathana Zimmermana, historyka z Uniwersytetu Pensylwanii, Trump chce w ten sposób odciągnąć uwagę od problemu, jakim są głęboko zakorzeniony w USA rasizm i brutalność policji. Powracające po kolejnej strzelaninie czy policyjnej interwencji protesty tym razem podsycił dodatkowo kryzys gospodarczy wywołany przez epidemię. W wyniku restrykcji wprowadzonych przez większość stanów w ciągu 11 tygodni pracę straciło prawie 43 mln Amerykanów. Kryzys obnażył też nierówności społeczne w Stanach.

– Epidemia uderzyła ze zdwojoną siłą w Afroamerykanów i Latynosów – mówi „Tygodnikowi" prof. Zimmerman. – Zarabiają oni niską stawkę godzinową, choć są dziś *essential workers* [pracownikami istotnymi dla funkcjonowania społeczeństwa – red.]. Ekspedienci, ochroniarze czy kierowcy autobusów nie mogą pracować z domu, tak jak białe kołnierzyki z klasy średniej. Ironia polega na tym, że zarówno policjanci, jak też duża część demonstrujących na ulicach to ludzie, którzy ryzykują w pracy zakażeniem koronawirusem – dodaje Zimmerman.

To, jak nierówno epidemia potraktowała Amerykanów, pokazują dane dotyczące zgonów z powodu COVID-19. Ośrodek APM Research Lab podaje, że zakażeni Afroamerykanie umierają prawie 2,5 razy częściej niż biali i ponad 2 razy częściej niż Latynosi. Dlaczego? Jako jedną z przyczyn podaje się fakt, że Afroamerykanie mają trudniejszy dostęp do dobrej opieki medycznej i częściej cierpią na otyłość, cukrzycę, nadciśnienie czy choroby układu krążenia, które zwiększają ryzyko powikłań. Jak wykazała sekcja zwłok, koronawirusem zarażony był też George Floyd.

Zdjęcie z Biblią

Protesty po śmierci Floyda uznano za najbardziej gwałtowne od zabójstwa w 1968 r. Martina Luthera Kinga, przywódcy ruchu na rzecz równouprawnienia Afroamerykanów. W studzeniu nastrojów nie pomógł Donald Trump, który zamiast jednoczyć Amerykanów, swoimi wypowiedziami jeszcze bardziej podsycał napięcie. W pierwszych dniach zamieszek w Minneapolis nazwał demonstrantów „bandytami" i napisał na Twitterze, że „gdy zaczyna się szabrowanie, zaczyna się strzelanie". To odniesienie do słów Waltera Headleya, oskarżanego o rasizm szefa policji w Miami, który podczas konferencji prasowej w 1967 r. powiedział, że w walce z przestępczością wśród czarnoskórych „nie boi się oskarżeń o brutalność". Wpis Trumpa, który twierdzi, że nie znał historycznego kontekstu tych słów, został ukryty przez serwis Twittera.

Szerokim echem odbiło się też wystąpienie Trumpa w Białym Domu. Na początku czerwca zagroził wysłaniem wojska i „zaprowadzeniem porządku", jeśli władze stanowe nie poradzą sobie z przemocą na ulicach. Tego samego dnia podczas telekonferencji przekonywał gubernatorów, że „muszą zdominować" protestujących. Mówił: „Jeżeli tego nie zrobicie, to stracicie czas. Jeżeli tego nie zrobicie, to będziecie głupkami".

Forsowany przez Trumpa pomysł użycia wojska na ulicach spotkał się z krytyką ze strony sekretarza obrony Marka Espera i gen. Jamesa Mattisa, byłego sekretarza obrony w administracji Trumpa. Wojskowy, który cieszy się w USA dużym szacunkiem, mówił, że Trump jest zagrożeniem dla konstytucji i próbuje obrócić Amerykanów przeciwko sobie.

Prezydent rozeźlił też wielu duchownych. Po wystąpieniu w Ogrodzie Różanym przed Białym Domem, podczas którego groził użyciem wojska, udał się do pobliskiego kościoła episkopalnego św. Jana. Nie bez powodu wybrał to miejsce: w wyniku zamieszek piwnica kościoła zajęła się ogniem. Trump zapozował do zdjęcia na tle świątyni, trzymając Biblię. Wizerunkowy efekt szybko popsuły doniesienia mediów. Okazało się, że aby prezydent mógł bezpiecznie dotrzeć do kościoła, policja przegoniła demonstrantów gazem łzawiącym i gumowymi kulami. Całe zajście skrytykował m.in. Edward Beck, katolicki ksiądz, który napisał na Twitterze: „Czy Biblia była kiedykolwiek używana w bardziej obłudny sposób?".

Strategia Nixona

Nie bacząc na skutki, Trump konsekwentnie przedstawia się jako prezydent „prawa i porządku". Nawiązuje w ten sposób do strategii, dzięki której Richard Nixon zdobył prezydenturę w 1968 r. Na fali zamieszek wywołanych zabójstwem Kinga Nixon obiecywał przywrócenie spokoju na ulicach.

– W przypadku Trumpa, który walczy dziś o reelekcję, taka strategia może się nie sprawdzić – twierdzi prof. Zimmerman. – Nixon był „jedynie" kandydatem na fotel prezydenta, a nie głową państwa, za prezydentury której dochodzi do rozruchów. Prężenie muskułów przez Trumpa po raz kolejny przemówi do jego twardego elektoratu, ale już niekoniecznie do niezależnych wyborców, którzy w tegorocznych wyborach mogą odegrać kluczową rolę.

Jak wynika z sondażu Monmouth University, przeprowadzonego na przełomie maja i czerwca, 51 proc. niezależnych wyborców (tj. tych, którzy nie deklarują się jako Republikanie lub Demokraci) wspiera kandydata Partii Demokratycznej Joego Bidena, a na Trumpa oddałoby głos 35 proc. pytanych. Z kolei wyniki sondażu Reuters/Ipsos wskazują, że 67 proc. niezależnych wyborców wspiera pokojowe protesty, a tylko 28 proc. pozytywnie ocenia reakcję Trumpa na kryzys wywołany śmiercią Floyda.

Potrzeba reformy

Jest 4 czerwca, do pogrzebu Floyda pozostało pięć dni. Przez North Park, hipsterską dzielnicę San Diego w Kalifornii, przechodzi demonstracja. Wzdłuż University Avenue protestujący mijają zamknięte bary. Na szybach niektórych wywieszono plakaty: „Czarne życie ma znaczenie". Na drzwiach butiku właściciel napisał przezornie „Ten biznes należy do brązowego

Amerykanina". Zapewne na wypadek, gdyby sprawy się wymknęły spod kontroli i doszło – jak wcześniej w centrum San Diego – do grabieży sklepów. Tym razem demonstracja przebiega pokojowo. Protestujący, w większości w maseczkach ochronnych, skandują „Nie mogę oddychać", „Chcemy sprawiedliwości" i „George Floyd". Niektórzy wypisali na transparentach hasła nawołujące do reformy policji lub jej rozwiązania.

To teraz nośne hasła. Projekt ustawy dotyczącej zmian w policji przedstawili już w Kongresie Demokraci. Radni Minneapolis podjęli zaś decyzję o likwidacji lokalnego departamentu policji i stworzeniu nowego systemu bezpieczeństwa (nie jest jasne, kiedy i w jakiej formule nowe zasady miałyby wejść w życie). Z kolei plany obcinania funduszy dla policji zapowiedziały władze m.in. Nowego Jorku i Los Angeles.

Demonstrującym w San Diego przyglądają się Jennifer i Brandon, młode małżeństwo z dwójką dzieci. Tłumaczą, że chcieliby iść w marszu, ale ze względu na ryzyko zakażenia wolą trzymać się na uboczu. – Mamy dość rasizmu i brutalności policji! Widziałaś nagranie z demonstracji w Nowym Jorku? Policjant kilka dni temu popchnął kobietę na asfalt. Nawet nie podszedł, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało. To jest chore! – mówią oburzeni.

Wkrótce po naszej rozmowie Stany obiega kolejne nagranie: z demonstracji w Buffalo w stanie Nowy Jork. Widać, jak biały mężczyzna (jak się okazało, 75-letni) podchodzi do policjantów, a ci odpychają go z taką siłą, że pada na chodnik, a po chwili wokół jego głowy widać kałużę krwi. Mężczyzna trafił do szpitala w ciężkim stanie. Gdy kilka dni później Amerykanie żegnali Floyda podczas pogrzebu w Houston, 75-latek nieoczekiwanie stał się bohaterem wpisu Trumpa na Twitterze: prezydent nazwał go „prowokatorem z Antify".

O potrzebie reformy policji Trump powiedział tylko podczas spotkania w Dallas, przed kolacją dla sponsorów wspierających jego kampanię. W przemówieniu nie wspomniał o śmierci Floyda, pochwalił za to odpowiedź policjantów na zamieszki w Minneapolis. Tak wygląda udział prezydenta USA w dyskusji o rasizmie i patologiach w policji. © MARTA ZDZIEBORSKA

Dzieli nas przepaść

SARAH TRAINOR GRAVES / / ARCHIWUM PRYWATNE

SADIQA REYNOLDS stoi na czele Louisville Urban League, organizacji antyrasistowskiej z Louisville w Kentucky, gdzie protesty wybuchły po śmierci Breonny Taylor. 26-letnia czarnoskóra pracownica pogotowia zginęła 13 marca we własnym mieszkaniu podczas akcji detektywów z wydziału antynarkotykowego; prowadzili oni śledztwo w sprawie dwóch mężczyzn, którzy mieli przechowywać narkotyki w domu Taylor. Jej rodzina twierdzi, że wtargnęli bez ostrzeżenia (mieli do tego prawo, bo działali w ramach nakazu stosowanego w sprawach narkotykowych). Z zeznań chłopaka Breonny wynika, że był przekonany, iż to złodzieje, i zaczął strzelać, raniąc policjanta. Pozostali oddali wtedy 22 strzały, osiem trafiło Breonnę. Narkotyków nie znaleziono.

MARTA ZDZIEBORSKA: Śledztwo w sprawie Taylor nabrało przyspieszenia dopiero pod koniec kwietnia, gdy jej matka pozwała policję. Jak wcześniej policja przedstawiała tę sprawę?

SADIQA REYNOLDS: Tuż po śmierci Breonny podano, że gdy funkcjonariusze zrobili nalot na dom podejrzanych o handel narkotykami, podejrzany oddał strzał do policjanta i wywiązała się strzelanina, w wyniku której zmarła kobieta. Policja podkreśliła, że zanim detektywi wtargnęli, zapukali i powiedzieli, że przyszli z nakazem rewizji. Zatajono, że jest nagranie sugerujące, iż Kenneth Walker – chłopak Breonny – nie wiedział, że ma do czynienia z policją. Z jego treści wynika, że tej nocy roztrzęsiony Walker dzwonił na numer alarmowy i mówił, że „ktoś wyważył drzwi i zabił jego dziewczynę". Nagranie upubliczniono po ponad dwóch miesiącach, i to dopiero, gdy wywalczył to prawnik zatrudniony przez rodzinę Taylor.

Na jakim etapie jest śledztwo?

Funkcjonariusze zostali zawieszeni. Pod koniec maja prokuratura oddaliła zarzuty wobec Walkera, który był oskarżony o usiłowanie zabójstwa policjanta. I tu znów mamy do czynienia z niepokojącą sekwencją. Dziwnym trafem decyzja prokuratury nastąpiła dzień po tym, jak w sprawie śmierci Breonny śledztwo wszczęło FBI.

Czy protesty w Louisville przyniosły jakieś zmiany? W Minneapolis zakazano duszenia stosowanego przez policję jako środek przymusu.

Władze miasta debatują nad zaprzestaniem stosowania nakazu w sprawach narkotykowych, który umożliwia wtargnięcie do mieszkania bez ostrzeżenia. Burmistrz odwołał też szefa policji. Chodziło o policyjną strzelaninę podczas protestów. W jej wyniku dwóch funkcjonariuszy zabiło czarnoskórego właściciela restauracji. Policjanci nie mieli włączonych kamer, co było niezgodne z prawem. Zostali wysłani na przymusowy urlop.

Czyli jednak powoli zachodzą zmiany?

Ale to nie rozwiązuje podstawowego problemu, jakim jest systemowy rasizm w policji! W Louisville jest wyraźny podział. Z jednej strony mamy zadbane dzielnice zamieszkane przez białych, a z drugiej biedne dzielnice czarnoskórych, gdzie roi się od patroli policji. Powiem pani jedną rzecz, bo chcę, aby usłyszeli to biali. Jeśli masz czarny kolor skóry, nie ma znaczenia, czy skończyłeś uniwersytet i dużo zarabiasz. Każdy z nas może doświadczyć rasizmu. Tak jak wiele czarnoskórych matek powtarzam mojej córce, aby w sklepie nie otwierała torebki lub plecaka. Nie wiadomo, czy nie trafi się nadgorliwy ekspedient, który weźmie cię za złodzieja. Biali nie zdają sobie sprawy, że w naszym przypadku nawet niewinna rzecz może budzić podejrzenia. To państwo ma długą historię traktowania Afroamerykanów jak obywateli drugiej kategorii. Brutalność policji to tylko jeden z przykładów.

Poda Pani jeszcze jakiś?

Spójrzmy na niedoinwestowane szkoły w dzielnicach czarnoskórych, na utrudniony dostęp do opieki medycznej i na to, jak śmiertelne żniwo zbiera wśród Afroamerykanów epidemia. Trudno kilkoma protestami zakopać tę ogromną przepaść, która nas dzieli.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

MICHAEL DANTAS / AFP / EAST NEWS

Nowe mogiły na cmentarzu Matki Bożej z Aparecidy (patronki Brazylii) w Manaus, największym mieście Amazonii. 2 czerwca 2020 r.

Druga zagłada Amazonii

MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE

Rdzenni mieszkańcy Ameryki Południowej są wobec epidemii niemal bezbronni. Podobnie jak w przeszłości, gdy zabijały ich choroby przywleczone tutaj z Europy.

Antonio Bolívar odchodzi na początku maja, gdy w Amazonii trwa szczyt pory deszczowej. Obfite ulewy potrafią trwać tygodniami, a powietrze staje się ciężkie od wilgoci i zapachu ziemi, która jest w tym czasie grząska i błotnista.

75-letni mężczyzna umiera w Leticii – stolicy departamentu Amazonas i głównej osadzie kolumbijskiej Amazonii, będącej w istocie niepozornym sennym miasteczkiem. To miejsce jest o tyle szczególne, że tuż obok spotykają się granice trzech wielkich państw: Kolumbii, Brazylii i Peru.

Jeśli z tutejszej przystani ruszymy w rejs Amazonką, przekonamy się zresztą, jak umownym pojęciem jest w tej części kontynentu *la frontera*. Wśród szelestu roślin, śpiewu ptaków i innych dźwięków, którymi pulsuje bezkres dżungli, usłyszymy odgłosy lokalnych dialektów oraz mieszaninę hiszpańskiego i portugalskiego. Ludzie, którzy mieszkają nad najdłuższą rzeką świata, stanowią nieformalną wspólnotę. Administracyjne podziały i wyrysowane na mapie rozgraniczenia tracą w ich świecie znaczenie.

Lek na wszelkie choroby

Antonio Bolívar należał do rdzennej ludności Amazonii, podobnie jak ok. 70 proc. mieszkańców tej części kraju. Był członkiem plemienia Ocaina, zamieszkującego skrawek południowo-wschodniej Kolumbii i północnego Peru. Zeszłe stulecie nie było dla jego społeczności łaskawe: na początku XX w. wielu Ocainów padło ofiarą brytyjskich plantatorów, a później grup paramilitarnych i pracowników nielegalnych kopalń złota. Około roku 1900 ten amazoński lud liczył 2-3 tys. osób. Dziś jest ich dwustu, z czego jedna czwarta kultywuje zwyczaje i posługuje się własnym językiem. W ostatnich latach za strażnika tradycji Ocainów uznawano właśnie Bolívara.

W 2015 r. mężczyzna stał się znany za sprawą występu w najgłośniejszym kolumbijskim filmie ostatnich lat – „W objęciach węża" Cira Guerry, nominowanym do Oscara i nagrodzonym w Cannes. Dość przypadkowo został zaproszony do udziału w tym projekcie, wcielając się w jednego z głównych bohaterów: szamana Karamate z amazońskiego plemienia, które w filmie nosi fikcyjną nazwę Cohiuano. Mówiono, że tak naprawdę zagrał siebie: postać symboliczną dla *indígenas*, rdzennych mieszkańców Amazonii i całego kontynentu, od stuleci stawiających czoło zgubnym wpływom zewnętrznych cywilizacji. O ile jednak filmowy Karamate zna sekretne lekarstwo, które zbliża człowieka do nieśmiertelności i jest remedium na wszelkie schorzenia, o tyle Bolívarowi nie udało się wygrać z chorobą: zarażony koronawirusem umarł w niewiel-

kim szpitalu San Rafael, jedynym w całej Leticii.

O jego śmierci poinformował Camilo Suárez, działacz polityczny pochodzący z plemienia Murui. W kolumbijskiej Amazonii mówiono o nim: „burmistrz dżungli". Niedługo potem on również padł ofiarą epidemii: zmarł 8 maja, we własnym domu.

Dzień wcześniej umieścił w internecie nagranie wideo z apelem do prezydenta Kolumbii Ivána Duque Márqueza: „Zwracam się do pana i ogłaszam SOS dla Amazonii. Brakuje nam lekarzy, infrastruktury, sprzętu – wszystkiego, co pomogłoby nam zmierzyć się z wirusem. Czujemy się zapomniani. Pomimo rządowych obietnic nie dotarła do nas żadna pomoc. Liczba przypadków w okolicy gwałtownie rośnie, szpital w Leticii jest przepełniony, a najbliższy szpital w brazylijskiej Tabatindze nie jest już w stanie przyjmować pacjentów. Prosimy o więcej działania. Jeśli nie zwrócicie na nas uwagi, znikniemy".

Kilka epidemii naraz

W Kolumbii pierwszy przypadek koronawirusa zarejestrowano 6 marca. Choroba najpierw pojawiła się w stolicy, a potem dużych miastach, jak Medellín i Cartagena de Indias. W departamencie Amazonas pierwsze zakażenie odnotowano 17 kwietnia, choć ze względu na problemy z diagnostyką można sądzić, że doszło do nich dużo wcześniej. Właśnie ta część Kolumbii szybko stała się regionem najmocniej dotkniętym pandemią – jeśli weźmiemy pod uwagę stosunek liczby przypadków do liczebności mieszkańców, notuje się tu najwięcej zarażeń i ofiar śmiertelnych w całym kraju.

„Większość rządów przez wiele lat widziała w Amazonii miejsce, które przynosi zysk, które można eksploatować do woli. Nigdy nie pomyślano, że warto tu inwestować pieniądze w szpitale. Pandemia uwidoczniła te zaniedbania" – mówił w wywiadzie dla lokalnej prasy Pablo Martínez, kolumbijski lekarz, który od ponad 20 lat pracuje w departamencie Amazonas. „Wiele mówi się, oczywiście słusznie, o tym, że Amazonia to zielone płuca Ziemi, że jest światu potrzebna. Teraz to nam, mieszkańcom Amazonii, w dosłownym sensie brakuje tlenu" – dodał Martínez.

Bardzo źle sytuacja wygląda także w Peru, gdzie żyje 55 plemion rdzennej ludności, z czego 51 zamieszkuje selwę (dżunglę), a pozostałe cztery tereny sierry (gór). Szacuje się, że zaledwie jedna piąta mieszkańców górskich wiosek w Andach ma stały dostęp do bieżącej wody, a nie więcej niż połowa ma możliwość skorzystania z opieki lekarskiej. Równie pesymistycznie wygląda to w peruwiańskiej części Amazonii, m.in. w regionie Loreto, zamieszkanym przez 830 tys. ludzi, z których połowa to rdzenne grupy etniczne, jak Kukama, Bora, Kichwa czy Yagua. Coraz więcej mówi się o tym, że oficjalne dane na temat pandemii na ich terytoriach są niepełne. Wykonuje się tu kilkakrotnie mniej testów niż w pozostałych regionach Peru, a wiele ofiar śmiertelnych nie zostaje uwzględnionych w statystykach.

„Czuję bezsilność. W żadnym z trzech szpitali w mieście nie ma już wolnych łóżek, nie mamy jak przyjmować pacjentów. Od dłuższego czasu muszę żyć ze świadomością, że ludzie po prostu odchodzą w domach, bez szansy na pomoc. Nie wiadomo nawet, czy umierają z powodu COVID-19, czy innych chorób, których nie mają teraz możliwości leczyć" – opowiadał w wywiadzie dla BBC Luis Leonardo Runciman, lekarz i dziekan Kolegium Medycznego w Iquitos, największym mieście peruwiańskiej selwy.

Sytuację pogarsza bowiem fakt, że mieszkańcy tej części kraju zmagają się z czterema epidemiami naraz: poza koronawirusem są tutaj liczne przypadki dengi, leptospirozy i malarii. W połączeniu z izolacją od reszty kraju, słabo rozwiniętym systemem służby zdrowia i wrażliwością autochtonów na nowe choroby daje to tragiczną mieszankę wybuchową.

Mogiły w Manaus

„To, czego tutaj doświadczamy, przypomina sceny z filmu katastroficznego lub horroru. Trudno jest to opisać słowami. Panuje chaos, strach, zmęczenie" – mówił w wywiadzie Arthur Virgílio Neto, burmistrz Manaus, leżącego w sercu brazylijskich lasów deszczowych. W ostatnich miesiącach to największe miasto Amazonii stało się jednym z kilku regionów Brazylii najbrutalniej dotkniętych przez pandemię. Od miesiąca na tutejszych cmentarzach kopane są zbiorowe mogiły, w których próbuje się pomieścić przybywających zmarłych.

O sytuacji w Manaus, gdzie na prawie 2 mln mieszkańców przypada zaledwie 50 łóżek na oddziałach intensywnej terapii, mówi się w brazylijskich mediach sporo. Ale podobny dramat rozgrywa się też w amazońskich wioskach, gdzie praktycznie nie ma szpitali i rzadziej dociera telewizyjna kamera. Według informacji zebranych przez La Articulación de los Pueblos Indígenas de Brasil – jedną z największych organizacji zajmujących się prawami rdzennej Brazylii – do końca maja wirus dotarł do ok. 80 indiańskich osad.

Wielu mieszkańców, mając świadomość zagrożenia, stawia na ich rogatkach barykady, próbując bronić się przed przyjezdnymi. Tymi przybyszami z zewnątrz często są drwale, prowadzący w lasach deszczowych nielegalną wycinkę. Pomimo apeli wielu organizacji, m.in. brazylijskiego Greenpeace, nie przerwano bowiem deforestacji tej części Amazonii. Przeciwnie, wzrosła ona o ok. 30 proc. w stosunku do wcześniejszych miesięcy.

Autochtoni i reszta

Apel w obronie rdzennych społeczności wystosował do brazylijskich władz ceniony fotograf Sebastião Salgado. Internetową petycję podpisało ponad 300 tys. ludzi na świecie, poparło ją też publicznie wielu reprezentantów świata nauki, kultury czy show-biznesu, jak Jane Fonda, Paul McCartney, Madonna i Brad Pitt.

Brazylijski artysta ostrzega w niej, że koronawirus jest ekstremalnym zagrożeniem dla rdzennej ludności jego ojczyzny: „Pięć wieków temu wiele grup etnicznych zostało zdziesiątkowanych przez choroby sprowadzone przez europejskich kolonizatorów. Od tego czasu kolejne kryzysy epidemiologiczne zabiły większość tutejszej populacji. Teraz sytuacja jest podwójnie krytyczna, bo amazońskie terytoria są wciąż atakowane przez górników, drwali i hodowców bydła, a rdzenni mieszkańcy nie mają jak bronić się przed roznoszonym przez nich wirusem. W rezultacie są narażeni na realne ryzyko masowej śmierci. (...) Wzywamy do natychmiastowego podjęcia kroków pozwalających ochronić tubylcze społeczności, będące niezwykłą i ważną częścią naszej kultury oraz historii. Ich zniknięcie byłoby olbrzymią tragedią Brazylii i całej ludzkości. Nie ma już czasu do stracenia".

Brak reakcji prezydenta na tę petycję nie jest zaskoczeniem. Jair Bolsonaro znany jest z mało przyjaznej polityki wobec autochtonów, nastawionej raczej ↦

na zyskane ich kosztem korzyści ekonomiczne niż humanitarną ochronę.

Choć problem nielegalnej wycinki lasów równikowych istnieje od lat, to właśnie obecny prezydent – swoje zwycięstwo w wyborach zawdzięczający w dużej mierze poparciu lobby hodowców i plantatorów – jest w tej antyekologicznej polityce najbardziej konsekwentny. Jeszcze w trakcie kampanii w 2018 r. mówił wprost, że konieczność dbania o środowisko to tylko liberalny wymysł stojący na przeszkodzie gospodarczego rozwoju, a utrzymywanie przywilejów rdzennej ludności Amazonii jest bezzasadne.

Dziś pojawia się wiele głosów, że pandemia ujawniła w Brazylii coś, co istniało tutaj zawsze, a od momentu elekcji Bolsonara otrzymało jeszcze radykalniejszą formę: obojętność wobec losu rodowitych mieszkańców największego kraju Ameryki Południowej, których prawa są coraz bardziej zagrożone.

Na własną rękę

Równie mocno to wrażenie obojętności wielu polityków wobec losu rdzennych społeczności wybrzmiewa w Chile – kraju, gdzie *indígenas* stanowią ok. 13 proc. populacji. Liczni ich przedstawiciele zarzucają rządowi w Santiago, że zalecenia i komunikaty dotyczące pandemii nie są podawane w lokalnych językach i dialektach, a jedynie po hiszpańsku. Brakuje tu też – podobnie jak w innych państwach regionu – bardziej szczegółowych statystyk i informacji o tym, jak koronawirus dotyka rodowitą ludność.

Na takie zaniedbania skarży się również dwutysięczna społeczność Rapa Nui – rdzenna ludność należącej do Chile Wyspy Wielkanocnej, stanowiąca jedną czwartą jej populacji. Chroni się ona przed epidemią wykorzystując metody znane z własnych zwyczajów. Lokalne władze, podkreślając konieczność pozostania w domu, odwołują się do zakazu znanego jako *tapu* – oznacza on wyhamowanie, wyciszenie i zaprzestanie na pewien czas wcześniejszych czynności. Mają świadomość, że dla wielu mieszkańców tej polinezyjskiej wyspy, położonej ponad 3,7 tys. km od chilijskiego brzegu, nawiązanie do miejscowej tradycji jest bardziej przekonujące niż ustanawiane w dalekiej stolicy zakazy i ustalenia.

Krytyka rządu pojawia się także wśród Mapuczy, najliczniejszych rdzennych mieszkańców Chile, żyjących głównie w Santiago oraz w południowym regionie Araukania.

– Przekaz władzy jest jednolity i dość wyższościowy. Zakłada, że wszyscy Chi-

IVAN ALVARADO / REUTERS / FORUM

Pamela Fernandez: czworo dorosłych, troje dzieci – głosi napis na garnku. Jego właścicielka stanie za chwilę w kolejce po gorący posiłek, wydawany w Santiago de Chile rodzinom, które straciły źródło utrzymania. 15 maja 2020 r.

Gdy dystans jest przywilejem

NOWYM GLOBALNYM epicentrum – w sytuacji, gdy w Europie i Ameryce Północnej pandemia stopniowo wyhamowuje – staje się Ameryka Południowa. Konsekwentne ignorowanie zaleceń epidemiologów, ochocze ściskanie swoich zwolenników i niezmienne wzywanie do łamania kwarantanny – tak od paru miesięcy zachowuje się prezydent Brazylii, obecnie drugiego (po USA) państwa świata najbrutalniej dotkniętego przez pandemię. Jair Bolsonaro nie przestaje bagatelizować niebezpieczeństwa związanego z wirusem, tocząc walkę z WHO, gubernatorami podtrzymującymi obostrzenia oraz z własnymi ministrami zdrowia – bo od połowy kwietnia doszło już do dwóch dymisji na tym stanowisku. Na początku czerwca objął je generał Eduardo Pazuello. Czy Pazuello – specjalista od wojskowej logistyki, bez doświadczenia w sferze medycznej – będzie w stanie opanować sytuację w 210-milionowym kraju, gdzie szpitale od dawna są przepełnione, a chorych wciąż przybywa? Pod koniec drugiego tygodnia czerwca notowano już prawie 900 tys. zakażeń i prawie 45 tys. ofiar śmiertelnych. Wielu ekspertów uważa jednak, że liczne zgony nie trafiają do raportów, a testów wykonuje się na tyle niewiele, iż oficjalne statystyki znacznie odbiegają od rzeczywistości. Liczba przypadków wykrytych w Brazylii stanowi aż połowę wszystkich zakażeń notowanych w Ameryce Południowej. Do rychłego uchylania restrykcji epidemicznych prędko nie dojdzie również w Peru, drugim południowoamerykańskim kraju pod względem liczby zarażeń (ponad 196 tys. na początku czerwca) i zgonów (ponad 5,4 tys.). Prezydent Martín Vizcarra od początku postawił tu na *lockdown*, surowe obostrzenia i intensywne testowanie. Już po zidentyfikowaniu pierwszych kilkudziesięciu zarażeń ogłosił 15 marca stan wyjątkowy, zamknął granice i wyprowadził na ulice wojsko, pilnujące przestrzegania kwarantanny. Co więc sprawia, że zakażeń masowo przybywa? Odpowiedzią są warunki, w jakich Peruwiańczykom przychodzi stawić czoło pandemii. Ponad 10 proc. mieszkańców nie ma w domu bieżącej wody, a tylko 55 proc. ma do niej dostęp przez całą dobę. Dla wielu ludzi przymusowa kwarantanna pozostaje fikcją: aż 71 proc. społeczeństwa pracuje nieformalnie, bez umowy i zabezpieczenia finansowego. Wielu Peruwiańczyków zarabia na życie „w terenie", zajmując się np. handlem ulicznym i usługami. Trzeci kraj kontynentu pod względem liczby chorych i zmarłych to Chile – na początku czerwca statystyki notowały tu 134 tys. zakażeń i ponad 2 tys. ofiar śmiertelnych. Najbardziej dynamicznie epidemia rozwija się w stołecznym Santiago, gdzie 15 maja wprowadzono całkowitą kwarantannę. Oficjalne statystyki wskazują, że w zamożniejszych dzielnicach mobilność spadła odtąd o 45 proc., podczas gdy w tych uboższych – gdzie mieszkańcy pozbawieni odgórnego wsparcia ekonomicznego żyją niemal tak samo jak przed pandemią – spadła ona zaledwie o jedną piątą. Podobnie jak w całej Ameryce Południowej – regionie pełnym społecznych nierówności – wyraźnie widać tutaj, że możliwość zachowania dystansu jest przede wszystkim ekonomicznym przywilejem.

© MAGDALENA BARTCZAK

lijczycy są biali, wykształceni i mieszkają w dużych miastach. To duży błąd, ponieważ dla Mapuczy taka narracja oznacza wykluczenie. Wiele tak formułowanych zaleceń nie dociera do ich społeczności, a zwłaszcza do jej wiejskiej, starszej czy słabiej wykształconej części – mówi mi Wenuan Escalona, mapuczański pisarz i profesor literatury.

Wielu Mapuczy na własną rękę tworzy kordony sanitarne na granicach miasteczek, chroniąc się przed przyjezdnymi. Koronawirus jest dla nich szczególnie groźny – są oni jedną z uboższych grup społecznych w Chile, wiele osad nie ma dostępu do bieżącej wody i środków dezynfekujących.

Drugie odkrycie Ameryki

W równie złych warunkach żyją rdzenne grupy zamieszkujące Patagonię, w tym najdalej wysunięte na południe miasta i miasteczka kontynentu.

Należy do nich 120-tysięczne Punta Arenas, leżące na krańcu Chile. W tym roku miasto miało hucznie świętować 500-letnią rocznicę wydarzenia, które ukształtowało historię całego regionu: 1 listopada 1520 r., podczas wyprawy dookoła świata, Ferdynand Magellan dotarł w te okolice i odkrył przejście między oceanami Atlantyckim i Spokojnym. Uczynił to pokonując cieśninę, którą początkowo nazwano Cieśniną Wszystkich Świętych, a potem – Cieśniną Magellana.

W Chile ten moment określa się dumnie jako „drugie odkrycie Ameryki". Dopiero niedawno historycy zaczęli więcej pisać o tym, co to „odkrycie" oznaczało dla autochtonów, w tym dla społeczności Selknam, Kaweskar i Jagan. Często była to śmierć z rąk tych, którzy polowali na „dzikich Indian", albo masowe umieranie na choroby zawleczone przez przybyszów z Europy. Podobnie jak na całym kontynencie nowe wirusy roznosiły się tu szybko, przetrwali więc nieliczni. W wielu przypadkach epidemie grypy, zapalenia płuc i innych chorób oznaczały wyginięcie nie tylko jednostek i rodzin, lecz całych plemion, kultur i światów.

Echa tej historii powracają teraz. Gdy Ameryka Południowa staje się ogniskiem pandemii, zagrożenie jej pierwszych mieszkańców znów jest boleśnie realne. © MAGDALENA BARTCZAK

EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS

Nauczycielki z podstawówki w Barcelonie napominają sześciolatki Wendy i Oumou, aby nie przytulały się podczas powitania w pierwszy dzień po otwarciu szkoły. 8 czerwca 2020 r.

Tęsknimy za szkołą

PATRYCJA BUKALSKA, PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Niemal w całej Europie w ostatnich miesiącach szkoły były zamknięte. Czas na wyciąganie wniosków i bilans strat. Również tych, które ponieśli uczniowie.

Belgijskie szkoły zaczęto stopniowo otwierać w połowie maja. Wprawdzie uczą się jeszcze nie wszystkie klasy i nie we wszystkie dni tygodnia, przed wejściem uczniom sprawdzana jest temperatura, klasy są podzielone na mniejsze, na przerwach obowiązuje dystans... To namiastka normalności. Dla wielu dzieci – także radość z kontaktu z rówieśnikami.

To również próba generalna przed jesienią. Bo nikt nie wie, czy i kiedy szkoły zaczną funkcjonować tak jak przed pandemią. Belgia jest jednym z krajów najbardziej przez nią dotkniętych. Liczba zmarłych w przeliczeniu na milion mieszkańców jest tu największa w Europie: na początku czerwca wynosiła 817 (podczas gdy w Hiszpanii 580, w Wielkiej Brytanii 567, we Włoszech 553, we Francji 441, a w Szwecji 435).

Teraz Belgia powoli się otwiera. Popierając decyzję o powrocie do szkół, tutejsi pediatrzy stwierdzili, że ryzyko dla dzieci jest niewielkie, i podkreślili, że „edukacja jest podstawowym prawem każdego dziecka, a szkoła odgrywa w tym kluczową rolę". Do szkół wróciły też dzieci w Danii, Niemczech, Finlandii i częściowo Anglii (jednym z czterech krajów Zjednoczonego Królestwa). Nie obyło się jednak bez dyskusji (w Niemczech starli się w niej wirusolodzy) oraz kontrowersji (w Anglii przeciw otwarciu szkół ostro protestowały związki zawodowe i niektóre miasta). Także Finowie otworzyli szkoły, choć do wakacji były tylko dwa tygodnie. Uznali jednak, ↦

↦ że warto sprawdzić, jak dzieci przetrwały *lockdown*. W Hiszpanii regionom pozwolono już otworzyć szkoły, ale normalnych zajęć nie będzie do jesieni. We Włoszech szkoły pozostaną zamknięte do września.

Wszędzie, bez względu na przyjętą strategię, przychodzi czas na refleksję, jakie skutki miał dla dzieci czas kwarantanny i zamknięcia.

Choćby jeden dzień

– Na początku mój syn cieszył się, że zostaje w domu, był pełen energii i pomysłów, jak twórczo spędzać czas – opowiada „Tygodnikowi" Nathalie, która mieszka pod Brukselą. – Ale to przecież 15-letni chłopak! Szybko zaczął tęsknić za kolegami, trudno było mu planować samodzielną pracę, pilnować terminów, zrozumieć instrukcję, opanować nowy materiał – wylicza matka. – Koniec kwietnia to był już trudny czas, dopadł go brak motywacji. Miał dość uczenia się samemu.

Ula mieszka w 40-tysięcznym Vilvoorde w północnej Belgii. Jej dzieci są młodsze, mają 9 i 12 lat, ale ich emocje były podobne. – Na początku cieszyły się, że nie muszą chodzić do szkoły, choć były też przestraszone całą sytuacją – mówi „Tygodnikowi" Ula. – Nauka w domu nie była prosta. Dzieci dostały plan pracy i dużo nowych tematów do przerobienia. Wprawdzie nauczyciel był dostępny, jeśli miały pytania, ale obawiam się, że będą miały braki z materiału, który przerabiały w domu.

Ula mówi też o problemach zapewne znanych rodzicom w innych krajach: dzieci chodziły późno spać, spędzały dużo czasu przed telewizorem, sporo grały na komputerze i telefonie – szczególnie gdy pracujący w domu rodzice potrzebowali spokoju.

– Bardzo też tęsknią za przyjaciółmi. Nie mogli się doczekać powrotu do szkoły – mówi Ula. – Córka wróciła dwa tygodnie temu, ma zajęcia dwa razy w tygodniu. Syn wraca wkrótce.

W Belgii otwarcie szkół rozłożono w czasie, różne decyzje mogły też podjąć rządy regionalne (w regionie flamandzkim, walońskim i stołecznym brukselskim). Najpierw wróciła pierwsza, druga i szósta klasa. Na początku czerwca – przedszkolaki. Reszta później. Powrót nie jest obowiązkowy – rodzice mogli postanowić, że wolą, aby dzieci zostały jeszcze w domu.

Syn Nathalie pójdzie do szkoły tylko raz, a lekcje zdalne będzie mieć do końca roku szkolnego. W jego szkole nie było możliwe otwarcie z zachowaniem rygorów sanitarnych, ale dyrektor chciał, by każdy z uczniów zjawił się w niej chociaż raz. W przypadku syna Nathalie tego dnia zaplanowano dwie godziny wychowawcze, podczas których mieli rozmawiać o ostatnich miesiącach, a także matematykę, łacinę, fizykę i dwie godziny zajęć sportowych.

Logowanie

Ten jeden dzień w szkole jest ważny, bo w Belgii – podobnie jak w Polsce – kontakt z niektórymi uczniami był ostatnio trudny. Choć problem z dostępem do laptopa i internetu zwykle szybko rozwiązywano, wyzwaniem okazało się dotarcie do wszystkich uczniów.

Lieve uczy w podstawówce w 40-tysięcznym Dilbeek niedaleko Brukseli. Opowiada, że przejście na nauczanie zdalne było wielką zmianą i dla nauczycieli, i dla uczniów. Ci ostatni zwykle radzili sobie, potrafili się skupić i cieszyli namiastką kontaktu z kolegami. – Po lekcji pozwalaliśmy im ze sobą pogadać. Również kontakt z nami, nauczycielami, był krótszy i rzadszy, ale bardziej intensywny – mówi Lieve „Tygodnikowi". – Codziennie wrzucaliśmy też coś na szkolnego Facebooka, nagrywaliśmy filmiki. Uczniowie mieli co robić.

Ale część uczniów – Lieve ocenia, że w jej szkole to 10 proc. – nigdy nie zalogowała się w systemie. – Choć dzwoniliśmy, a nawet chodziliśmy do ich domów – zaznacza.

Chantal, nauczycielka z 30-letnim stażem, miała podobne problemy. Co więcej, uczy w szkole w Brukseli, w której większość uczniów nie mówi w domu po flamandzku (ocenia się, że w całej Flandrii takich uczniów jest 15 proc.).

– Na początku obdzwaniałam rodziców wszystkich moich dzieci raz w tygodniu, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nie potrzebują pomocy. Musieliśmy też zadbać, by każdy uczeń miał dostęp do internetu oraz laptopa z kamerą i mikrofonem. Pomagaliśmy założyć adres mailowy, uczyliśmy rodziców i uczniów, jak logować się na lekcję – wspomina Chantal. – Potem dzwoniłam od razu, gdy ktoś się nie logował. Jeśli był to kłopot techniczny, umawiałam się na inny termin i przerabiałam materiał indywidualnie. Muszę przyznać, że udało mi się utrzymać prawie wszystkich uczniów z mojej klasy!

Chantal ma powody do dumy, ale nie ukrywa, że było ciężko: – Bywało, że nie dostawałam z powrotem zadań. Bywało, że rodzice nie rozumieli moich maili i dzieci musiały je im tłumaczyć z flamandzkiego. Ktoś powie, że to szkoła powinna tłumaczyć je na język rodziców. Ale to niewykonalne, bo to wiele języków: francuski, angielski, arabski, turecki... Dlatego byłam szczęśliwa, gdy wszyscy uczniowie logowali się na moich lekcjach.

Byłem tu, jak się masz?

Już wiele lat temu w Gandawie, ćwierćmilionowej stolicy prowincji Flandria Wschodnia, rozpoczęto projekt *brugfiguren*. Jak wskazuje nazwa, chodziło o zbudowanie „mostu" (po flamandzku *brug*) między dziećmi z zagrożonych środowisk a szkołą. Dziś każda szkoła publiczna w mieście ma swego *brugfiguur*: to szkolny asystent pracujący z rodzinami.

Teraz projekt dodatkowo zaprocentował: asystenci odegrali w Gandawie kluczową rolę w docieraniu do uczniów, którym groziło wypadnięcie z systemu. – Oni znają uczniów, ich sytuację i mają już jakąś relację z rodziną, zdobyli jej zaufanie. Łatwiej było im pukać i pytać, co się stało i jak pomóc – mówi „Tygodnikowi" Wim Van Lancker, socjolog z Uniwersytetu w Leuven, zajmujący się ubóstwem i wykluczeniem.

Brugfiguren dzwonili więc do rodziców, a gdy trzeba było, jechali. Jeśli nikt nie otwierał, zostawiali na progu materiały do nauki i karteczkę: „Hej, byłem tu, jak się masz? Możemy porozmawiać?". „To taki znak życia" – mówił jeden z nich.

Choć czasem nawet oni byli bezradni. „Co z tego, że uczeń dostał od szkoły laptop, gdy w domu prąd jest na licznik przedpłatowy i matka musi wybierać: włączyć pralkę czy podładować komputer dziecka?" – zauważała dyrektorka szkoły zawodowej w Gandawie, jedna z bohaterek artykułu o *brugfiguren* w dzienniku „De Standaard".

– Laptop jest oczywiście niezbędny w zdalnym nauczaniu i we Flandrii była akcja przekazywania ich potrzebującym, ale to nie załatwia wszystkiego – potwierdza Van Lancker. – Potrzebne jest też ci-

YVES HERMAN / REUTERS / FORUM

Uczniowie szkoły średniej po jej ponownym otwarciu ćwiczą zachowywanie dystansu społecznego. Bruksela, 15 maja 2020 r.

che miejsce do nauki, stabilny internet i umiejętność obsługi narzędzi elektronicznych, z których korzystają szkoły. Uczeń mógł dostać laptop, ale potrzebował pomocy w poruszaniu się po platformach edukacyjnych. No i były takie podstawowe sprawy jak to, że w domach brakowało książek, a biblioteki były zamknięte.

W czterech ścianach

„Cześć Juanma, co stanie się z tymi wszystkimi dziećmi, które nie mają komputera ani tabletu, żeby odrabiać zadania domowe, a ich rodzice stracili pracę?" – pyta hiszpańskiego polityka 11-letnia Alba w spocie przygotowanym przez Save the Children.

Według danych zebranych przez tę organizację, w Hiszpanii aż 15 proc. zagrożonych ubóstwem rodzin nie ma dostępu do internetu. Jeśli to rodzina imigrantów, ten odsetek jest dwukrotnie większy. Zresztą w takiej sytuacji, nawet gdy jest dostęp do sieci, dzieci rzadko mają możliwość korzystania z komputera. Zwykle używają telefonu, którym muszą dzielić się z pozostałymi członkami rodziny. Dla wielu z nich brak szkoły – w jej fizycznym sensie – oznacza koniec nauki w ogóle.

Dlatego już pod koniec marca rząd centralny dostarczył potrzebującym ponad 20 tys. kart SIM i dwa tysiące tabletów. Pomogły też rządy regionalne, prywatne firmy, a nawet niektórzy nauczyciele, którzy z własnej kieszeni sfinansowali naukę ambitnym uczniom. Pomoc dotarła jednak tylko do części rodzin, które dotyka problem tzw. wykluczenia cyfrowego.

11-letnia Alba, jak i inne dzieci biorące udział w kampanii, w rękach trzyma fotografię. To zdjęcie z dzieciństwa posła, któremu przed chwilą zadała pytanie. Zostało poddane przeróbce graficznej: na twarzy małego Juanmy Moreno widać ochronną maskę. Zarówno jemu, jak i innym politykom, których tego typu podobizny pojawiły się w internecie, ma to pomóc w wyobrażeniu sobie, jak wyglądałoby ich dzieciństwo w czasie pandemii.

Bo ogłoszona ścisła kwarantanna oznacza nie tylko zajęcia online, ale też odosobnienie i brak kontaktu z rówieśnikami oraz nauczycielami. Sytuacja trudna dla wszystkich, ale dla niektórych szczególnie. „Utrata tych kilku miesięcy może mieć ogromny wpływ na rozwój" – mówi dziennikowi „El País" Mentxu Ochoa, wicedyrektorka stowarzyszenia pomagającego osobom z autyzmem. Niektóre z „jej" dzieci z powodu tak drastycznej zmiany musiały wrócić do brania leków, które wcześniej udało im się odstawić.

Dla innych dzieci zamknięcie oznacza jeszcze coś innego: dzielenie czterech ścian z agresorem. W ostatnich miesiącach aż połowa połączeń wykonanych przez dzieci na telefon zaufania fundacji ANAR dotyczyła przemocy w domu. Brak szkoły pozbawił je także poczucia bezpieczeństwa lub szansy na zjedzenie ciepłego posiłku.

„Nie zapominajcie o dzieciach" – mówi pod koniec maja w hiszpańskim parlamencie Andrés Conde, dyrektor generalny hiszpańskiego Save the Children.

Luka edukacyjna

Pandemia wyostrza problemy obecne już wcześniej. Jeszcze przed kryzysem Hiszpanię zaliczano do krajów z największą liczbą dzieci zagrożonych ubóstwem w Unii Europejskiej. Również w Belgii czy Wielkiej Brytanii epidemia „tylko" unaoczniła zjawiska, o których było wiadomo, np. to, że równość szans edukacyjnych jest fikcją.

Opublikowany pod koniec maja raport brytyjskiego Instytutu Studiów Fiskalnych (IFS) nie pozostawia wątpliwości: w Anglii, której dotyczyło badanie, kwarantanna pogłębi przepaść między uczniami dobrze sytuowanymi a tymi z biednych rodzin. Ci pierwsi uczestniczyli w zdalnej edukacji o jedną trzecią dłużej niż ci drudzy. Także 64 proc. z nich otrzymało aktywną pomoc od nauczycieli – w porównaniu z 47 proc. tych najuboższych. To w szkołach publicznych. W prywatnych rozdźwięk jest większy: tu 82 proc. uczniów otrzymuje aktywną pomoc.

A zaznaczyć trzeba, że na Wyspach to szkołom pozostawiono decyzję co do sposobu kontynuowania nauki. W efekcie tylko 33 proc. najuboższych uczniów w angielskich państwowych podstawówkach mogło korzystać ze zdalnych lekcji i tylko 11 proc. z wideoczatu z nauczycielem. W prywatnych podstawówkach było to odpowiednio 51 proc. i 27 proc., a w prywatnych szkołach średnich jeszcze więcej.

W raporcie IFS czytamy też, że prawie 60 proc. ubogich uczniów nie ma w domu własnego miejsca do nauki. Z kolei w Belgii dotyczy to 12 proc. wszystkich uczniów.

Szczegóły obrazu mogą się różnić zależnie od kraju, ale trend jest ten sam: w przypadku uczniów, którzy mieli gorsze szanse edukacyjne, kwarantanna zostawia poważniejszy ślad. ↦

Kryzys sanitarno-społeczny

– Pandemia będzie mieć skutki krótko- i długoterminowe. Pierwsze odczujemy wkrótce i będzie to kryzys ekonomiczny, co odbije się na sytuacji dzieci. Wychowywanie się w ubóstwie ma olbrzymi wpływ na szanse dziecka – mówi Wim Van Lancker.

A skutki długoterminowe? – Przepaść edukacyjna między dziećmi z uboższych domów a resztą zwiększa się zwykle podczas wakacji. Dla dzieciaków z klasy średniej podczas wakacji nauka wcale się nie kończy: często jadą na wakacje za granicę, zwiedzają, spotykają nowych ludzi. Ich rówieśnicy z ubogich rodzin zostają w domu, ich edukacja się przerywa. Teraz od kilku miesięcy jedna grupa się uczy, a druga nie. Przepaść między nimi będzie rosnąć, to wiemy na pewno. Nie wiemy tylko, jak bardzo – ocenia Van Lancker.

Socjolog zwraca uwagę, że tych kilka miesięcy luki edukacyjnej może wpłynąć na życie dzieci: na szansę ukończenia szkoły, zdobycia zawodu. – Bez wykształcenia jako dorośli będą mieć niskopłatne prace, więc dalej będą żyć w ubóstwie. Błędne koło. To, co uważamy teraz za kryzys zdrowotny, w istocie jest też kryzysem społecznym, z długofalowymi skutkami.

Dotyczy to wielu krajów. Hiszpańscy uczniowie już dziś przodują w Europie pod względem przedwczesnego kończenia nauki. Teraz zjawisko może się pogłębić: z chwilą, gdy rodzice tracą pracę, dorastające pokolenie może czuć się w obowiązku, by wspomóc rodzinny budżet – porzucając szkołę. Dlatego Andrés Conde podkreśla, że najbardziej potrzebującym rodzinom potrzebna jest szeroko zakrojona pomoc. Pierwszy krok w tym kierunku Hiszpania wykonała uchwalając niedawno minimalny dochód gwarantowany dla najbiedniejszych.

– Nie ma jeszcze danych, ile dzieci ucierpiało w wyniku zamknięcia szkół, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy już teraz podejmować kroków, by niwelować negatywne skutki – zgadza się Van Lancker. – Chodzi nie tylko o wsparcie finansowe dla rodzin, ale też o takie kwestie, jak zadbanie o otoczenie, gdzie dzieci spędzają czas, o place zabaw, o ich zdrowie. Także psychiczne, bo kwarantanna wpłynęła na nie również pod tym względem.

Dla Eleny, nauczycielki z Saragossy, każdy dzień to maraton.

Codziennie sprawdza około stu prac, nagrywa kilka miniwykładów na kolejne lekcje i wymyśla nowe zadania dla uczniów.

Najmłodsi mają głos

Pod koniec maja Komisja ds. Praw Dzieci we Flandrii opublikowała raport oparty na ich doświadczeniach epidemii. Dzieci w wieku od ośmiu do siedemnastu lat opowiadały, że bały się zachorować, albo że zachoruje ktoś bliski; mówiły o nudzie i samotności; o przemocy, której doświadczyły albo którą widziały w rodzinie (połowa ankietowanych przyznała, że w domu częściej dochodzi do awantur). Aż 70 proc. młodszych dzieci i 45 proc. nastolatków przyznało, że tęskni za szkołą.

Flandryjska komisja ma nadzieję, że raport będzie brany pod uwagę przez rząd podczas dalszego „odmrażania".

Van Lancker: – Rzeczywiście, podczas wychodzenia z kwarantanny coraz więcej uwagi poświęca się w Belgii potrzebom dzieci. Otwiera się miejsca dla nich ważne: szkoły, place zabaw, organizacje sportowe. W ten sposób również te dzieci, które nie mieszkają w domu z ogrodem, mogą wyjść i bezpiecznie bawić się na zewnątrz.

Socjolog uważa, że otwarcie szkół było ważne także dlatego, gdyż dla dzieci to, poza innymi czynnikami, miejsce kontaktów społecznych: – Dzięki temu można było też sprawdzić, czy wszystkie wróciły do szkół – dodaje. – Kogo brakuje, do którego domu trzeba iść i pytać, co się dzieje.

W Hiszpanii większość zajęć wciąż prowadzona jest online. To oznacza, że dla nauczycieli – takich jak Elena, która pracuje w podstawówce w Saragossie – każdy dzień to maraton.

Elena codziennie sprawdza około stu zadanych prac. Jednocześnie przygotowuje kilka miniwykładów na kolejne lekcje – nie tylko dla swoich uczniów, ale dla całego rocznika (nauczyciele dzielą się tematami, dzięki temu wszystkie klasy mają ten sam materiał). Ustawia kamerę, kartkuje notatki: dzisiaj fotosynteza. Jak tylko nagra film, będzie musiała jeszcze wszystko dobrze opisać i opracować kilka zadań sprawdzających wiedzę.

Z uczniami widzi się raz w tygodniu, na wideokonferencji. Uważa, że to niezwykle ważne: nie dla weryfikowania wiedzy, lecz po to, aby sprawdzić, jak się mają. I żeby dać im szansę, aby mogli chwilę ze sobą w grupie porozmawiać.

Czekając na drugą falę

Jak szkoła będzie wyglądać jesienią? Czy tak jak przed pandemią? Tak jak teraz?

We Flandrii na razie planuje się organizowanie letnich szkół, by pomóc uczniom w nadrabianiu zaległości. W Finlandii planowanie idzie dalej: rozważa się, jak umożliwić połowie uczniów naukę zdalną, a połowie naukę w szkole – na wypadek, gdyby jesienią nastąpiła druga fala epidemii. W ten sposób można utrzymać dystans w klasach bez zamykania szkół.

W Hiszpanii natomiast, prócz planowania kolejnego roku szkolnego z zachowaniem bezpieczeństwa sanitarnego, zaczynają się rozmowy nad reformą systemu. Ministerstwo edukacji chce, by szkoła była bardziej nowoczesna, zdigitalizowana, aby uwzględniała różne potrzeby uczniów.

„To pierwsze światowe laboratorium innowacji edukacyjnej" – mówił edukator Alfredo Hernando podczas internetowego seminarium nad szkołą przyszłości. Hernando jest pełen entuzjazmu: wierzy, że teraz może dojść do zmian, które w normalnych warunkach zajęłyby lata: „Mam taką wizję, że uczniowie wracają do szkoły, która jest zupełnie pusta. Wtedy wszyscy razem zadają sobie pytanie: czego w tym czasie nam brakowało, czego realnie w tym budynku potrzebujemy?".

Jaka będzie ta nowa szkoła? Elena mówi, że jej uczniowie są gotowi na wszelkie zmiany. Nauczycielka z Saragossy wciąż nie może wyjść z podziwu, jak szybko jej dzieci przyzwyczaiły się do nowych warunków, jak potrafiły być odpowiedzialne.

Elena ma wrażenie, że jedyną rzeczą, której wyraźnie brakuje jej uczniom, jest bezpośredni kontakt: – Nawet w weekend piszą, że za nami tęsknią.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA, PAULINA MAŚLONA

Nasza wspólna Europa. Diagnozy

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 25/2020

Krótszy most w Cieszynie

KRZYSZTOF STORY

Gdy w czasie epidemii zamknięto granice, nad Olzą pojawiły się transparenty. Po jednej stronie: „Tęsknię za tobą, Czechu". Po drugiej: „Ja za tobą też, Polaku".

Zdecydowana większość młodych Polaków uważa członkostwo w Unii za coś dobrego. Gdy oceniają zjednoczoną Europę, nie mówią o wartościach, ideach, nie używają sformułowania „potrzeba integracji" i słownictwa z raportów Eurostatu. Mówią o konkretach, liczbach, kilometrach. O własnej codzienności.

Krzysztof: – Kiedy wybieram się do supermarketu na Słowacji, jadę 7 kilometrów przez góry, a nie 35 przez przejście graniczne. Dla mnie wszystkie inne aspekty są ważne w skali państwowej, ale ten odczuwam na co dzień.

Łukasz: – Dzięki Unii możemy brać udział w dużych i potencjalnie przełomowych projektach naukowych, jak np. ITER – Międzynarodowy Eksperymentalny Reaktor Termonuklearny, który powstaje we Francji i jest drugim najdroższym w historii projektem badawczym, ustępując tylko Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Kamil: – Bez ograniczeń otwieramy się na zagraniczny kapitał, co oznacza, że nie jesteśmy w stanie chronić swojej gospodarki.

ANIA MÓWI NATOMIAST: – A mi Unia dała męża.

Ania to Anna Alboth, aktywistka, pomysłodawczyni Marszu dla Aleppo: – Z Tomem poznaliśmy się w Parlamencie Europejskim – opowiada. – W 2007 r. organizowaliśmy zjazd 300 młodych dziennikarzy. Ja byłam w zespole od początku, on pojawił się w ostatniej chwili, bo potrzeba było fotografa. Przez trzy dni chodziliśmy po Parlamencie i, poza prowadzeniem projektu, szukaliśmy miejsc, w których mogliśmy się całować.

Erasmus, EVS, europejski wolontariat – to programy, w których co roku biorą udział tysiące młodych ludzi.

Łukasz: – Dzięki tym programom młode pokolenia poznały i poznają się ze sobą na całym kontynencie.

Dla wielu to poznanie oznacza punkt zwrotny w życiu. Niektórzy, jak Alboth, znajdują miłość, inni relacje biznesowe, wymarzoną pracę czy pasję.

IGA SPĘDZIŁA część studiów w Hiszpanii w ramach Erasmusa. Kilka miesięcy temu wróciła do Polski po pół roku mieszkania w Meksyku.

– Myślę, że nie granice są najważniejsze. Mnie osobiście Unia dała „europejskie obywatelstwo", a przynajmniej takie poczucie. Po drugiej stronie oceanu zauważyłam, że lepiej rozumiem Niemców i Hiszpanów niż Meksykanów, Australijczyków czy Amerykanki. Nie chodzi o język. Czuję, że to dzięki Unii. Czy to obiektywnie dobre? Nie wiem, ja to doceniam – mówi Iga.

KAMIL MA 28 LAT, pracuje jako programista. Wysyła mi wiadomość: „Głosów zachwytu na temat UE nie będzie brakować. Ja opowiem, czemu jestem jej przeciwnikiem w obecnej formie".

Jego wypowiedź da się podzielić na kilka kwestii. Pierwsza to gospodarka: „Zasada swobodnego przepływu kapitału, dóbr i usług powoduje, że nie możemy chronić własnych przedsiębiorstw, gospodarki inaczej niż na poziomie świadomych decyzji obywateli. Patriotyzm konsumencki nie jest u nas tak mocny jak np. w Niemczech. W efekcie robimy zakupy w niemieckich i portugalskich sklepach, kupujemy włoskie i niemieckie samochody. Tymczasem w drugą stronę to nie zawsze działa. W tej otwartości rynku widzę w Unii podwójne standardy – choćby francuskie prawo transportowe, które dyskryminuje nasze firmy. Białe tabliczki z dotacjami UE widzą wszyscy, ale mało kto zajrzy do wartości podatku CIT płaconego przez zachodnie korporacje" – skarży się Kamil.

Kwestia druga to zbyt mocna, zdaniem młodego programisty, integracja: „Mój sprzeciw budzą takie pomysły jak europejska armia, próba nadania UE państwowego charakteru – obywatele demokratycznie nie zgadzali się na tak wyglądającą Unię".

Trzecia: kryzys migracyjny. Kamil wyjaśnia: „Niemcy miały decydujący wpływ na to, jak wygląda polityka granic całej Unii. A konsekwencje poniosły w większości państwa leżące nad Morzem Śródziemnym".

„Dla jednostki, szczególnie młodej, UE wydaje się pełna możliwości i zalet – podsumowuje Kamil. – Wydaje się jednością, otwartością. Ale to nie znaczy, że nie ma potężnych wpływów poszczególnych państw, dbających o swój własny interes. Według mnie koszty przewyższają zyski".

ZMIANY, które zaszły po 1 maja 2004 r., najlepiej widać z perspektywy mostów.

Most na Olzie w Cieszynie. Karolina Kania jeszcze pamięta, gdy była tu granica. Pamięta, że by pojechać do babci na obiad, stało się w kolejkach, bo rodzina ojca pochodzi z Zaolzia.

– Od mostu granicznego do mojego domu jest półtora kilometra – opowiada. – Ta granica była w moim życiu od zawsze. Pamiętam stojące do granicy tiry, kolejki na kilka godzin. Po wejściu do Schengen zaczęła znikać. Coraz częściej zapominało się dokumentów, coraz mniej się o niej myślało.

Dziś Karolina mieszka w Pradze, jest etnolożką, kończy doktorat. Cieszyn i Český Těšín traktuje jako jedno miasto. Po drugiej stronie Olzy ma ulubione knajpy, fryzjera, kosmetyczkę. Na manicure z mamą od zawsze chodzą za rzekę.

– My naprawdę uwierzyliśmy, że granicy już nie ma. Dopiero pandemia przypomniała nam, że nadal istnieje. Na pograniczu rozdzielone zostały całe rodziny. Wielu ludzi znalazło się w sytuacji: ja jestem na jednym brzegu, a moja praca na drugim. Ja utknęłam w Pradze

GŁOWY BEZ GRANIC.
Gdy wchodziliśmy do strefy Schengen, przepisy wymagały nie tylko zniesienia kontroli na granicach, ale też usunięcia wszystkich barier do nich prowadzących. Teraz, 13 lat później, granice znikają nawet z naszych głów – szacuje się, że kontroli paszportowych nie pamięta już ok. 7 mln najmłodszych Polaków. Dla wielu z nich zamknięcie kraju na czas epidemii COVID-19 było pierwszym takim doświadczeniem w życiu. Swobodę podróżowania wymieniają regularnie jaką największą korzyść z członkostwa w Unii. I coraz częściej z niej korzystają: wśród Polaków jest już ponad 200 tys. pracowników transgranicznych. Na zdjęciu: likwidacja przejścia granicznego w Cieszynie, 9 grudnia 2007 r.

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

i od trzech miesięcy nie mogę odwiedzić bliskich w Polsce – mówi Karolina.

WTEDY NAD OLZĄ pojawiły się transparenty. „Tęsknię za tobą, Czechu" po jednej stronie i „Ja za tobą też, Polaku" po drugiej.

Karolina: – To cieszy. Takie miasta jak Cieszyn tylko korzystają na tej swobodzie. Na tym, że bliżej stąd do Wiednia i Pragi niż do Warszawy.

– A tak zwana wymiana międzykulturowa? – dopytuję.

– Dla niektórych Olza dalej jest barierą. Nie interesuje ich to, co dzieje się po drugiej stronie granicy. Dla wielu pozostaje bramą. Mieszkanie na pograniczu pozwala poznać kulturę sąsiadów. Kiedy zaczęłam uczyć się czeskiego, cieszyłam się, że w końcu będę mogła się z nimi dogadać. Okazało się, że na Zaolziu wszyscy i tak odpowiadają mi po polsku albo „po naszymu", czyli w gwarze. Ale czasem zdarzają się nieporozumienia.

Karolina wspomina spotkanie zorganizowane dla uczestników projektu polsko-czeskiego. Polacy przyszli w garsonkach i koszulach, Czesi – w dresach, ubrani swobodnie.

MOST NA ODRZE w Słubicach. Po drugiej stronie Frankfurt. Ula urodziła się tu 27 lat temu, granicę ma tylko w dziecięcych wspomnieniach.

– Dzisiaj mówimy na to Słubfurt, takie dwumiasto – śmieje się. I dodaje: – Sporo imprez dzieje się pod wspólnym szyldem. Ale na koniec i tak Polacy bawią się po swojej stronie, a Niemcy po swojej.

– A poza wydarzeniami?

– Mnóstwo osób jeździ do pracy. Niektórzy do szkoły. Sama byłam na wymianie, tworzyliśmy redakcję polsko-niemieckiej gazety uczniowskiej. I oczywiście handel. Niemcy zawsze przyjeżdżali do nas na bazary. Kupowali jedzenie, papierosy, alkohol, szli do fryzjera. My jeździliśmy tam po chemię i ubrania. Do dzisiaj na bazarze w Słubicach nie ma cen po polsku, jak chcę zapłacić za bułkę w złotówkach, muszę przeliczać.

– I Słubice, i Frankfurt na tym korzystają? – pytam.

– Tak. Słubice mają 16 tysięcy mieszkańców. Bez tej wymiany byłyby wymarłym miasteczkiem. O tym boleśnie zresztą przypomina pandemia koronawirusa. Wszystkie stoiska są zamknięte, ludzie nie mogą dojechać do pracy. Moja mama od dwóch lat pracowała w Niemczech, teraz szuka w Słubicach i jest naprawdę ciężko.

– A minusy?

– Cały rytm życia miasta jest dostosowany do przyjezdnych. Trochę to smutne, bo jesteśmy od nich zależni. No i nadal nie widzę tej koncepcji dwumiasta w relacjach międzyludzkich. Gdzieś utknęła na etapie piaru. Młodsze pokolenia się dogadują, ale mimo wszystko żyjemy w dwóch różnych kulturach, w odmiennych zwyczajach, nawet religiach. Łatwiej jest dostrzec w tym możliwości dla siebie niż potrzebę nawiązania relacji.

TRZY CZWARTE młodych Polek i Polaków jest zadowolonych z bycia częścią Unii. Jednocześnie 64 proc. uważa, że wymaga ona reform, a 15 proc. jest za opuszczeniem UE przez Polskę. Z tej perspektywy nasza integracja europejska przypomina most nad Olzą w Cieszynie. Albo most nad Odrą w Słubicach. Te mosty są krótsze niż w 2004 r. Ale nadal stanowią barierę. ©

MAREK PRAWDA, DYREKTOR PRZEDSTAWICIELSTWA KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE: Tabuny lobbystów zaczęły tłumaczyć Brukseli, że plastik jest konieczny do zwalczania pandemii. Ale Unia wie, że starego świata nie warto odbudowywać z jego dysfunkcjami.

To będzie rewolucja

MARCIN ŻYŁA: Gdzie była Unia w czasie pandemii?
MAREK PRAWDA: Tam, gdzie powinna.

Czyli gdzie?
Przestrzegała, informowała, koordynowała. Już 9 stycznia, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o pandemii, powiadomiła o zagrożeniu państwa członkowskie. 31 stycznia zapytała je o badania nad nowym koronawirusem i przeznaczyła na nie pierwsze miliony euro. 4 lutego, podczas spotkania komitetu ds. bezpieczeństwa zdrowia, zapytała rządy, czy są przygotowane na epidemię i jak można im pomóc.

I co na to rządy?
Mówiąc dyplomatycznie: były mało rozmowne. Mało kto zgłaszał jakiekolwiek zapotrzebowanie.

Jak Pan myśli, dlaczego?
Łudzono się jeszcze, że epidemię można ograniczyć lokalnie. Ale kiedy sytuacja w północnych Włoszech wymknęła się spod kontroli, zaczęły się wzajemne pretensje. Bruksela krytykowała państwa członkowskie, że reagują w nieskoordynowany sposób. Państwa Brukselę – że nie robi nic. Zaczął się smutny spektakl, wyścig narodowych egoizmów, kto załatwi dla siebie jak najwięcej maseczek i respiratorów.

Kibicowałem władzom, żeby zdążyły doposażyć ochronę zdrowia. To chyba nie egoizm.
Mam na myśli brak odruchu solidarności ponad granicami. Kiedy ostatecznie Włosi poprosili kraje Unii o pomoc, pierwszą odpowiedzią, przez kilka dni, było milczenie. Maseczki przysłały Chiny. Wkrótce europejska pomoc przewyższyła chińską, ale mało kto to zobaczył, bo trwała już kampania piarowa. Analitycy z Włoch opowiadali mi, że 58 proc. wpisów w mediach społecznościowych generowały trolle i boty. Ta akcja miała pokazać, jak bardzo społeczeństwo włoskie jest wdzięczne Chinom i jak bardzo złe na Unię.

Inny przykład tego „egoizmu": samodzielne zamykanie granic doprowadziło do chaosu. Dopiero interwencja przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen sprawiła, że odblokowano przewóz lekarstw.

MATERIAŁY PRASOWE KOMISJI EUROPEJSKIEJ

MAREK PRAWDA jest dyrektorem Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. W latach 2012-16 pełnił funkcję stałego przedstawiciela RP przy Unii Europejskiej. Wcześniej był ambasadorem Polski w Szwecji i Niemczech.

Sugeruje Pan, że nieobecność Unii podczas pandemii to tylko złudzenie optyczne?
Zawsze, gdy wydarza się katastrofa, państwa członkowskie są bliżej. Mają narzędzia, żeby zareagować. Potem jest czas dla Wspólnoty. Jak podczas pożaru – najpierw gaszą go domownicy, potem organizują się sąsiedzi. Na koniec wszyscy zastanawiają się, co zrobić, aby do kolejnego pożaru nie doszło.

Unia Europejska to państwa członkowskie oraz instytucje. Najważniejsze słowo to „oraz". Nie można przeciwstawiać sobie tych dwóch elementów. Opowiadając o efektywnym państwie i niemrawej Wspólnocie brniemy w nieporozumienie. Tę opowieść, to rzekome pęknięcie, wykorzystywano w ostatnich tygodniach dla celów politycznych.

Tyle że tak jest zawsze, nie tylko w Polsce. Pandemia to nie wyjątek.
Siłą Unii jest współpraca instytucji – Rady, Parlamentu i Komisji. Model negocjowania bywa żmudny i z pozoru nieefektowny, ale nic lepszego nie wymyśliliśmy, żeby mieć zaufanie do podejmowanych decyzji. Aby być widoczna, Unia zawsze będzie wystawiała na pierwszą linię liderów państw członkowskich. Od pilnowania integracji nie są tylko Tusk czy von der Leyen. Ale tu czasem zaczynają się problemy.

Bo Unia świeci światłem odbitym?
Powiedziałbym inaczej: programowo nie może się puszyć. Czesław Miłosz, po tym, gdy napatrzył się na nacjonalizmy w Wilnie, za swoją misję życiową uznał „produkowanie tkanki łącznej", spajającej różne grupy etniczne. Liderzy Unii powinni robić to samo: spajać, nie dopuszczać do konfliktów.

Unia nie musi się chwalić, jaka to jest silna, ważniejsze jest natomiast – posłużę się metaforą Marcina Napiórkowskiego – żeby chodziła na siłownię. Nie wierzę w piar. Wspólnota ma przemawiać przez swoją skuteczność. Jeśli jej nie ma – proszę bardzo, można ją krytykować. Jednak powinna to być krytyka za zaniechania w dziedzinach, w których może coś zrobić. A nie za to, czego państwa członkowskie i tak jej zabraniają.

A nie kusi Państwa, żeby polityków krajowych obejść, skoncentrować się na bezpośrednim dotarciu do Europejczyków?

W pierwszych dekadach integracji państwa bały się, że Unia narzuci jakąś doktrynę, będzie tworzyć tożsamość europejską, która z czasem zmarginalizuje tożsamości narodowe. Myślę, że stąd wziął się w Brukseli lęk przed ostentacyjnym demonstrowaniem unijnych sukcesów.

Tylko że w końcu obrócił się on przeciw Unii.

Teraz możemy mieć do siebie pretensje. Stało się tak, jak pisał historyk Timothy Snyder: opowiadaliśmy o przyszłości, która jest lepszą wersją teraźniejszości, przyjdzie na pewno i właściwie nie wymaga reklamy. A kiedy zaczęły się problemy, okazaliśmy się słabo odporni na europejski antymit. O Europie po pandemii chciałbym rozmawiać jak o okazji na odwrócenie tej tendencji.

Moment jest trudny. Po otwarciu granic czy zniesieniu opłat roamingowych skończył się czas namacalnych, szybkich efektów integracji. Opowieść o Unii się wypaliła.

Zgadzam się. Projekt europejski wymyśliło pokolenie, które miało pamięć o złej przeszłości. Kiedy razem z delegacjami polskich premierów jeździłem do Helmuta Kohla, kanclerz zabierał głównego gościa do swojego pokoju. Mówił: „My tu mamy ważne sprawy do omówienia, a wy załatwcie papierologię i inne sprawy". Oni tam zawsze rozmawiali o tym samym: że Kohl w czasie wojny stracił brata i dlatego integracja jest dla niego najważniejsza. Wszystko inne jest drugorzędne.

Jeśli Wspólnoty Europejskie wymyśliło tamto pokolenie, to teraz odnowić może je pokolenie skonfrontowane z wielkim wyzwaniem. Europę stwarzały katastrofy i rozwijały kryzysy. Pandemia – z jej nieobliczalnością i skutkami w postaci kryzysu gospodarczego – to szansa na zbudowanie opowieści o solidarnym działaniu wobec przeciwności losu.

Może to jest nawet punkt zwrotny. Teraz będziemy mieli coś do zaproponowania tym wszystkim piewcom antymitu europejskiego, którzy przywołują analogie historyczne jako instrukcje działania dzisiaj. Albo którzy mówią o Polsce opuszczonej i zapomnianej przez wszystkich.

To brzmi strasznie: potrzeba kryzysu, żeby przekonać do dalszej integracji.

Mówiąc ściślej, chodzi o nową, współczesną opowieść o Unii. Taką, która zawierałaby i emocje, i prawdę o naszym świecie, i żeby w dodatku nie była tkliwą utopią.

Wierzy Pan w to, że zjednoczymy się też w trosce o klimat?

Mam nadzieję. Pandemia w tym nie przeszkodzi. Trwają prace nad nowym budżetem Unii na lata 2021-27. Będzie on uzupełniony o dodatkowy budżet, który nazywamy Instrumentem Odbudowy. Kiedy nad nim dyskutowano, padało wciąż pytanie, czy wobec precedensowej sytuacji z epidemią COVID-19 mamy komfort, aby zajmować się ekologią. Czy nie należy włożyć wszystkich sił w zażegnanie kryzysu gospodarczego, żeby potem mieć głowę do Europejskiego Zielonego Ładu.

Tabuny lobbystów zaczęły tłumaczyć Brukseli, że plastik jest konieczny do zwalczania pandemii. Jednak w Komisji Europejskiej przeważył pogląd, że nie warto odbudowywać starego świata z jego dysfunkcjami. W związku z tym jedynym wyjściem było stworzenie drugiego, dodatkowego budżetu. Jest on także próbą wdrożenia nowego sposobu myślenia. To będzie rewolucja w patrzeniu na nowe priorytety – głównie ekologiczne.

Unia powstała z kryzysu, ze strachu przed wojną i powrotem do niej. Teraz się znów odrodzi?

Powstała z kryzysu i stopniowo uzupełniała swoją skrzynkę narzędziową po kolejnych kłopotach. Wiemy, że to, co się dzieje teraz, jest kryzysem transformacyjnym – jest on bardzo głęboki i przychodzi w chwili, gdy Unia straciła pewność kierunku, w jakim powinna zmierzać.

Mówił Pan o europejskiej solidarności wobec przeciwności losu. Jakie to konkretnie pomysły?

Wymieniłbym dwa. Do tej pory na budżet Unii składały się państwa członkowskie. Wynosił on nieco więcej niż bilion euro. Przez 7 lat pieniądze wydawano albo centralnie, albo w formie konkretnych projektów dla poszczególnych regionów. Teraz zdecydowano się zrobić coś nowego – wyemitować obligacje pod gwarancje z tego budżetu. Innymi słowy, Unia pożyczy pieniądze z rynku, aby je rozdawać państwom, szczególnie tym najbardziej dotkniętym przez pandemię. Aczkolwiek nie będą to tylko podarunki, lecz instrumenty, które mają przekształcać gospodarki w bardziej przyjazne klimatowi i innowacyjne.

Unia będzie mieć własne pieniądze?

Uznano, że powinna je mieć w szczególnych sytuacjach. Drugim ich źródłem mają być nowe podatki – od transakcji firm, od emisji gazów cieplarnianych, od plastiku.

Aby poprawić swój wizerunek, Unia wymyśla nowe podatki?

Jeśli cieszymy się z 750 mld euro unijnych grantów i pożyczek, które niebawem zostaną rozdzielone, musimy się zgodzić, że kiedyś trzeba będzie je zwrócić. Można to zrobić albo zwiększając składki, albo np. tworząc nowe źródła dochodów.

Nowe podatki to najmniej dotkliwy sposób zapłaty. Jest zresztą możliwe, że państwa członkowskie nie będą musiały tych kwot spłacać, o ile zgodzą się na zwiększenie środków własnych w budżecie Unii, czyli na opodatkowanie wielkich firm działających na wspólnym rynku, na opłaty od emisji dwutlenku węgla powstałych przy produkcji towarów importowanych do Unii, na podatki od recyklingu plastiku czy wreszcie od wielkich firm na rynku cyfrowym.

Chcę jeszcze raz podkreślić: nowy rodzaj obligacji i nowe zasoby własne to zmiany rewolucyjne. A może nawet jest to początek nowej współpracy w Unii.

I modelu federacyjnego?

Niekoniecznie. Nie ma federacyjnego procesu politycznego przy budżecie, nadal będzie on zatwierdzany jednogłośnie. Ale wzrośnie rola Brukseli w decydowaniu, na co i jak te pieniądze będą wydawane.

To znaczy?

Nie będzie wolno tymi pieniędzmi spłacać własnych długów, ratować banków czy niwelować skutków swoich zaniechań. W ciągu najbliższych lat polityka ma realizować cele związane m.in. z Europejskim Zielonym Ładem czy cyfryzacją.

A nie wrócą animozje na linii Północ–Południe, jak przy okazji ↦

sporów niemiecko-greckich sprzed kilku lat? Wtedy, gdy ratowano Grecję przed bankructwem i pilnowano ściśle jej dyscypliny budżetowej, na Niemców zaczęto wylewać żale. Państwa południa Europy poczuły się traktowane z góry.

Pedagogika zaciskania pasa okazała się nie całkiem skuteczna. Jej uniknięcie jest najważniejszym wyzwaniem przy planowaniu nowego budżetu. Włochy i Hiszpania powtarzają, że epidemia jest przez nie niezawiniona.

Do najważniejszej zmiany doszło w Niemczech, gdzie zawsze obawiano się skutków pożyczania pieniędzy i inflacji. Przyzwolenie Berlina na uwspólnotowienie długów – przynajmniej do pewnego stopnia – to przekroczenie Rubikonu. Zmianę tę tłumaczę wysokim poparciem kanclerz Angeli Merkel w Niemczech, dzięki któremu ma ona teraz dodatkowe pole manewru. Poza tym chaotyczne zamykanie granic na początku pandemii uświadomiło Niemcom, że wspólny rynek – z którego korzystają w największym stopniu – może się łatwo rozpaść. Jego utrzymanie wymaga więc nadzwyczajnych starań.

Z kolei Francja czuje się w Unii przedstawicielką interesów Południa. Dlatego właśnie Merkel z Emmanuelem Macronem zaproponowali najpierw kwotę 500 mld euro, która potem urosła w propozycji Komisji Europejskiej. Ustępstwo Niemców to gest wobec Hiszpanii, Włoch i Grecji, które należą do największych beneficjentów tzw. Instrumentu Odbudowy. Liczę na to, że odwróci to negatywne tendencje we Włoszech, gdzie ostatnio dramatycznie spadło poparcie dla Unii.

A co będzie miała z tego Polska?

Decydując, kto ma ile dostać, uwzględniono względną stratę gospodarki z powodu pandemii. W 2020 r. polski PKB miał się zwiększyć o 4 proc., obecne prognozy mówią o około czteroprocentowym spadku, względna strata wyniesie więc 8 proc. Podobnie będzie na przykład w Niemczech, ale ponieważ dochód Polski jest wciąż poniżej unijnej średniej, otrzyma więcej pieniędzy niż Niemcy. Oczywiście, fundusze te będą powiązane ze spełnieniem kilku kryteriów, w tym kryterium praworządności.

Bruksela nie przestanie się zajmować sytuacją w Polsce?

> Słowa najważniejszych polityków o tym, że Polska jest osamotniona i pozbawiona sojuszników, **to nic innego jak zarządzanie strachem.**

Komisja Europejska pracuje teraz nad nowym mechanizmem uzależniającym dostęp do unijnych funduszy od przestrzegania zasady praworządności. We wrześniu spodziewamy się publikacji raportu o sytuacji we wszystkich państwach członkowskich, który w czasie negocjacji budżetowych może mieć znaczenie dla przyznawania funduszy. Spodziewałbym się, że mechanizmy ochrony praworządności mogą być raczej umocnione. Nalegają na to przede wszystkim tzw. państwa oszczędne.

Czyli?

Oprócz Niemiec – które biorąc pod uwagę wspomnianą zmianę podejścia nieco się z tej grupy wyłamały – są to Niderlandy, Austria, Dania i Szwecja. W brukselskim slangu mówi się też o tych krajach: „małe bogate". Również Finlandia, jako ważny płatnik netto, jest czasem zaliczana do tej grupy. W tym wszystkim nie ma nic nadzwyczajnego ani nic szczególnie złego – zawsze były grupy, które reprezentowały swoje interesy, i zawsze najbardziej widoczne było to podczas omawiania budżetu.

Co się stanie po odejściu kanclerz Merkel w 2021 r.?

Nie będzie rewolucji. Zmiana okołobudżetowej filozofii Niemiec może być politycznym testamentem Merkel. Jej reputacja w Unii pomoże doprowadzić do pozytywnego finału niemiecką prezydencję, która zaczyna się w lipcu. Ale zmiany rządów w powojennych Niemczech nigdy nie powodowały rewolucji. Kolejny gabinet będzie kontynuował w Europie jej politykę. Zwłaszcza że przebudzenie populistów okazało się u naszych zachodnich sąsiadów tylko chwilowe i nie doprowadziło do trzęsienia ziemi.

Dotąd rozmawialiśmy o państwach członkowskich, jednak dużo zmienia się także w instytucjach unijnych. Na przykład umacnia się pozycja Parlamentu Europejskiego.

Każda z unijnych instytucji walczy o swoje kompetencje. Przewodnicząca Komisji Europejskiej zapowiedziała wzmocnienie kompetencji Parlamentu, zwiększenie jego wpływu na podejmowanie decyzji.

Co ciekawe, zmienia się też układ sił w samym Parlamencie. Dotąd rządziła tam nieformalna koalicja chadeków i socjaldemokratów. Dominowali od lat i żeby cokolwiek przeforsować, trzeba było przekonać jednych bądź drugich. Ta dominacja prowadziła do zarzutów, że innym partiom trudno było się przedrzeć. Myślę, że coś w tym było – świat się zmieniał, a opowiadali go wciąż wyraziciele tych samych interesów. Tamten układ napędzał też populizm, ponieważ łatwo było powiedzieć, że w Parlamencie rządzi taki zamknięty klub.

Teraz jest inaczej?

W obecnym Parlamencie te dwie grupy już nie wystarczą, żeby mieć większość. Do koalicji dokooptowuje się więc liberałów, także zielonych, czasem współpracuje się też z lewicą – trzeba włożyć więcej wysiłku w dyskusję, rozmawiać z politykami reprezentującymi odmienne interesy. Trudniej dochodzi się do porozumienia, ale gdy już jest, łatwiej go bronić. Teraz zdanie Parlamentu bardziej się liczy, bo nie jest obarczone tamtą wadą z przeszłości.

Traktat z Lizbony wzmocnił znaczenie Rady Europejskiej – czyli gremium szefów państw i rządów – i relatywnie osłabił ministrów spraw zagranicznych. Chodziło o to, żeby jak najwięcej trudnych decyzji podejmować na najwyższym szczeblu, przez polityków, którzy mają możliwości oraz narzędzia do ich szybkiej realizacji. Widać też tendencję do zwiększania liczby decyzji podejmowanych większością głosów, żeby UE była bardziej sprawna na scenie międzynarodowej. To też wniosek z pandemii: skończył się urlop od geopolityki.

Unia może liczyć głównie na siebie?

W wyścigu o znaczenie na świecie uczestniczą m.in. Chiny, Stany Zjednoczone, Rosja, a do pewnego stopnia również Turcja. Unia chce w większym

stopniu się uniezależnić od partnerów, którzy realizują cele często niezgodne z jej celami.

Unia powstała po to, aby nikomu w Europie nie opłacało się prowadzić konfliktów, nie mówiąc już o wojnie. Dziś pokój na naszym kontynencie zależy w dużym stopniu od sytuacji poza Unią. To stąd wzięły się ambicje dotyczące np. funduszu obronności i zalążków europejskiej armii – tworzenia mechanizmów, które pozwolą nam szybciej i sprawniej reagować na to, co się dzieje na świecie.

W Pana słowach wciąż słyszę optymizm.

Bo ja naprawdę wierzę, że takie wyzwania jak te współczesne są ważnym testem, i że to one przekonują nas o sensie bycia razem.

I podczas drugiej fali epidemii skuteczność Unii będzie większa?

Przećwiczyliśmy program powrotów do Europy – ponad 60 tysięcy obywateli wróciło do domów w ramach ewakuacji w trzech czwartych finansowanych przez Unię. Po trudnych chwilach w pierwszych tygodniach stworzyliśmy nowe mechanizmy pomocy i solidarności. Państwa członkowskie przekazywały sobie sprzęt, który był im potrzebny. Polskie testy na obecność koronawirusa były badane w Dreźnie, bo w kraju nie mieliśmy odpowiedniej infrastruktury. Setki milionów euro przeznaczyliśmy na prace nad szczepionką – to również dorobek Unii.

Wszystkie te instrumenty mogą się przydać w nowej sytuacji. Ważne, żeby temu towarzyszyła konstruktywna opowieść, ponieważ w niektórych krajach próbowano wykorzystywać to nieszczęście do osłabiania reputacji Wspólnoty.

Myśli Pan o Polsce?

Słowa najważniejszych polityków o tym, że Polska jest osamotniona i pozbawiona sojuszników, to nic innego jak zarządzanie strachem. Politycy, którzy ciągle powracają do przeszłości, przywołują nieaktualne już analogie historyczne, czynią szkodę – wszczepianie obywatelom niewiary w unijnych sojuszników i braku zaufania do sąsiadów jest niszczeniem polskiego kapitału zaufania we wspólnocie międzynarodowej. I kiedyś może się obrócić przeciwko nam.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

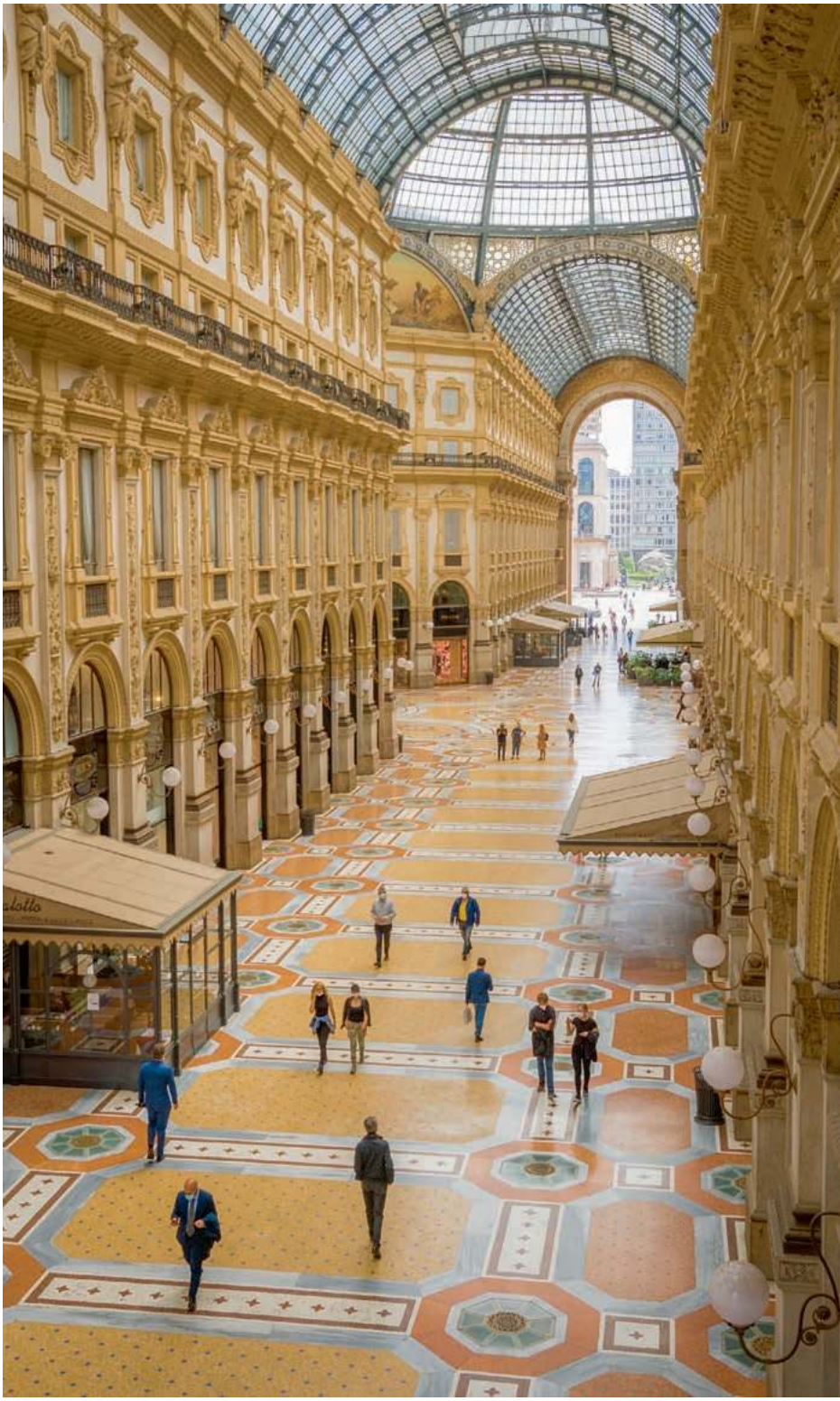

IPA / BACKGRID / FORUM

RESTART DO LEPSZEGO. Na razie się udało: choć pandemia trwa, a jesienią spodziewamy się ponownego wzrostu zachorowań, kilkumiesięczna kwarantanna ocaliła życie ponad 3 mln Europejczyków – to wnioski naukowców z londyńskiego Imperial College. Lockdown uratował więcej ludzi niż jakiekolwiek podobne działanie w historii ochrony zdrowia publicznego. Jego koszta dla gospodarki były ogromne. Gdy jednak odłożymy na chwilę czarne prognozy, zobaczymy, że nie było, i być może już nie będzie, lepszej okazji do „zrestartowania" Europy. Na zdjęciu: Vittorio Emanuele II w Mediolanie, najstarszy pasaż handlowy we Włoszech, 19 maja 2020 r.

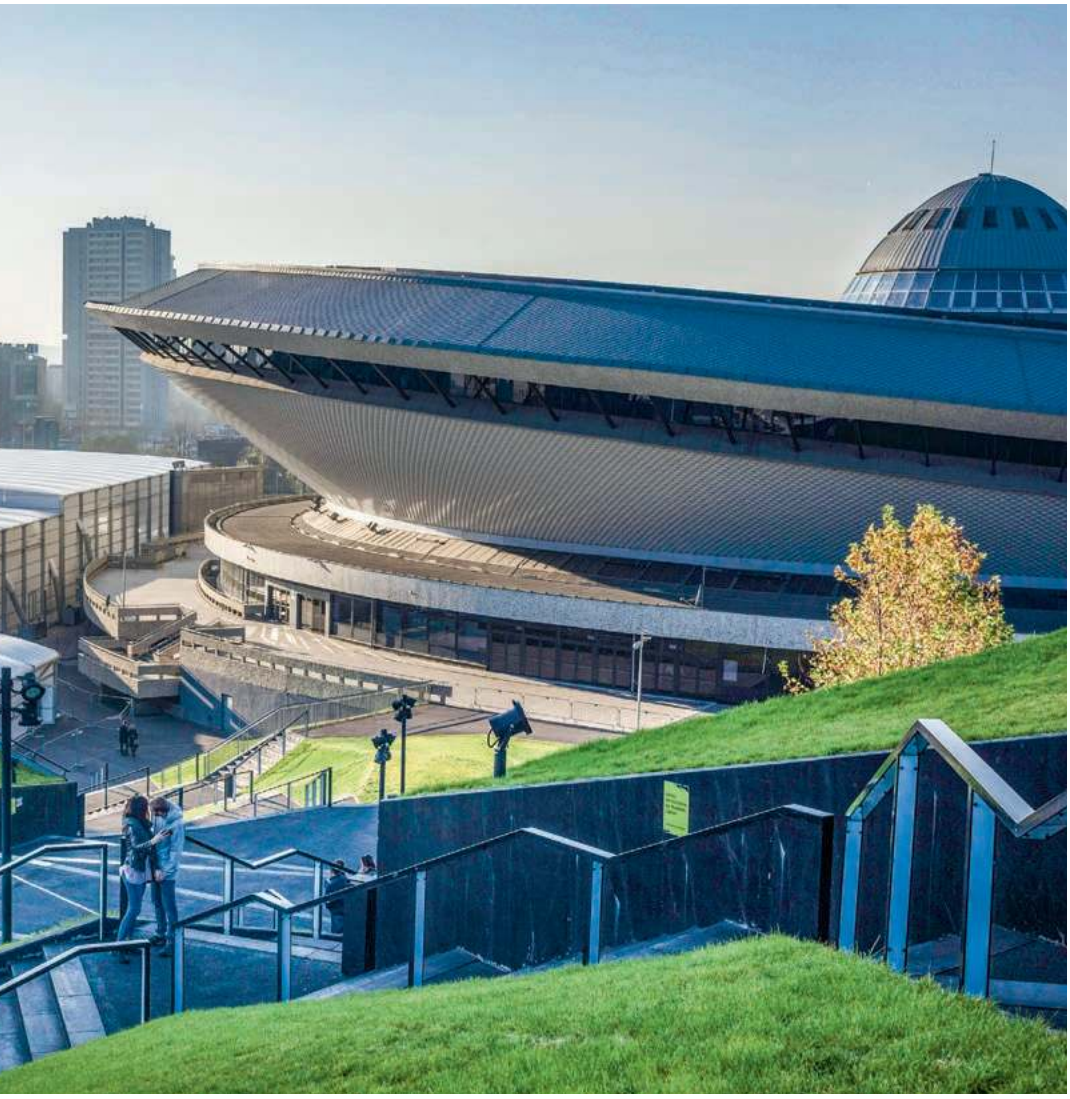

MACIEJ JARZĘBIŃSKI / FORUM

BARDZIEJ ODPORNA, ZIELONA I CYFROWA – taka ma być Unia przyszłości. Jej wizję zaprezentowała w styczniu przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Do 2050 r. Europa ma osiągnąć neutralność klimatyczną, powinno nastąpić oddzielenie wzrostu gospodarczego od zużywania zasobów, a żaden jej region nie pozostanie w tyle. Według Brukseli, pandemia nie przeszkodzi w realizacji tych zamierzeń, a bezprecedensowa propozycja emisji wspólnego długu usprawni tylko zarządzanie pieniędzmi przeznaczonymi na Europejski Zielony Ład. Tymczasem „zielenią się" miasta na całym kontynencie – ruchy obywatelskie wymuszają coraz szybsze proekologiczne zmiany. Na zdjęciu: przed szczytem klimatycznym w Katowicach, listopad 2018 r.

MAREK RABIJ

Wywołany pandemią COVID-19 kryzys gospodarczy może być ostatnią szansą Unii na powrót do elitarnego grona podmiotów globalnej gospodarki.

Miękkie podbrzusze Europy

Armia maszeruje na brzuchu", mawiał Arthur Wellesley, książę Wellington i jeden z architektów klęski, jaką w 1815 r. koalicja antyfrancuska zadała wojskom Napoleona pod Waterloo. Ojczyzna księcia opuściła wprawdzie Unię Europejską tuż przed uderzeniem koronawirusa w kraje Starego Kontynentu, ale ta maksyma doskonale oddaje sytuację, w jakiej znaleźliśmy się podczas pandemii COVID-19. Walcząc z koronawirusem, większość krajów Unii zastosowała właśnie wariację taktyki spalonej ziemi i nie bacząc na koszty zamroziła swoje gospodarki, by powstrzymać rozwój zarazy.

Kłopot w tym, że po wygranej gospodarcze i społeczne konsekwencje tej taktyki uderzą z całą siłą właśnie w zwycięzców. Biorąc pod uwagę specyfikę unijnej gospodarki, której motorem napędowym jest sektor usługowy i konsumpcja wewnętrzna, kryzys wywołany pandemią wydaje się najgroźniejszy z wszystkich,

z którymi Wspólnota mierzyła się w swojej historii.

Wcześniejsze recesje miały charakter popytowy. Mówiąc prościej: gospodarka zwalniała, bo konsumenci z jakichś powodów ograniczali wydatki. Tym razem jest na odwrót. Firmy ograniczyły produkcję lub zamroziły działalność, bo nakazały im to rządy walczące z pandemią. Przymusowy postój dopiero teraz zacznie przekształcać się w „klasyczny" kryzys popytowy, gdy niepewni przyszłości klienci zaczną ograniczać konsumpcję. W dodatku na niespotykaną wcześniej skalę.

W pułapce rozwoju

Według firmy doradczej Deloitte, w marcu natężenie dojazdów do pracy zmalało w Europie o 20-60 proc. Największy spadek – o 63 proc. – odnotowano we Włoszech. W Polsce ruch zelżał o 36 proc., podobnie (o 39 proc.) w Niemczech. Europejczycy zgodnie posłuchali hasła „zostańcie w domach", co musiało przełożyć się na obroty nawet tych branż, którym władze nie nakazały powieszenia kłódek na drzwiach. W marcu liczba wyjść klientów do sklepów spożywczych spadła w Polsce o 59 proc. Jeszcze gorzej było w przypadku centrów handlowych, restauracji, kawiarń (wyjść było o 78 proc. mniej). Kina, kluby fitness, salony kosmetyczne i fryzjerskie oraz biura podróży musiały zawiesić działalność. Obostrzenia zaczęto stopniowo znosić dopiero na przełomie kwietnia i maja. Dla europejskiej gospodarki, w której trzy czwarte miejsc pracy funkcjonuje właśnie w sektorze usług, bieżący kryzys jest więc znacznie dotkliwszy niż dla krajów azjatyckich, których gospodarki w większym stopniu zależą od przemysłu i rolnictwa.

Tę swoistą „pułapkę wysokiego rozwoju", w której niespodziewanie znalazła się Unia, świetnie pokazują prognozy tegorocznej recesji opublikowane na początku maja przez Komisję Europejską. Gospodarka unijna skurczy się w tym roku o 7 proc., natomiast strefy euro o 7,7 proc. PKB Polski zmniejszy się o 4,3 proc. i będzie to jeden z najniższych spadków wśród krajów Wspólnoty – paradoksalnie, za sprawą dystansu, który wciąż dzieli polską gospodarkę od zamożniejszych sąsiadów.

Bufor, któremu zawdzięczamy to spłycenie recesji, tworzą właśnie rolnictwo i przemysł, w których nadal pracuje ponad 40 proc. Polaków. Jego działanie najlepiej ilustrują dane Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej o wzroście bezrobocia w kwietniu w porównaniu do marca. W województwach świętokrzyskim, podlaskim i lubelskim, a więc tam, gdzie gospodarka nie zależy od sektora nowoczesnych usług, odnotowano w kwietniu wzrosty bezrobocia w przedziale zaledwie 1,6-1,8 proc. W Małopolsce, regionie z dużym udziałem turystyki i gastronomii, liczba zarejestrowanych bezrobotnych wzrosła tymczasem aż o 6,3 proc. Identyczną zależność widać zresztą we wspomnianych prognozach Komisji dla krajów członkowskich, które największe gospodarcze spustoszenia wróżą południu Europy, zależnemu w dużym stopniu właśnie od turystyki.

W mocno zrośniętym organizmie europejskiej gospodarki każdy problem regionalny ma jednak przełożenie na kondycję całości. Mniejsze przychody z turystyki we Włoszech oznaczają również spadek dochodów dla francuskich producentów dóbr luksusowych, którzy odczują boleśnie nieobecność zamożnych azjatyckich turystów na ulicach włoskich miast. Zapaść produkcji w niemieckiej motoryzacji przyprawia o ból głowy setki właścicieli polskich firm dostarczających części za Odrę. Z kolei zadyszka w polskim budownictwie mieszkaniowym zaboli hiszpańskich producentów armatury łazienkowej i włoskich dostawców mebli kuchennych.

Wspólny problem

Na ożywienie europejskiej goospodarki kraje Unii postanowiły dotychczas przeznaczyć łącznie 3,9 biliona euro. To blisko 23 proc. wartości PKB całej Wspólnoty jeszcze przed brexitem i dokładnie tyle, ile w 2018 r. wypracowała jej największa gospodarka, czyli Niemcy. Kwota robi więc wrażenie, ale w głównej mierze składają się na nią (ponad trzy biliony euro) fundusze i gwarancje bankowe poszczególnych krajów członkowskich. To równocześnie pokazuje największą siłę i główną słabość Unii – klubu zamożnych i nowoczesnych państw, ale niezainteresowanych, przynajmniej dotychczas, głębszym zacieśnieniem gospodarczej i politycznej współpracy. Pod tym względem stare powiedzenie Henry'ego Kissingera, który zastanawiał się, do kogo ma dzwonić, gdy chce rozmawiać z Europą, nie straciło wiele na aktualności.

Jednak tym razem Unia zdecydowała się na bezprecedensowe zacieśnienie współpracy. Stworzyła Instrument Odbudowy, który ma zostać dołączony do znowelizowanego budżetu UE. To aż 750 mld euro, z czego aż pół biliona miałyby stanowić bezzwrotne dotacje. Pieniądze na ten cel Komisja Europejska chce pożyczyć pod gwarancje krajów członkowskich, zaciągając – oczywiście jeśli projekt zyska poparcie poszczególnych stolic – pierwszy wspólny dług w swoich dziejach.

Głównymi beneficjentami Instrumentu zostałyby Włochy (82 mld euro), Hiszpania (77 mld euro), Francja (39 mld euro) i Polska (38 mld euro) – bo punktem odniesienia dla unijnych szacunków recesji są prognozy sprzed pandemii, które przewidywały dla naszego kraju wzrost PKB rzędu aż 3,5-3,7 proc. W większości państw Unii szacunki wzrostów były znacznie niższe.

Nowa taktyka

„Nadszedł moment Europy. To, co zaczęło się od maleńkiego wirusa, stało się tak ogromnym kryzysem gospodarczym, że żaden kraj Unii nie może reagować na to wyzwanie w pojedynkę" – mówiła przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen w przemówieniu do europosłów.

Istotnie, ryzyko dalszej dezintegracji Wspólnoty pogrążonej w głębokim kryzysie jest dziś na tyle duże (zwłaszcza w odniesieniu do południa Europy), że nawet Holandia, Austria, Szwecja i Dania, tradycyjnie przeciwne zwiększaniu wspólnotowych wydatków, tym razem być może nie zablokują inicjatywy, z którą wyszły Paryż i Berlin.

Nad projektem widnieje jednak kilka znaków zapytania. Zwolennicy zaciskania pasa w Unii nie chcą na razie słyszeć o umorzeniach unijnych dotacji z Instrumentu Odbudowy, a jedynie o pożyczkach. Nie wiadomo też, czy pomysł Brukseli, by spłatę wspólnych zobowiązań niejako wpleść w mechanizmy wspólnotowej polityki klimatycznej, zyska poparcie ze strony krajów, które do tej pory dały się poznać jako krytycy „zielonego ładu". Komisja Europejska chciałaby bowiem, żeby obligacje wyemitowane na potrzeby Instrumentu Odbudowy miały tzw. termin zapadalności dopiero po 2027 r. i były spłacane do 2058 r. z wpływów ze sprzedaży zezwoleń na emisję dwutlenku ↦

↦ węgla, „opłaty węglowej" za emisje nakładanej na towary importowane spoza Unii, podatków od działalności międzynarodowych korporacji na terenie całej Unii i wreszcie z podatku cyfrowego – czyli instrumentu, który uderzyłby po kieszeni głównie internetowe giganty z Doliny Krzemowej.

Zielono nam

Pomysł na papierze wygląda interesująco. Walcząc z kryzysem Unia nie musiałaby – czego obawiają się teraz ekolodzy – schodzić z proekologicznej ścieżki, której sens wyznaczają wyniki badań klimatologów. Spłata „koronaobligacji" byłaby zatem również inwestycją w energetyczną innowacyjność, która za kilka dekad może zapewnić Unii przewagę konkurencyjną i miejsce wśród rozgrywających globalnej gospodarki. Gdyby kraje członkowskie zatwierdziły te plany w kształcie zaproponowanym przez Brukselę, wpływy powinny także z naddatkiem pokryć koszt wykupu obligacji z Instrumentu Odbudowy.

Podczas negocjacji w pakiecie z pewnością pojawią się jednak zmiany. Irlandia będzie pewnie protestować przeciwko dokręcaniu fiskalnej śruby globalnym korporacjom, które mogą liczyć w Dublinie na preferencyjne, jeśli nie dumpingowe stawki podatkowe. Sprzeciw wobec propozycji Komisji zapowiedziała także Warszawa, która z kolei nie zgadza się na włączenie certyfikatów emisji dwutlenku węgla do źródeł refinansowania, bo to automatycznie podniosłoby także wielkość polskiej transzy w kosztach obsługi wspólnego zadłużenia.

Wspólnota musi uzgodnić stanowisko do 2024 r. Jeśli do tego nie dojdzie, trzeba będzie znaleźć alternatywne, bardziej drastyczne źródła finansowania, czyli np. cięcie wydatków w budżecie po 2027 r. lub nawet podwyższenie składek członkowskich, co może obudzić w wielu krajach obawy o bycie płatnikiem netto unijnego mechanizmu postpandemicznej solidarności.

Biorąc pod uwagę wartość propozycji dla Polski, ten ostatni scenariusz wydaje się jednak w odniesieniu do naszego kraju praktycznie nierealny. Tym bardziej że Komisja Europejska proponuje jednocześnie zwiększenie aż o 32,5 mld euro Funduszu Sprawiedliwej Transformacji, którego głównym beneficjentem byłaby zapewne nadal Polska (w poprzedniej wersji zarezerwowano dla nas 2 mld z 7,5 mld euro). Zwiększony Fundusz miałby pokryć część kosztów społecznych powstałych m.in. na Górnym Śląsku i w Zagłębiu w wyniku realizacji unijnych celów klimatycznych, które zakładają, że do 2050 r. gospodarka Unii stanie się zeroemisyjna. W przypadku Polski wiąże się to z zamknięciem kopalń węgla kamiennego.

> „Koronaobligacje" sprawią, że walcząc z kryzysem gospodarki Unia nie będzie musiała zejść **z proekologicznej ścieżki.**

Wymuszona integracja

Nie mniej istotne są wreszcie polityczne konsekwencje tego kryzysu, na czele z przyspieszeniem integracji. Jej zimna, biurokratyczna natura jest niejako grzechem założycielskim Unii. Idea wspólnej Europy zrodziła się wprawdzie w głowach garstki wizjonerów przejętych konsekwencjami, jakie przyniosły Staremu Kontynentowi dwie wojny światowe, ale potem przeniknęła do bieżącej politycznej agendy, której rytm wyznaczały doraźne problemy. W nich zaś krajom członkowskim niełatwo wyjść poza partykularne interesy oraz aktualne potrzeby. Nawet wspólny w teorii rynek w praktyce nigdy nie zdołał uwolnić się w pełni od protekcjonizmu.

Badania opinii publicznej pokazują, że odsetek Europejczyków, dla których poziom osiągniętej dotychczas integracji wydaje się zadowalający, dorównuje mniej więcej odsetkowi niezadowolonych – i to zarówno tych, którzy ideę zjednoczonej Europy odrzucają kategorycznie, jak i tych, którym marzy się jeszcze głębsza integracja. A przy tak niewyraźnej polaryzacji trudno z kolei oczekiwać, by politycy w poszczególnych krajach członkowskich zdecydowali się na krok do przodu lub ruch w tył. Przypadek Wielkiej Brytanii, która Wspólnotę postanowiła opuścić, pokazuje właśnie, że przy niewielkiej przewadze brexitowców o rozpoczęciu procesu dezintegracji zdecydował w gruncie rzeczy zbieg politycznych okoliczności.

Europa mogłaby jeszcze długo tkwić w tym decyzyjnym marazmie. Rzecz jasna, nie mamy pewności, że kryzys wywołany pandemią będzie na pewno katalizatorem narodzin federacji europejskiej, ale z pewnością niesie on ze sobą taki potencjał. W chwili, gdy Stary Kontynent, pospawany dotychczas głównie traktatami i przepisami, po raz pierwszy staje w obliczu wspólnego, trudnego do zlekceważenia zagrożenia, znikają też pytania o sens głębszej integracji. Widać go teraz gołym okiem.

Czy to przełom?

Specjaliści od marketingu mawiają, że język korzyści przemawia do klientów o wiele bardziej niż język wartości. Tak się składa, że o zjednoczonej Europie mówiliśmy do tej pory właśnie w ten drugi sposób. Kryzys pandemii stworzył Unii wyborną okazję, by poza pięknem tej idei przypomnieć Europejczykom także o korzyściach płynących ze współpracy.

Wspólny dług, który Unia zamierza zaciągnąć na walkę ze skutkami pandemii, w tym znaczeniu faktycznie może się okazać w dziejach Wspólnoty równie przełomowy, jak decyzja sekretarza skarbu USA Alexandra Hamiltona o przejęciu przez budżet federalny obsługi długów stanowych zaciągniętych podczas wojny o niepodległość. Ów „hamiltonowski moment" w dziejach Stanów dość zgodnie uchodzi dziś za punkt zwrotny w historii USA, który powstrzymał procesy dezintegracyjne.

Pandemiczny wstrząs wiosną tego roku zaczął się w krajach członkowskich od przywrócenia kontroli granicznych, ograniczenia swobody podróżowania, zamrożenia wymiany handlowej, a nawet tymczasowej cesji części swobód obywatelskich na rzecz aparatu państwowego – czyli od czegoś, co na fali paniki niektórzy obserwatorzy uznali wręcz za śmierć idei wspólnej Europy. Jeśli ten sam wstrząs zaowocuje teraz przyspieszeniem integracji, trzeba to będzie dopisać do długiej listy szczęśliwych zbiegów europejskich okoliczności.

©℗ MAREK RABIJ

PROF. STANISŁAWA GOLINOWSKA,
BADACZKA SYSTEMÓW ZROWIA PUBLICZNEGO:
Jeśli chcemy, żeby Unia przygotowała się na kolejną pandemię, musimy jej na to po prostu pozwolić.

Czekając na drugą falę

MAREK RABIJ: Można było lepiej się przygotować?

STANISŁAWA GOLINOWSKA: Nie ma mowy o zaskoczeniu. Wiele wskazuje, że Chiny na początku epidemii w Wuhan nie przekazały na czas informacji o skali zagrożenia. Tyle że już wcześniej dostawaliśmy sygnały o znacznym wzroście ryzyka pandemii koronawirusa. Mieliśmy zapowiedź tego, co nas może czekać, w postaci wcześniejszych epidemii SARS i MERS. Oraz ostrzeżenia od ekonomistów, klimatologów i ekologów, że mechanizmy globalizacyjne wystawiają nas na nowe, a przynamniej niespotykane w Europie od dziesięcioleci ryzyka epidemiczne.

A może ryzyko nie wydawało się tak duże, by ograniczone fundusze na zdrowie publiczne ładować w działania przygotowujące do zagrożenia, które nie musi nastąpić?

Obawiam się, że bliższe prawdy będzie prostsze wyjaśnienie: nikt nie słuchał specjalistów. Ale pierwszy etap pandemii pokazał nam coś innego, znacznie groźniejszego: pewne modele opieki zdrowotnej radzą sobie z zagrożeniami epidemicznymi gorzej od innych. W Europie mniej więcej od lat 70. XX w. w ochronie zdrowia kładzie się nacisk na decentralizację, niestety często połączoną z brakiem koordynacji. W teorii chodzi o to, żeby opieka zdrowotna była jak najbliżej pacjenta. W praktyce – np. we Włoszech i Hiszpanii – poszczególne regiony prowadzą politykę zdrowotną w sposób niemal autonomiczny.

Chodzi o narzucenie samorządom ram, w obrębie których będą mogły dostosowywać centralne założenia do lokalnych potrzeb, co jest potrzebne choćby po to, by w razie konieczności sprawnie wprowadzić znów ograniczenia dla dużej populacji. Władze Chin jedną decyzją mogły zamknąć w domach 60 mln ludzi. Żeby to samo przeprowadzić we Włoszech, trzeba było szeregu działań władz lokalnych. A zwłoka może mieć fatalne konsekwencje.

Czy problemem jest tylko decentralizacja?

Również brak koordynacji działań. Francja zbudowała system opieki zdrowotnej scentralizowany, ale zarazem zorientowany na efektywność, zwłaszcza kosztową. Jaki tego skutek? Szpitale i przychodnie są przyzwyczajone do rywalizacji o pieniądze, a nie do współpracy. Przeciwieństwem modelu francuskiego są Niemcy, gdzie landy prowadzą samodzielnie politykę zdrowotną, ale ich przedstawiciele spotykają się i ustalają modele postępowania na wypadek rozmaitych scenariuszy.

W Polsce mamy regionalne fundusze zdrowia nadzorowane centralnie, przez ministerstwo.

Ale proszę też pamiętać, że podobnie jak w innych krajach mamy dwa filary systemu zdrowia publicznego. Obok szpitali i przychodni, czyli części odpowiedzialnej za leczenie, istnieje również filar odpowiedzialny za profilaktykę i promocję zdrowia.

Oba te filary są *de facto* na państwowym garnuszku i oba cierpią na niedofinansowanie, nierzadko konkurując ze sobą o pieniądze. Ten drugi filar, jako na co dzień niewidoczny dla obywateli, od lat cierpi na znacznie głębszy deficyt. Mamy na przykład inspekcję sanitarną, która jest tylko cieniem samej siebie i w obliczu zagrożenia pandemicznego okazuje się praktycznie niewydolna.

Osoby ukarane przez sanepid za złamanie ograniczeń epidemicznych nie podzielą raczej Pani obserwacji.

Ale mnie chodzi o funkcjonowanie tej służby i innych w ich ustawowym wymiarze. Proszę spojrzeć: w trakcie lockdownu nagle spadła w Polsce śmiertelność, bo mieliśmy mniej wypadków samochodowych. Poprawiła się także jakość powietrza w miastach. To pokazuje, że służby, których zadaniem na co dzień jest profilaktyka zdrowotna i które mają fundamentalne znaczenie także dla profilaktyki zagrożeń epidemicznych, właściwie w Polsce nie funkcjonują.

Zmierza Pani do konkluzji, że sytuacje skrajne wymagają bardziej autorytarnych metod zarządzania zdrowiem publicznym? Korea Południowa poradziła sobie z koronawirusem sprawnie, ale nie jest wzorem demokratycznego państwa prawa.

Ani autorytaryzm nie jest sam w sobie gwarancją skuteczności, ani ustrój demokratyczny nie jest synonimem braku efektywności. W demokratycznym państwie o wysokiej kulturze prawnej, gdzie obywatele rozumieją, że przepisy tworzy się dla ich dobra, walka z epidemią może być nawet łatwiejsza.

Podam przykład. Wiadomo, że COVID-19 jest szczególnie niebezpieczny ↦

NORMA / REPORTER

PROF. STANISŁAWA GOLINOWSKA jest ekonomistką, badaczką polityki społecznej i systemów opieki zdrowotnej. W latach 1991-97 szefowała Instytutowi Pracy i Spraw Socjalnych. Od 2000 r. związana jest z Instytutem Zdrowia Publicznego Collegium Medicum UJ.

↦ w miejscach zbiorowego przebywania, takich jak domy spokojnej starości. Przeprowadziliśmy niedawno badanie w takich placówkach w Polsce, z którego wynika, że najtrudniejsza sytuacja epidemiczna panowała w ośrodkach prywatnych, gdzie właściciele po prostu lekceważyli przepisy o liczbie pensjonariuszy albo wręcz zasady higieny, a państwo zaniedbało kontrole.

Czym innym jest rezygnacja z demokracji na rzecz bezpieczeństwa epidemicznego, a czym innym przyznanie państwu uprawnień kontrolnych związanych z realizacją tych jego obowiązków, które wchodzą w zakres polityki prozdrowotnej.

Jak się przygotować na drugą falę pandemii?

Musimy dostosować procedury na szczeblach krajowych. Koledzy z Włoch nie tylko narzekają. Pracują też nad nowymi wspólnymi regulacjami dla medycyny pracy, które pomogą przeciwdziałać powstawaniu nowych ognisk zachorowań po otwarciu gospodarki. I to jest coś, co zostanie już na stałe. Teraz podobny wysiłek muszą podjąć inne państwa.

Nie Bruksela?

W trakcie lockdownu z ust najważniejszych polskich polityków popłynęły zarzuty, że w walce z pandemią Unia zostawiła kraje członkowskie samym sobie. Przypomnijmy więc, że polityka zdrowotna pozostaje wciąż domeną krajów członkowskich, które dotychczas nie chciały, żeby Bruksela się w nią wtrącała. Unia nie ma tu kompetencji, a jeśli dotąd udawało się jej zmienić sytuację w poszczególnych krajach, to jedynie pośrednio, na przykład za pomocą polityki spójności.

Może czas powiedzieć, że to błąd i że nie wykorzystujemy w ten sposób efektu unijnej synergii?

Być może. To już decyzja polityczna. Jeśli jednak chcemy, żeby Unia przygotowała się na kolejną pandemię, musimy jej na to po prostu pozwolić. Narzekanie, że nic nie robi, to populizm. Zrobi tyle, na ile jej wszyscy pozwolimy.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

Bez Warszawy ani rusz

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Jak sprawić, by 27 państw prowadziło zgodną politykę? Czy Bruksela umie się sprzeciwić Francji i Niemcom? I gdzie w tym wszystkim Polska? Oto nasz przewodnik po unijnym labiryncie.

Pierwszą reakcją na pandemię było „mniej Europy", bo wobec zagrożenia dla zdrowia swoich obywateli rządy państw członkowskich błyskawicznie sięgnęły po uprawnienia, których – strzegąc swej tradycyjnie pojmowanej suwerenności – nigdy nie oddały Unii. Zaczęło się więc nieskoordynowane zamykanie granic wewnętrznych strefy Schengen, a nawet sięganie po nadzwyczajne klauzule uchylające reguły wspólnego rynku – po to, by przyblokować eksport wyposażenia medycznego wewnątrz Unii.

Malta waży mniej

Traktaty nie dają unijnym instytucjom wiele do powiedzenia w sprawach zdrowia publicznego, więc Bruksela – przede wszystkim za pomocą perswazji politycznej, a nie słabych w tej dziedzinie narzędzi prawnych – przez parę tygodni żmudnie odzyskiwała rolę koordynatorki m.in. w sprawie pogodzenia wymogów sanitarnych ze stopniowym otwieraniem granic. Jednak skoro poszczególne rządy mają dobrowolność w słuchaniu Brukseli, koronakryzys jeszcze bardziej wzmocnił „międzyrządowy" wymiar Unii.

Unia jest bowiem hybrydą organizacji międzyrządowej i na wpół federacyjnej wspólnoty krajów (oraz ich narodów), czego najsilniejszym wyrazem jest Parlament Europejski. Ten pierwszy aspekt reprezentuje Rada Unii Europejskiej złożona z ministrów zjeżdżających na obrady z państw członkowskich, która wspólnie z Parlamentem ustanawia nowe wspólnotowe przepisy. Ogromnym atutem posłów jest rozumiany w pozytywnym sensie „polityczny spektakl", bo europejska opinia publiczna – jeśli już śledzi legislacyjne spory w Unii – przeważnie skupia się na debatach i głosowaniach w Parlamencie Europejskim, choć nowe przepisy wymagają też (znacznie rzadziej śledzonych) głosowań w Radzie UE.

Jednak pomimo takiej asymetrii co do „publiczności" w praktyce pierwsze skrzypce grają rządy krajów członkowskich – reprezentowane zarówno w Radzie UE, jak i na szczytach Unii, czyli posiedzeniach premierów (ewentualnie prezydentów) w Radzie Europejskiej. Podczas szczytów zasadniczo obowiązuje reguła konsensusu, co w pewnym sensie zrównuje wszystkie kraje (teoretycznie każdy może zawetować wspólne ustalenia), ale już w Radzie UE waga głosu zależy od liczby mieszkańców. Celem Unii jest łagodzenie dysproporcji między krajami, ale nie ich wyzerowanie. Czy gdyby najludniejsze Niemcy miały ważyć tyle co Malta, nie uderzałoby to w zasady rzetelnej reprezentacji?

Bezpaństwowi komisarze

W centrum unijnej Brukseli tkwi – z definicji wspólnotowa, nie międzyrządowa – Komisja Europejska, którą czasem w ogromnym uproszczeniu porównuje się do wspólnotowego „rządu", choć sami komisarze zdobywają się co najwyżej na egzekutywę, by niepotrzebnie nie rozsierdzać unijnych antyfederalistów. Komisja ma reprezentować interesy Unii jako całości, a komisarze – choć proponowani przez rządy swych krajów – nie są reprezentantami poszczególnych państw,

a nawet na początku swej pięcioletniej kadencji uroczyście przyrzekają przed Trybunałem Sprawiedliwości UE, że nie będą przyjmować instrukcji od żadnych rządów.

Jednak federacyjność Komisji nie jest aż tak jednoznaczna. Jednym z dowodów na to są – motywowane nie tylko potrzebami prestiżowymi – zabiegi poszczególnych stolic o jak najlepszą tekę dla kandydata z ich kraju.

Niektórzy komisarze – przynajmniej w oficjalnych wystąpieniach – mówią nie o „swoim kraju", lecz „kraju, który znam najlepiej". Ale ta „szczególna wiedza" służy za wytłumaczenie, dlaczego dany komisarz podczas swej pracy artykułuje także poglądy czy potrzeby ojczystego kraju. To kluczowy element politycznej „osmozy" między wspólnotową Komisją a państwami Unii. Komisarze ciągle balansują między interesami całej UE oraz „wyjątkowym zrozumieniem" dla własnego kraju, na granicy określonej przyzwoitością, tradycją, lękiem przed ostracyzmem w Komisji, a ostatecznie nieskutecznością, bo w razie przesady komisarz może zostać przegłosowany albo nawet będą go sabotować szeregowi urzędnicy, powołując się na etos służby cywilnej.

Oczywiście, Komisja podejmuje decyzje także wbrew mocnemu lobbowaniu Niemiec i Francji (głośnym przykładem jest zablokowanie fuzji Siemensa i Alstoma w sektorze kolejowym), co jednak nie przekreśla ryzyka, że „przenikanie" między Komisją a Paryżem, Berlinem, Rzymem staje się znacznie intensywniejsze od „osmozy" ze słabszymi krajami.

Ile pragmatyzmu, ile federacji

Obecnie przykładem brukselskiej „osmozy" są prace nad Instrumentem Odbudowy, który ma pomóc Europejczykom w wydźwignięciu się z koronakryzysu bez wzrostu nierówności między krajami Południa (najbardziej dotkniętymi przez epidemię) oraz biedniejszymi państwami naszej części Unii a bogatszą Północą.

To do Komisji Europejskiej, która na forum unijnym ma monopol na inicjatywę prawodawczą, należy zadanie przedstawienia projektu wspólnego budżetu reprezentującego interesy całej Unii (teraz jego nadzwyczajną częścią ma się stać Instrument Odbudowy). Wedle traktatów uzyskanie kompromisu co do tego projektu budżetu należy dopiero później, po jego przedłożeniu przez Komisję, do szefa Rady Europejskiej Charlesa Michela (końcowy etap to zgoda Parlamentu Europejskiego). Ale przewodnicząca Komisji Ursula von der Leyen opóźniła projekt o miesiąc, by zyskać czas na dodatkowe poufne „przednegocjacje" z krajami Unii.

> Niektórzy komisarze – przynajmniej w oficjalnych wystąpieniach – mówią nie o „swoim kraju", lecz **„kraju, który znam najlepiej".**

Propozycja Komisji okazała się ambitna, a ponadto ostatnie kilkanaście tygodni to iście federalne działania monetarne Europejskiego Banku Centralnego w strefie euro (poprzez „luzowanie ilościowe"). Pomimo to „przednegocjacje" von der Leyen, które można uznać za przejaw pragmatyzmu (lepiej złożyć projekt, który będzie mieć szansę na akceptację ze strony krajów Unii), wywołały krytykę ze strony unijnych idealistów. Uznali to za kolejny krok oddalający Komisję od roli bardzo niezależnej instytucji stawiającej rządy wobec wyzwań, wręcz prowokującej, mocno popychającej integrację do przodu.

Od kryzysu do kryzysu

Pandemia to już kolejny kryzys ostatniej dekady, który jeszcze mocniej wyeksponował rolę krajów unijnych (i międzyrządowej Rady Europejskiej) kosztem wspólnotowej Komisji. Ta musiała zejść na drugi plan m.in. podczas kryzysu zadłużeniowego w strefie euro, bo plany ratunkowe dla Grecji czy Portugalii wykraczały poza traktatowe kompetencje Unii i czerpały pieniądze spoza wspólnego budżetu. A w najostrzejszej fazie kryzysu migracyjnego (2015-2016) m.in. ówczesny szef Rady Europejskiej Donald Tusk pracował nad przesunięciem głównego ciężaru dyskusji z Komisji i Parlamentu na forum premierów i prezydentów, spychając do defensywy Jeana-Claude'a Junckera z ówczesną propozycją Komisji nowego rozdzielnika uchodźców (ostatecznie włożoną do szuflady). Szczyt Unii z 2016 r. zadeklarował wolę poszukiwania (nieosiągalnego) konsensusu, choć wspólnotowa „zwykła procedura prawodawcza" pozwoliłaby na większościowe przegłosowanie stałego rozdzielnika w Radzie UE i w Parlamencie.

Inicjatywa Macrona i Merkel co do Instrumentu Odbudowy, na której oparła się von der Leyen, to oznaka ożywienia francusko-niemieckiego „motoru" integracji. Przez dekady siłą obu krajów w Radzie UE było szukanie kompromisu w każdej istotnej kwestii, by dopiero potem wspólnie przekonywać pozostałe kraje. Unijne rokowania w sprawie budżetu UE i Instrumentu Odbudowy, które być może uda się zakończyć w lipcu, pokażą, na ile ten podwójny „motor" pozostaje skuteczny w 2020 r. Wyzwaniem dla Merkel i Macrona będzie m.in. opór Holandii i Austrii wobec hojnych unijnych funduszy na odbudowę.

Nie tylko spór

A gdzie w tym wszystkim Polska? Ostatnie lata konfliktów z instytucjami Unii, głównie w kwestii praworządności, pozostają dla Warszawy ogromnym obciążeniem, które osłabia zdolności koalicyjne. Uderza to w skuteczność Polski w ramach nieustannie kręcącej się „maszyny negocjacyjnej". Jednak reszta Unii potrafi i nadal usiłuje oddzielać konflikty od niektórych pozostałych tematów we współpracy z Warszawą.

Pomimo obecnej reputacji Polska – ze względu na ludność – arytmetycznie „waży" sporo w Radzie UE. A skoro od wielkości kraju zależy też liczba jego deputowanych w Parlamencie Europejskim, to też daje pewne narzędzie wpływu, bo posłowie – nawet z tak skonfliktowanych partii jak PO i PiS – czasem głosują w najbardziej kluczowych sprawach (np. co do rynku gazu) nie wedle linii partyjnej, lecz krajowej.

Polska jest też krajem zbyt dużym (i ze zbyt dużymi emisjami dwutlenku węgla), by móc na poważnie planować osiągnięcie neutralności klimatycznej całej Unii w 2050 r. bez lojalnej współpracy ze strony Warszawy. Bez nas w Unii – ani rusz. ©

MICHELE SPATARI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

GNIEW DAJE NADZIEJĘ. „Polityka ma charakter międzynarodowy, ale naprawa musi się dokonywać lokalnie" – pisze w „Drodze do niewolności" Timothy Snyder, przypominając o sieci powiązań Europy z innymi częściami świata, ale też o lokalnym potencjale buntu. Od kryzysu finansowego i migracyjnego po pandemię COVID-19, od zagrożeń związanych z dezinformacją ze strony Chin i Rosji po trudne partnerstwo z obecną administracją USA – Unia Europejska porusza się w skomplikowanym i nieprzewidywalnym labiryncie zmian. Wyjściem i nadzieją ma być nowa europejska solidarność – być może zrodzona z dotychczasowych kryzysów. Na zdjęciu: Francuzki przebrane za Marianny protestują podczas demonstracji ruchu „żółtych kamizelek". Paryż, grudzień 2018 r.

Pytania o sens

LUDWIK LEWIN Z PARYŻA

To idea, a nie terytorium. Służy tylko bogatym. Przetrwa. Co o Unii myślą dziś Francuzi?

Europa? Jean-Dominique Brierre, tłumacz Leonarda Cohena na język francuski, autor książek o muzykach i biografii Milana Kundery, kilka razy powtarza nazwę, jakby próbował odnaleźć znaczenie tego słowa. Po czym rozpoczyna monolog:

„Pamiętasz 1 maja 2004? Ściskaliśmy się i śpiewali, piliśmy francuskie wino i polską wódkę. Przyjęcie Polski do Unii wydawało się wielkim krokiem powrotu do rodziny, początkiem nowego, wspólnego etapu.

A przecież, gdyby się wsłuchać – ale wtedy nie wsłuchiwaliśmy się w dysonanse – to nie śpiewaliśmy jednym głosem. Powiedziałem: »wróciliście do Europy«, a ty odpowiedziałeś: »przecież nigdyśmy z niej nie wychodzili«.

A potem, choć działo się to we Francji, wziąłeś mnie na niemożliwą tu do wyobrażenia ceremonię. Przy grobie Chopina, na cmentarzu Père Lachaise, ambasador Polski mówił coś z wyraźną emfazą, a potem obok płyty usiadła na szybko doniesionym taborecie tęga pani i na wiolonczeli zagrała kilka utworów spoczywającego tu kompozytora. Nie dało się ustawić fortepianu – tłumaczył się ambasador, a ja zrozumiałem, że Polacy lubią rozmowy z duchami.

Dziś trudno mi wczuć się w nastrój sprzed lat. Już wiem, że Polska zawsze była w Europie, ale w oczach wielu naszych polityków, tak samo jak i mieszkańców zachodniej części kontynentu, wciąż do Europy należy niezupełnie, może trochę bardziej niż Gruzja i Armenia, ale niewiele.

Nie jestem zwolennikiem Orbána ani Kaczyńskiego, ale widzę, jak bardzo Francuzi nie rozumieją Europy Środkowej, nie czują jej kultury ani historii i nazywają Wschodem. COVID-19 pokazał zaś, że dla Francuzów dalecy są nie tylko Polacy i Węgrzy. W momencie paniki każdy myślał wyłącznie o sobie.

Myślę, że konstrukcja europejska się nie zawali. Wbrew pozorom »skąpcy«, jak nazywa się Holandię, Danię, Szwecję i Austrię, potrzebują Europy. I dziać się chyba będzie jak w tej partii pokera. Gdy jeden z partnerów zgrał się do nitki, inni, by grać

dalej, chcąc nie chcąc pożyczyli mu pieniędzy. To żadna anielskość, to pragmatyzm.

Czy brexit to cios w Europę? Ten spektakl wydaje mi się tragikomiczny. Nie dziwi mnie, bo Brytyjczycy nigdy nie czuli się Europejczykami. Nie jest chyba dobrze, że Unia traci jednego członka, gdyż może to być sygnałem dla następnych secesji. Z drugiej strony to może i lepiej, że pozbyliśmy się kogoś, kto głównie wkładał kij między szprychy".

Z SONDAŻY wyłania się straszny obraz Europy. I to zarówno z tych sprzed kryzysu koronawirusa, jak i przeprowadzanych w czasie epidemii oraz tych najnowszych, gdy epidemia zdaje się wygasać i gdy Paryż z Berlinem wezwały do wyłożenia 500 mld euro na rzecz pomocy krajom najmocniej uderzonym zarazą, a Komisja zaproponowała stworzenie funduszu na rozruch gospodarki.

Takie subwencje – czyli możliwość transferu środków, przed którą dziesięć lat temu, podczas kryzysu euro, zębami i pazurami broniły się najbogatsze kraje Unii – redakcja dziennika „Le Monde" nazwała „wstępem do wspólnego Skarbu Europejskiego". Uznała, że „jest to prawdziwa innowacja jakościowa". Jeśli te propozycje zaaprobują wszystkie kraje członkowskie, będzie to „historyczny skok w stronę integracji europejskiej" – napisano w dzienniku.

ALEXANDRE LEBEGUE ma 26 lat, był najmłodszym we Francji sędzią hokeja na lodzie, a obecnie jest szefem zmiany w paryskiej kawiarni Starbucks. Przekonany jest, że jako Francuz więcej ma korzyści z Unii niż obywatele małych krajów, gdyż „Unia służy tylko bogatym, a biedne kraje przegrywają na tym związku".

Źle jest nastawiony do euro, które „trzeba było przyjąć". Ma instynktowną pewność, że „rodzice i dziadkowie więcej mogli kupić za franki niż ja za euro". „Unia jest starsza ode mnie, nie znam innej Europy, trudno mi robić porównania" – przyznaje i jak mówi, „czuje Schengen", bo podoba mu się swoboda podróżowania po kontynencie.

LEDWIE CO CZWARTY Francuz pokłada jakąś nadzieję w Europie. A w roku 2003 Unia była nadzieją dla ponad 60 proc. Dziś aż 39 proc. badanych czuje wobec Unii „obawę".

Te negatywne opinie wydają się niezależne od sympatii politycznych. Wyborcy prezydenta Macrona oczekują odeń innych posunięć niż dotychczasowe i te teoretyzowane w jego wystąpieniach o Europie, „która broni i chroni".

Jeśli wierzyć sondażom, większość Francuzów pochwala dokonane w obawie przed epidemią zamknięcie granic, a 55 proc. uważa, że nie należy ich otwierać także po zakończeniu kryzysu.

NIEWIELE STARSZY od Alexandre'a, 29-letni malarz Camille Leherpeur również jest wielkim zwolennikiem otwartych granic. Ceni też euro, nawet jeśli „zdaje sobie sprawę" z problemów, jakie powoduje wspólna waluta, nieoparta na wspólnej polityce finansowej.

Wystawia w Belgii, Holandii i Wielkiej Brytanii, dostał stypendium dzięki programowi Creative Europe. „Siłą rzeczy jestem proeuropejski" – uśmiecha się i mówi, że brexit pozbawi go zapewne możliwości działania w Anglii. Niezależnie jednak od własnych interesów czuje, jak „koronawirus potęguje efekty brexitu".

Camille mówi, że podczas pandemii zdał sobie sprawę z braku suwerenności gospodarczej Europy i Francji. Jak twierdzi, dotarło do niego, że tak wygodne dla turysty euro nie pozwala Francji na prowadzenie suwerennej polityki finansowej, „co rzuca cień na suwerenność polityczną".

Zwraca uwagę, że liczba gwiazd na fladze UE nie odpowiada i nigdy nie odpowiadała liczbie jej członków. „Te 12 gwiazd z korony życia i nieśmiertelności są w Apokalipsie symbolem zwycięstwa i triumfu. Pokazują, że Europa to idea, a nie terytorium".

WIĘKSZOŚĆ MŁODYCH Francuzów (65 proc. w wieku 18-34 lata) przewiduje, że w najbliższym dziesięcioleciu inne wielkie kraje pójdą śladem Wielkiej Brytanii i opuszczą Unię. Młodzież przekonana jest także, że mnożyć się będą gwałtowne demonstracje, takie jak francuskich „żółtych kamizelek" czy też hiszpańskich Indignados. Do władzy dojdą ugrupowania populistyczne i autorytarne – tak wyniki sondażu z końca lutego omawiał redaktor dziennika „Le Parisien".

AGNÈS HENRY jest właścicielką winnicy w Prowansji. Produkuje ekologiczne i wciąż wyśmienite wina apelacji Bandol. Odpowiedź na pytanie o Unię zaczyna od historii Wspólnoty:

„Unia Europejska powstała, bo trzeba było wyjść z historycznego kryzysu, jakim była II wojna światowa. W normalnych czasach jakoś się trzyma, ale kiedy zaczynamy się bać, gubimy sens naszych uczuć... Dochodzi do tego, do czego doszło teraz: mało myśli, mało nadziei. Patrzymy na Unię jak na coś obcego, nieprzydatnego, krytykujemy za to, co robi i czego nie robi, odstawiamy na bok.

Kiedy patrzę na mój krajobraz – lasy i winnice między morzem a górami – rzuca mi się w oczy, że ten biotop to organizm, w którym doskonale mieści się inny organizm, jakim jest człowiek. Natomiast Unia, Europa jako byt polityczny, to montaż, który czasem nie wytrzymuje nacisku, jakby zapada się pod pytaniami o sens. Ostro pokazał to kryzys COVID-19. I nie był to widok zachwycający".

FRANCUZI NAJWYŻEJ CENIĄ najmniejsze, najbliższe im samorządy – wynika z sondażu przeprowadzonego w maju. Dwie trzecie odpowiadających uznało, że na kryzys koronawirusa najlepiej odpowiedziały rady gminne. Nieco mniej badanych – 61 proc. – przyznało, że odpowiednio postępowały rady departamentalne (departament to odpowiednik dawnych gierkowskich województw), a 58 proc. zadowolonych było z działań rad regionalnych.

70 proc. ankietowanych uznało, że rząd nie stanął na wysokości zadania. 80 proc. to samo zdanie ma o Europie. ©

LUDWIK LEWIN *jest korespondentem Polskiej Agencji Prasowej w Paryżu.*

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 25/2020

REDAKCJA: Marcin Żyła | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
PROJ. GRAFICZNY: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
OKŁADKA: Admind

PUBLIKACJA POWSTAŁA WE WSPÓŁPRACY Z PRZEDSTAWICIELSTWEM KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

Komisja Europejska

HISTORIA

FRANCUSKA KLĘSKA I POLSKA DEPRESJA

80 lat temu Polacy wierzyli, że wolność przyjdzie wraz z wiosenną ofensywą aliantów. Tym większy był cios, który spadł w czerwcu 1940 roku.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

LAPI / ROGER-VIOLLET / EAST NEWS

Rozpacz i zwątpienie, rozgoryczenie i apatia: upadek II Rzeczypospolitej pozostawił zrozumiałą paletę emocji. Znienawidzono tych, którzy rządzili przed wrześniem 1939 r., obarczając winą za klęskę ekipę sanacyjną. Niemiecki Blitzkrieg i sowiecki cios w plecy zweryfikowały hasło, że wrogowi „nie oddamy ani guzika". Depresyjne nastroje potęgował terror okupantów i świadomość, że Hitler i Stalin skutecznie podzielili między siebie Europę Środkową. Jedyni sojusznicy – Francja i Anglia – byli daleko.

Przebywający w Paryżu polski rząd oraz jego wojskowe i cywilne ekspozytury w kraju podejmowały działania na rzecz odbudowy ducha. Odezwy rządowe, konspiracyjna prasa, ulotki, audycje radiowe – wszystko to miało mobilizować do oporu i jedności z ekipą gen. Władysława Sikorskiego, nowego premiera i naczelnego wodza. W wydanej w grudniu 1939 r. w Warszawie broszurze „Czy wrzesień 1939 r. okrył niesławą naród polski?" płk Stefan Rowecki – współtwórca konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski (jej działalność kontynuował Związek Walki Zbrojnej, w 1942 r. przekształcony w Armię Krajową) – krytykował sanacyjne władze, podkreślając konieczność dalszej walki.

Okupacyjne realia ograniczały jednak skuteczność takich starań. W styczniu 1940 r. gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, dowódca SZP, tak pisał o nastrojach w kraju do swego zwierzchnika gen. Kazimierza Sosnkowskiego: „Wstrząs wrześniowy w bezpośrednich skutkach swoich poza światem pracy, wsią i młodzieżą, która względnie najmniej załamała się moralnie – przeważającą większość reszty społeczeństwa albo negatywnie nastroił do wszystkiego poza krytyką, i to plotkarską, albo wydobył na wierzch najbrzydsze cechy, jak tchórzostwo, upozorowane ostrożnością, egoizm itp.".

Plotka jak narkotyk

Z czasem społeczeństwo zaczęło przepracowywać wrześniową traumę. Ale w nadziejach, iż wojna zmieni swój bieg, mniej było racjonalnego myślenia, a więcej zaklinania rzeczywistości. Królowały plotki i proroctwa, potęgowane przez brak rzetelnych informacji. Często cytowany dziś kronikarz epoki, dyrektor szpitala w Szczebrzeszynie Zygmunt Klukowski, tak pisał jesienią 1939 r.: „Po mieście krąży mnóstwo najrozmaitszych pogłosek i plotek zupełnie nieprawdopodobnych. Im bardziej jakaś wiadomość jest sensacyjna, tym chętniej i szybciej zostaje przyjęta i rozpowszechniona. Ludzie zatracają przy tym wszelki krytycyzm".

Zimą 1939 r. okupowane ziemie wschodnie obiegło „proroctwo św. Andrzeja Boboli", które przekonywało, że Sowieci opuszczą Polskę 7 lub 9 stycznia 1940 r. Najbardziej znana była „przepowiednia Wernyhory", że „krzyż splugawiony [tj. swastyka] razem z młotem padnie / zaborcom nic nie zostanie". Józef Anczarski, proboszcz z wioski Dobropole (w województwie tarnopolskim) wspominał, że wierzono w nią jak w Ewangelię.

Podobne fantasmagorie przekazywano sobie szybko, od ucha do ucha. Budziły nadzieję, bo teraźniejszość była potworna. „Ludzie ich używali jako narkotyków, od których, jak wiadomo, trudno odzwyczaić kogokolwiek" – pisała mieszkająca wtedy we Lwowie Karolina Lanckorońska (żołnierka ZWZ, a potem armii Andersa).

Każda nowa kampania z udziałem okupantów budziła nadzieję na odwrócenie położenia Polski. Po raz pierwszy

Mieszkańcy Paryża uciekają przed zbliżającym się do stolicy Francji Wehrmachtem, czerwiec 1940 r.

nastąpiło to podczas tzw. wojny zimowej, którą Stalin prowadził przeciw Finlandii od listopada 1939 do marca 1940 r. Początkowe sukcesy Finów wywołały złudzenie, że Związek Sowiecki rychło upadnie. Lanckorońska notowała: „Wojna Finlandii z Sowietami również napełniała wszystkich nadzieją i wiarą w jakąś urojoną słabość Rosji, za to kapitulacja [Finów] i koniec tego epizodu wywołały ogromne przygnębienie".

Przetrwać do wiosny

Na przełomie 1939/40 r. Klukowski notował, że nigdy nie było tak smutnego Sylwestra: „Nie składano sobie innych życzeń, jak tylko wyzwolenia z niewoli. Bo też ciąży nam ona coraz bardziej". Mimo to wierzono, że zmiana nastąpi wiosną, wraz ze spodziewaną ofensywą aliantów na froncie zachodnim. „Słoneczko wyżej, Sikorski bliżej" – powtarzano. Pod datą 1 stycznia 1940 r. ks. Anczarski pisał: „Wiążą Polacy z tym Nowym Rokiem tak wiele nadziei. Niech tylko zima ustąpi, niech tylko osuszą się pola. Francja i Anglia z wiosną runą lotem błyskawicy na Niemcy i rozbiją to nienasycone państwo, i ukarzą za zbrodnię wywołanej wojny. Przetrwać do wiosny. (...) Szerokie masy wierzą, że wojna będzie krótka. Najwyżej do żniw i koniec. (...) Rok 1940 będzie szczęśliwy dla Polski. To jasne jak słońce".

Ale choć zima, wyjątkowo mroźna i śnieżna, dobiegała końca, niewiele się zmieniało. Pocieszano się więc myślą, że wydawane przez okupantów gazety nie mówią prawdy i alianci jednak przygotowują skrycie frontalny atak.

Rząd RP w Paryżu wiedział, że w kraju panują nieuzasadnione nadzieje na szybki koniec wojny. Obawiał się, że zderzenie z realiami spowoduje kolejne „głębokie rozczarowanie i jako nieuchronny skutek depresję moralną i atmosferę zniechęcenia". Kładł więc nacisk na konspirację długofalową.

Gdy w kwietniu 1940 r. Niemcy uderzyły na Norwegię, której z pomocą pospieszyły alianckie siły ekspedycyjne, przez chwilę zdawało się, że Niemców czeka pierwsza bolesna porażka. Jednak po dwóch miesiącach walk (z udziałem także polskiej brygady strzelców podhalańskich, w bitwie o Narwik) Wehrmacht odniósł kolejne zwycięstwo. Lanckorońska pisała: „Tymczasem szła wiosna, ta wiosna tak upragniona, tak oczekiwana, a z nią zamiast wyzwolenia straszna wiadomość – że alianci opuścili Norwegię! A więc to jeszcze nie koniec, jeszcze się to przeciągnie!".

Wszystko się zawaliło

A to był dopiero początek fatalnych wieści. Zamiast ofensywy aliantów, 10 maja to Niemcy zaatakowały – Belgię i Holandię, a następnie Francję.

W Polsce wiara we Francuzów była powszechna. Nie tylko z racji związków Francji z Polską (historycznych i współczesnych – sojuszu w okresie międzywojnia), ale zwłaszcza przez pamięć o bohaterstwie jej żołnierzy podczas I wojny światowej. Mało kto zdawał ↦

↦ sobie sprawę z defetystycznych nastrojów wśród Francuzów, okopanych za Linią Maginota (jej umocnienia uważano za nie do zdobycia) i wraz z Anglią prowadzących tzw. dziwną wojnę, w której działania zaczepne ograniczono do zera.

Półtora miesiąca później Francja upadła. Jej kapitulacja – podpisana 22 czerwca w tym samym wagonie kolejowym, w którym 11 listopada 1918 r. Niemcy zaakceptowali warunki rozejmu – podcięła Polakom skrzydła. Świadkowie pisali o „uderzeniu w dno" i „ostatecznej klęsce". Nastroje w kraju dobrze ilustrują wspomnienia Stanisława Likiernika (później uczestnika powstania warszawskiego): „Wiadomość o kapitulacji Francji uderzyła nas jak grom z jasnego nieba. (...) Wszystko się waliło. (...) Francja – nasz sojusznik, ojczyzna Napoleona – rozpadła się jak domek z kart". Likiernik dodawał: „Dzień ten był najsmutniejszy i najbardziej trudny moralnie do zniesienia. Wszechpotęga Niemców wydawała się ugruntowana".

Podobne emocje targały Polakami na emigracji. Urzędnik MSZ Stanisław Schimitzek wspominał: „Dla nas zamknięty został drugi rozdział księgi cierpień. Nie pozostało nic z naszych marzeń i nadziei".

Szokująca klęska Francji sprawiła, że w kraju znów zapanowała powszechna depresja, być może nawet większa niż po wrześniu 1939 r. Jedni załamali się zupełnie, inni uzmysłowili sobie, że wojna szybko się nie skończy. Bo kto miałby teraz pokonać i III Rzeszę, i Związek Sowiecki?

Niemcy triumfowali, Stalin zaś słał gratulacyjne telegramy Hitlerowi. Po pokonaniu Francji władze okupacyjne Krakowa nakazały bić w wawelski Dzwon Zygmunt. Mimo gorącego dnia krakowianie zamykali okna, by go nie słyszeć. W samym Krakowie w tych dniach co najmniej kilkadziesiąt osób popełniło samobójstwo.

Nowa nadzieja

Na placu boju pozostała Wielka Brytania.

Bitwa o Wyspy – mająca charakter ofensywy lotniczej, która w niemieckich planach miała wyeliminować brytyjskie lotnictwo i umożliwić desant na angielskich plażach – zaczęła się 8 sierpnia 1940 r. Świat wstrzymał oddech. Opanowanie Wysp byłoby końcem wszelkich nadziei. Także dla władz RP, które ewakuowały się tam z Francji.

Na wieść o upadku Francji, w samym Krakowie co najmniej **kilkadziesiąt osób popełniło samobójstwo.**

Echa zmagań na brytyjskim niebie docierały do Polski. „Wtedy – zapamiętał Likiernik – zrodził się mój podziw dla Wielkiej Brytanii i Churchilla. Bez Anglii ponieślibyśmy prawdziwą i ostateczną klęskę". Polacy łączyli się w duchu z rodakami-lotnikami walczącymi z Luftwaffe. Lanckorońska, przebywająca wtedy w Krakowie, notowała: „Nasza miłość do Anglii wzmagała się wówczas z każdą godziną. Była w niej i wiara, i nadzieja, i troska bezmierna, trwoga o jej przyszłość i zazdrość, że Anglia może walczyć otwarcie o swój byt i o byt Europy".

Gdy 15 sierpnia 1940 r., w 20. rocznicę zwycięstwa nad bolszewikami, abp Adam Sapieha odprawił mszę w krakowskim kościele Mariackim, odebrano to powszechnie tak, iż metropolita modli się o „cud nad Tamizą". Emocje sięgały zenitu. Podobno podczas spaceru z dzieckiem na Plantach pewna kobieta zemdlała, gdy usłyszała od znajomego o rzekomej kapitulacji Anglii. Ale byli też tacy – dla jednych malkontenci, dla innych realiści – którzy twierdzili, że Anglicy są narodem praktycznym, i że „teraz nas lubią" i potrzebują Polaków, ale później zmienią stanowisko. Takie osoby poddawano ostracyzmowi.

Lotnicza bitwa o Anglię trwała do października 1940 r. Niemcy nie zniszczyli brytyjskiego lotnictwa i nie zaryzykowali desantu. W wymiarze strategicznym oznaczało to sytuację patową: w końcu poza Wyspami Brytyjskimi cała Europa była pod kontrolą Hitlera, Stalina lub ich sojuszników (jak Mussolini).

Nawet największy optymista musiał pojąć, że okupacja się przedłuży. „Niezmiernie wyczerpuje nas nerwowo życie z dnia na dzień, ciągły niepokój i niepewność, co z nami będzie już nie za miesiąc czy za tydzień, lecz nawet za godzinę" – pisał Klukowski we wrześniu 1940 r. Oczekiwano „upragnionego zdarzenia", które rozstrzygnie globalny konflikt. Tylko jak miałoby ono wyglądać?

Bogu dzięki za tę wojnę

I stało się: rok po klęsce Francji, 22 czerwca 1941 r., Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki – jak twierdzi dziś coraz więcej historyków, w tym także niezależnych historyków rosyjskich, uprzedzając w ten sposób przygotowywany już sowiecki atak.

Starcie dotychczasowych sojuszników od początku wydawało się punktem zwrotnym tej wojny. Tylko nieliczni uważali je za kolejną katastrofę – sądząc, że jeśli zwyciężą Niemcy, staną się siłą nie do pokonania, a jeśli Sowieci, oznaczać to będzie zbolszewizowanie całej Polski. Ci byli jednak w mniejszości: dominowały radość i przekonanie, że nastąpił przełom, na który czekano od września 1939 r. Ks. Anczarski, który doświadczył sowieckiego terroru, a nie znał jeszcze terroru niemieckiego, pisał: „Dzięki Ci Boże za tę wojnę. Ginęliśmy w udrękach, a oto pierwszy znak wolności. (...) Imperium zbrodni i zła kopnięte butem niemieckim rozsypie się na miazgę". Anczarski pragnął, by ta nowa wojna nie skończyła się błyskawicznie, lecz aby „te dwie potęgi zniszczyły się nawzajem w walce ze sobą, aby potem tym łatwiej odrodziła się Polska".

„Biuletyn Informacyjny", podziemny organ ZWZ, pisał 26 czerwca: „Panu Bogu chwała i dziękczynienie za to, że ręce jednego z naszych wrogów rażą wroga drugiego, a obaj – zwycięzca i zwyciężony – spłyną obficie krwią, wyniszczą się i wyczerpią". W kościołach Krakowa wierni na kolanach dziękowali za wojnę na wschodzie. Lanckorońska pisała: „Ta granica, nasza krwawa linia Ribbentrop-Mołotow, która przepołowiła Polskę, z dniem dzisiejszym istnieć przestaje! Myśl, że ta straszna »granica« w tej chwili znika, i to już raz na zawsze, napełniła nas szałem radości. Niech tam Niemcy idą w głąb Rosji po to pyrrusowe zwycięstwo, które ich tam czeka. Już stamtąd nie wrócą, bo tymczasem alianci ich wykończą na zachodzie. A my teraz już wracamy na wschód – do Lwowa, tam, gdzie należymy".

Powszechnie wierzono, że Sowieci wprawdzie odeprą Niemców, ale koniec końców ich nie pokonają, lecz tylko wyczerpią swoje zasoby ludzkie i materiałowe. A wtedy ostateczny cios zadadzą Niemcom alianci zachodni, którzy przyniosą Polsce wolność...

Czas miał zweryfikować te nadzieje – nie pierwszy i nie ostatni raz w tej wojnie.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

NAC

Na przyjęcie w restauracji Polonia Ignacy Daszyński przybył prosto ze spotkania z Józefem Piłsudskim, obaj ściśle współpracowali od lat. Na zdjęciu: Daszyński (w środku) i Piłsudski (z prawej) podczas walk Legionów nad Nidą w 1915 r.

Historia pewnego rautu

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

„Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy" – skąd się wzięło to zdanie? Kto i w jakiej formie użył go po raz pierwszy? Oto wyniki historycznego śledztwa.

Słowa te powtarzamy od dziesięcioleci, nieraz uznajemy je za podstawową dyrektywę polskiej polityki wobec Kijowa. Zdanie samo w sobie niejasne (zwrot „nie ma" można rozumieć na różne sposoby), retoryczne, według dzisiejszych pojęć – właściwie mem. Powszechnie uchodzi ono za streszczenie tzw. doktryny Jerzego Giedroycia i często jest jemu przypisywane. Ale równie często przypisuje się te słowa Józefowi Piłsudskiemu. Bez żadnego dowodu, żadnego źródła.

Nie będę się tu zajmował aktualnością wspomnianej doktryny ani tym, czym ona jest, czym zaś nie jest. Zainteresowani mogą sięgnąć do „Nowej Europy Wschodniej" (numery 1, 2 i 5 z 2018 r.), gdzie przedmiot ten obszernie dyskutowano (znaleźć tam można także mój głos). Dzisiejszym tematem jest pochodzenie samej formuły.

Odpowiedź znalazłem w wielotomowej „Kronice ukraińskiej rewolucji", wydanej we Lwowie w 1924 r. (Ołeksandr Docenko „Litopys ukrajinskoji rewoluciji. Materiały j dokumenty do istoriji ukrajinskoji rewoluciji"). Jej autor, oficer sił zbrojnych Ukraińskiej Republiki Ludowej, był w 1920 r. osobistym adiutantem zwierzchnika UNR Symona Petlury, a wydarzenie, o którym będzie mowa za chwilę, opisał w sposób niepozostawiający wątpliwości, iż był jego uczestnikiem.

Uczciwość nakazuje przyznać, że nie dotarłem do tego źródła samodzielnie. Tropem był odnośnik, w który naszą formułę zaopatrzył – w swej pracy poświęconej stosunkom polsko-ukraińskim – Wołodymyr Łytwyn, ukraiński historyk, bardziej znany jako polityk. ↦

Na przyjęciu w Polonii

↦ Z relacji Docenki wynika, że 25 marca 1920 r., w trakcie rokowań nad porozumieniem polsko-ukraińskim [patrz „TP" nr 17-18/2020 – red.], Ukraińska Misja Dyplomatyczna wydała w warszawskiej restauracji Polonia raut, na który zaproszono ok. 20 polskich polityków.

Przyszło siedmiu: Ignacy Daszyński (pierwszy premier odrodzonej Rzeczypospolitej, przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej), Jan Dąbski (dyplomata, późniejszy negocjator traktatu ryskiego, członek lewego skrzydła Polskiego Stronnictwa Ludowego-Piast; w zapisie Docenki występuje jako Demski), Irena Kosmowska (działaczka PSL-Wyzwolenie), Jędrzej Moraczewski (drugi premier odrodzonej Rzeczypospolitej, wpływowy działacz PPS), Jan Stapiński (jeden z patriarchów ruchu ludowego, w tym czasie przywódca PSL-Lewica), Włodzimierz Wakar (działacz PSL-Wyzwolenie) i prawdopodobnie Bronisław Ziemięcki (członek kierownictwa PPS; prawdopodobnie, bo Docenko wymienia nazwisko Ziemiański). Żaden z polityków Narodowej Demokracji nie odpowiedział na zaproszenie.

Oddajmy teraz głos Docence: „Minister A. Liwyckyj [szef misji UNR w Warszawie – red.] w dość ciepłym przemówieniu powitał w imieniu ukraińskiej demokracji demokrację polską i mówił, że Polacy i Ukraińcy naturalnie i historycznie muszą być powiązani więzami sojuszniczymi przeciw swym wrogom i wzniósł toast za gości, polską demokrację i za największego demokratę Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Z odpowiedzią wystąpił p. Daszyński, który podziękował A. Liwyckiemu za słowa ciepłego powitania i wzniósł toast za zdrowie p. Wodza Naczelnego [Petlury – red.]".

O sojuszu dwóch narodów

Następnie głos zabrali Stapiński i Dąbski, a po nich ponownie Daszyński, który na raut przybył bezpośrednio ze spotkania z Piłsudskim, co dla Ukraińców było znaczące: jego głos został uznany za głos Naczelnika Państwa.

Daszyński mówił: „Trzysta lat Ukraińcy i Polacy byli uciskani przez obce narody. Razem byli pod uciskiem Moskwy, a my także pod uciskiem Niemców i Austriaków. Czytamy w historii, że nie raz i nie dwa lała się całkiem niepotrzebnie polsko-ukraińska krew w walce między sobą, a ta walka osłabiła oba narody i doprowadziła do utraty niepodległości tak przez Ukrainę, jak i Polskę na rzecz silniejszych wrogów, którzy tylko czekali naszego osłabienia, aby narzucić wam i nam jarzmo niewoli, ciężkie kajdany ucisku. Ale teraz Polska wstępuje na szlak nowego porozumienia z Ukrainą i ja tu uroczyście oświadczam, że moim zdaniem nie może być wolnej Polski bez wolnej Ukrainy ani wolnej Ukrainy bez wolnej Polski.

IGNACY DASZYŃSKI:

Trzysta lat naród ukraiński bił się z Polakami i jeszcze będziemy mieć trudności, będziemy się jeszcze spierać, może i bić się o każdą wieś, ale to już będzie walka dwu suwerennych państw, a przy dobrej woli waszej i naszej do tego nie dojdzie.

Trzysta lat naród ukraiński bił się z Polakami i jeszcze będziemy mieć trudności, będziemy się jeszcze spierać, może i bić się o każdą wieś, ale to już będzie walka dwu suwerennych państw, a przy dobrej woli waszej i naszej do tego nie dojdzie – wspólna mowa zawsze może się znaleźć i już teraz [jest] jasna sprawa o sojuszu narodów polskiego i ukraińskiego.

Proszę wierzyć w szczerość i powagę moich słów oraz zebranych tu moich towarzyszy – Polaków. Wznoszę toast za wolną Ukrainę i wolną Polskę!".

Później padło jeszcze wiele słów z obu stron, już niezbyt istotnych; raut trwał do czwartej nad ranem.

Czytając powyższe cytaty, trzeba mieć na uwadze, że jest to tłumaczenie ukraińskiej relacji (a nie stenogramu). Daszyński znany był z krasomówstwa i na pewno nie ujął swej myśli tak, jak w przedostatnim zdaniu, w którym zawarte musiało być (tak to zrozumieli Ukraińcy) jasne stwierdzenie, że porozumienie sojusznicze zostanie zawarte, co 25 marca nie było jeszcze przesądzone.

Co było potem

Zatem ani Piłsudski, ani Giedroyc. Pierwotna formuła była „symetryczna", wiążąca oba narody na równi, a przez to i trafniejsza, i uczciwsza. A także: nie było tu żadnej „doktryny", żadnej geopolityki: słowa Daszyńskiego to toast z właściwą mu nieco przesadną retoryką. A także pobudka wojenna, zapowiadająca rychłą już wspólną walkę ze wspólnym wrogiem. I nie na wieki wieków, lecz do czasu pobicia Rosji i ustanowienia nowego ładu w Europie Środkowej (o tym ładzie sporo mówiono podczas rautu, krytykując wtrącanie się mocarstw zachodnich w proces jego tworzenia).

A co miało być potem? Daszyński – urodzony w Galicji Wschodniej, w Zbarażu – nie miał, jak widać, złudzeń. Dopuszczał nawet kolejną wojnę polsko-ukraińską – w tych czasach wojna była wciąż uprawnionym środkiem rozstrzygania sporów międzypaństwowych. Możność toczenia wojny była jednym z atrybutów suwerenności, której Daszyński życzył tak Polsce, jak i Ukrainie.

Słowa Daszyńskiego zostały wypowiedziane po polsku, ale zapisane tylko po ukraińsku, do tego na kartach sążnistego wydawnictwa źródłowego, do którego mało kto sięga. Wśród Ukraińców zostały gruntownie zapomniane. Wśród Polaków przetrwały w żywej pamięci grupy świadków, a potem – słuchaczy ich relacji. Jeśli po raucie w Polonii sporządzono u nas jakąś notatkę, raport – nie znamy ich.

Słowa przetrwały zniekształcone, oderwane od osoby autora i pierwotnego kontekstu, jako mem właśnie. Wykorzystywane w sposób, który Daszyńskiemu niekoniecznie by się podobał. I tak jak mem – raczej kształtujące niż opisujące rzeczywistość.

PS. Kronikę ukraińskiej rewolucji (ściślej: jej tom 2, księgę 5) Docenki można znaleźć w sieci pod adresem https://elib.nlu.org.ua/view.html?&id=8590 (opis rautu, znacznie szerszy od powyższych cytatów, jest na stronach 250–253).

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Wkrótce nakładem Wydawnictwa Wysoki Zamek ukaże się jego książka „Ukraińskie stulecie 1914–2014. Szkice historyczne".

ANDRZEJ

Stasiuk:
Tak, Pilchu?

Zdjęcie mi po nim zostało. Nie jego. Andrieja Płatonowa. Przysłał mi je w pierwszej połowie lat 90., wymienialiśmy czasem listy. Nie pamiętam tylko, czy zdjęcie było od razu oprawione, czy to ja włożyłem je za szkło. Ale i tak do dziś wydaje mi się, że gest był wzruszający, by nie rzec – sentymentalny. Facet facetowi wysyła zdjęcie trzeciego faceta. No więc niech będzie, że to ja oprawiłem je w ramki i biorę część mazgajskiej winy na siebie. Oprawiłem i nigdy się już z nim nie rozstaję. Andriej Płatonow wisi zawsze na lewo od biurka i patrzy mi na ręce. Obok wisi Beckett, a wyżej Matka Boska z bolejącym sercem uwieziona z domu dziadków, który obraca się w ruinę.

Czy Pilch w 1996 r. pisał dla „Tygodnika Powszechnego" nekrolog po śmierci Brodskiego? Może uroiłem sobie rozmowę telefoniczną, w której mówi mi, że musi wytrzeźwieć, bo zabiera się właśnie za poważny tekst. Może tak, żeby mi pasowało do nekrologu, który sam piszę teraz. Ale gdzieś właśnie w 1996 r. napisał tekst o Brodskim i Płatonowie. I w tym tekście jest o fotografii Płatonowa, którą Brodski ma na ścianie. Pisze o tym, że jest prawie pewien, o jaką fotografię chodzi Brodskiemu. Właśnie o tę samą, którą ma on, i którą, skserowaną, przysłał i mnie.

No bo to on kazał mi czytać Płatonowa. Najpierw wziąłem się za jakieś pojedyncze opowiadania, może za zbiór „Gliniany dom"? A w końcu trafiłem na „Wykop" w przekładzie Andrzeja Drawicza. Małą czerwoną książeczkę, nie większą niż te do nabożeństwa przeznaczone dla osób starszych. Tyle że na okładce zamiast krzyża była reprodukcja fragmentu „Piekła" z tryptyku „Wóz z sianem" Hieronima Boscha. No i nie wyglądała tak solidnie jak modlitewniki. Pozór zresztą był mylący, bo wytrzymała wszystkie moje podróże na Syberię, na stepy, płaskowyże, pustynie i, *horrible dictu!*, nawet do Chin. Żeby wszędzie tam czytać Płatonowowskie zwiastowanie apokalipsy. Książeczka wytarła się, postrzępiła, ale nie rozpadła. Bo przy okazji sugestii lekturowych Pilch, zapewne nieopatrznie, wysłał mnie na Wschód. On, który nie znosił podróży i, jak wieść niesie, gdy miał lecieć do Moskwy na targi książki, gdzie czekali na niego z kwiatami, zmrożoną wódką oraz uwielbieniem, dotarł jedynie na lotnisko w Warszawie. Spryciarz.

Nosił się coraz szykowniej, używał coraz droższych zapachów, kobiety, które go otaczały, były wytworne, znał je i podziwiał cały kraj. Ja tymczasem zdychałem od upału, zimna i brudu. Żarły mnie komary i oganiałem się od skorpionów, węży oraz skorumpowanej policji w Azji Środkowej. Spryciarz i w dodatku znał się na ludziach. Kiedy pierwszy raz wybierałem się do Irkucka, Ułan-Ude i Czyty, napisałem do niego mejla: „Jerzy, jadę do Rosji". Po drugiej stronie zapadło coś w rodzaju ciszy i dopiero po jakimś czasie przyszła odpowiedź: „Wiedziałem, kurwa, że to się tak skończy...".

Znał się też na pisaniu. W 1991 r. ktoś dał do ówczesnego „bruLionu" kilka moich krótkich opowiadań o więzieniu. Już nie pamiętam kto. Ja nawet nie miałem pojęcia, co to takiego jest „bruLion". Żyłem wtedy nieco poza społeczeństwem, cywilizacją oraz kulturą. I w tym samym „bruLionie" Pilch, pod tymi opowiadankami napisał coś w rodzaju skromnej laudacji. Można rzec, że udzielił mojemu pisarstwu pierwszego namaszczenia. Z zachowaniem proporcji, przypominać to musiało Gorkiego mówiącego Bablowi: „Można drukować". Tylko że ja nie wiedziałem też, kto to jest Pilch. Dopiero koledzy mi powiedzieli, że starszy, znany i z Krakowa. Tak więc jego duch unosił się gdzieś nade mną już u samych początków tak zwanej literackiej kariery. Unosił i jakoś doglądał, jak chociażby z Płatonowem, którego posłał, żeby patrzył mi na ręce oraz trzymał w ryzach moje pisarskie ego. Nie można pisarzowi oddać lepszej przysługi. Nic tak nie niszczy języka i stylu, jak pewność siebie, która najczęściej wiedzie nas na manowce banału i śmieszności.

Teraz go nie ma. Mogę więc spokojnie napisać, że właściwie nie znałem jego książek. I nawet jak gdzieś to przeczyta, nie weźmie mi chyba już tego za złe. Zaczynałem, próbowałem, nie kończyłem. Byłem odporny na jego chojracką frazę. Nie ciekawiło mnie, dokąd zmierza. Wydawało mi się, że sama sobie poradzi, i moja lektura nie jest jej potrzebna. A może nie było u niego przestrzeni, widoków, natury, które sobie wysoko cenię, ponieważ wychowałem się na westernach. I jak mam wybrać między dramatem psychologicznym a filmem przyrodniczym, to raczej wybiorę opowieść o życiu tarbaganów albo suhaków. Oczywiście trochę kpię nad grobem. Mam na usprawiedliwienie, że wiernie czytałem felietony Jurka. Zarówno te, w których nie brał jeńców, jak i te, w których pięknie i czule żegnał umarłych.

No więc jak to jest? Książki pozostawiały mnie nieco obojętnym, ale od piątku nie mogę przestać o nim myśleć. Że go nie ma. Że zostanie w Kielcach na komunalnym. W połowie drogi między Krakowem a Warszawą. Jakby zabrakło mu sił w podróży. Albo jakby realizował koncept literacki. Nie wiem. Może od książek bardziej podobało mi się jego życie? Jego upadki i wskrzeszenia? Że zstępował do piekieł, powracał i miał odwagę o tym mówić, w jakiś przedziwny, przewrotny sposób dając innym pocieszenie? Nie wiem, Pilchu, nie wiem. Na razie wciąż o Tobie myślę. W końcu mi przejdzie. Wszystko przecież przechodzi. Mówią, że kazałeś się spalić i nie będzie trumny w Kielcach. Żadnego ciała, które jest źródłem ekstazy i udręki, tylko popiół lekki niczym wyzwolony duch. Tak, Pilchu? ©

Jerzy Pilch nie żyje

Pamięci Jerzego Pilcha poświęciliśmy serwis specjalny na stronie „Tygodnika Powszechnego", gdzie znajdą Państwo felietony, prozę i wywiady Zmarłego oraz teksty na jego temat. **Więcej: powszech.net/pilchu**

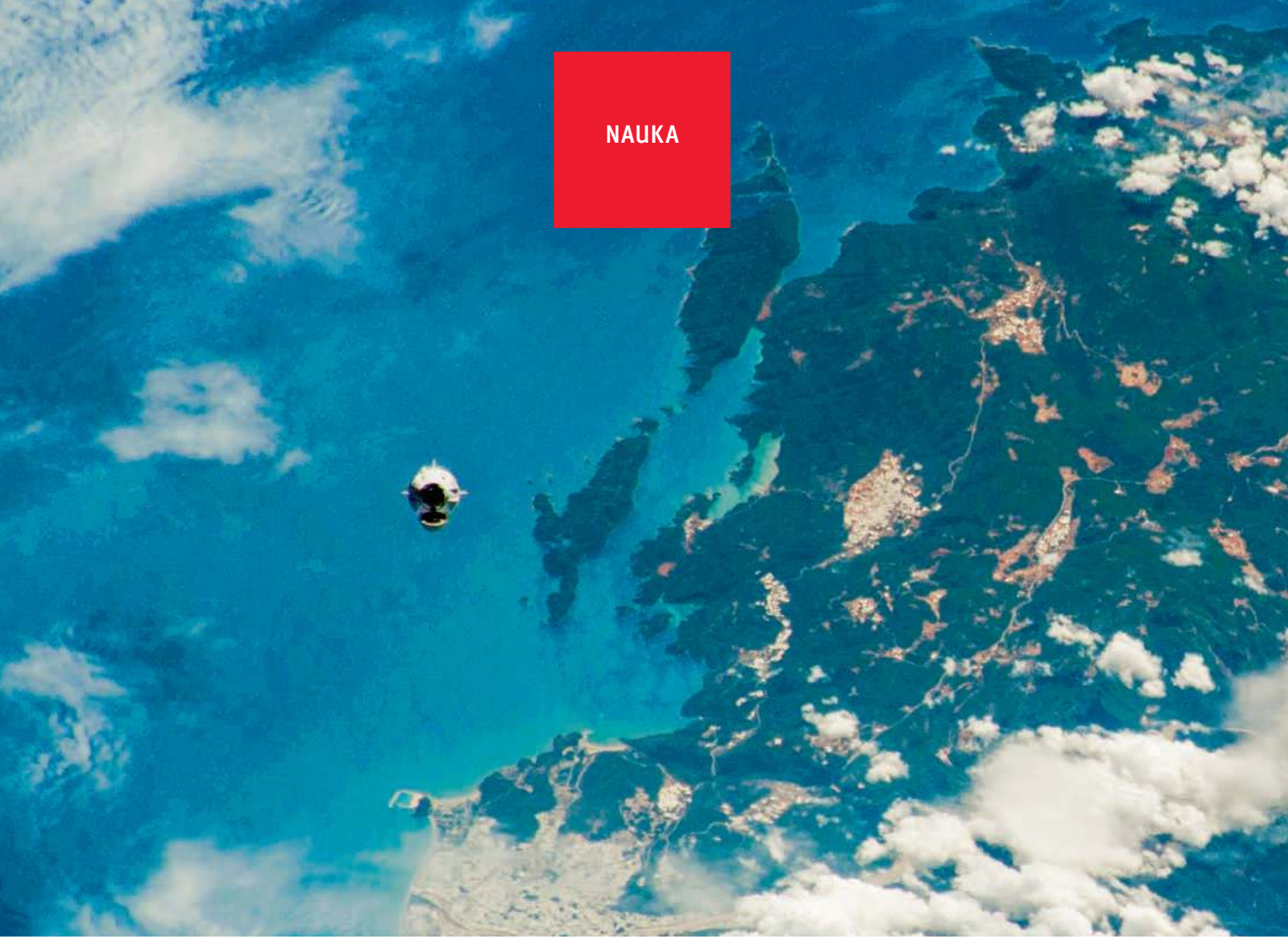

WEJŚCIE DRAGONA

Być może najważniejszą konsekwencją lotu nowego, załogowego pojazdu kosmicznego jest to, że kosmos znowu wydaje się wielki i pełen cudów.

PIOTR STANKIEWICZ

W SOBOTĘ 30 MAJA WSZYSTKO POSZŁO zgodnie z planem. O godz. 21.22 czasu polskiego z Centrum Kosmicznego Kennedy'ego na Florydzie rakieta Falcon 9 podniosła z ziemi statek kosmiczny Dragon z dwójką amerykańskich astronautów – Douglasem Hurleyem i Robertem Behnkenem – na pokładzie.

Dziewięć minut po starcie statek znalazł się na orbicie okołoziemskiej, a po kolejnych trzech odłączył się od drugiego stopnia rakiety; w tym czasie jej pierwszy człon majestatycznie wylądował na platformie na Atlantyku. Już w kosmosie ujawniono kilka nowych faktów. Załoga ochrzciła statek imieniem Endeavour (ang. dążenie), co czyni go trzecim amerykańskim statkiem kosmicznym pod tą nazwą, po module dowodzenia Apollo 15 oraz ostatnim wahadłowcu NASA. Astronauci nie byli na pokładzie sami – podróżował z nimi pokryty cekinami dinozaur o imieniu Tremor, podarowany im przez ich synów. Jego misja polegała na sygnalizowaniu momentu osiągnięcia na statku stanu nieważkości.

Na 13. okrążeniu wokół Ziemi, prawie 19 godzin po starcie, Dragon-Endeavour połączył się z Międzynarodową Stacją Kosmiczną (ISS). Hurley i Behnken dołączyli do obecnej załogi ISS w składzie Chris Cassidy, Iwan Wagner, Anatolij Iwaniszyn. Pobyt Hurleya i Behnkena w kosmosie potrwa od jednego do czterech miesięcy. Kiedy wróci Tremor – nie wiemy.

NASA

Dwie dekady na orbicie

MIĘDZYNARODOWA STACJA KOSMICZNA (ISS) kończy w tym roku 20 lat. Pierwszy moduł, „Zaria" (czyli „Świt"), wystrzelono wprawdzie już w 1998 r., ale ważniejsza data to 2 listopada 2000 r., kiedy na stację przybyła pierwsza załoga (obecna jest już 63.). I od wtedy właśnie stacja jest nieprzerwanie zamieszkana.

ISS krąży wokół Ziemi na niskiej orbicie, na wysokości około 400 km. Jej jeden obieg trwa niespełna 93 minuty. Jest stacją modułową – wystrzeliwano ją w częściach i złożono dopiero na orbicie, dzięki czemu mogła urosnąć do miana największego w historii sztucznego satelity (oraz najdroższego przedmiotu zbudowanego przez człowieka – kosztowała kwotę dwunastocyfrową). Jest też międzynarodowa – to wspólny projekt USA, Rosji, Kanady, Japonii i Europejskiej Agencji Kosmicznej. Tym samym ma ona ważny wymiar polityczny: pół wieku temu astronautyka zaczęła się od „wyścigu w kosmosie", dzisiaj mamy współpracę w kosmosie. Bez cudzysłowu.

Stacja przede wszystkim służy jako laboratorium naukowe – przeprowadzono na niej ponad 2 tys. projektów badawczych (w większości związanych ze stanem mikrograwitacji), przy wykorzystaniu ponad 160 różnych urządzeń.

W ciągu ostatnich dwóch dekad ISS odwiedziło 230 osób z 19 krajów. Dowoziły ich amerykańskie wahadłowce i rosyjskie Sojuzy, teraz do stawki dołączył Dragon. ISS jest największym, najtrwalszym przyczółkiem, jaki człowiek zdobył w przestrzeni kosmicznej. Co dalej z nią będzie, czas pokaże, bo dalekosiężne perspektywy są nieprzewidywalne.

Na razie stacja kwitnie. O czym każdy może się przekonać osobiście, bo na nocnym niebie świeci niczym ruchoma Wenus. © PS

Dragon-Endeavour w drodze na ISS. Zdjęcie wykonano ze stacji kosmicznej. Zanim na nią dotarł, kilkanaście razy okrążył Ziemię. Tutaj przelatuje nad południowo-zachodnią Turcją.

Jeden falstart

Mimo medialnego i społecznego entuzjazmu otaczającego lot Dragona, planety – te metaforyczne – nie ustawiły się dla niego najlepiej. Powiodła się dopiero druga próba. Trzy dni wcześniej przerwano odliczanie na 17 minut przed startem z powodu zachmurzenia. W astronautyce to częsta sytuacja, ale jest symptomatyczne, że najnowocześniejszy statek kosmiczny został zatrzymany przez kaprys siły najbardziej pierwotnej – pogody. Organizatorzy lotu mieli jednak czysto biznesowe powody do zmartwień: gdyby tych odroczeń było kilka, opinia publiczna zaczęłaby od lotu odwracać swą uwagę.

Choć i tak zaczęła. Start Dragona był fetowany – jak w poprzednim numerze „Tygodnika" pisał Wojciech Brzeziński – jako nowe rozdanie w kosmosie, wielkie amerykańskie osiągnięcie i pokrzepienie serc, tak potrzebne w roku koronawirusa. Lot się wprawdzie udał, ale pokrzepienie okazało się ulotne. Dragon wystartował przecież w środku protestów, które ogarnęły USA po śmierci czarnoskórego George'a Floyda z rąk białego policjanta. Z czołówek portali statek został zepchnięty szybciej, niż się spodziewano, przez sprawy najzupełniej ziemskie i bardzo ponure.

Ale wróćmy w kosmos. Jest to pierwszy załogowy lot Dragona z ludźmi na pokładzie. Kapsuła załogowa nowego statku może pomieścić siedmiu astronautów. Jej objętość to około 10 metrów sześciennych – więcej niż w statkach Apollo, jednak znacznie mniej niż w wahadłowcach. Ale Dragon jest statkiem nowej generacji, w dodatku zbudowanym i obsługiwanym przez prywatne przedsiębiorstwo: SpaceX. Jest to tym samym pierwszy orbitalny lot człowieka na sprzęcie skonstruowanym przez firmę, a nie rządową agencję.

Kiedy pobyt na stacji dobiegnie końca, astronauci przejdą do Dragona razem z ładunkiem, który ma wrócić na Ziemię. Misja nie skończy się lądowaniem, ale wodowaniem – na czterech spadochronach, u wybrzeża Florydy. Po 45 latach przerwy wracają więc loty kosmiczne kończące się na wodzie.

Cięcie kosztów

Ostatni start Dragona to mniej więcej 330. start załogowego statku kosmicznego (dużo zależy od tego, jak liczyć – czy włącznie z lotami przerwanymi i nieudanymi). Rzadko się już czyta o nich w gazetach. O Dragonie czytamy i dużo słyszymy – dlaczego? Z kilku powodów.

Po pierwsze, razem ze startem Dragona Stany Zjednoczone wracają w kosmos. Program lotów wahadłowców zakończył się w lipcu 2011 r. i od tego czasu żaden Amerykanin nie wystartował w amerykańskiej rakiecie i z terytorium USA. Latały tylko statki rosyjskie i – od czasu do czasu – chińskie, a cały ciężar wymiany załóg na ISS, w tym dostarczania tam astronautów amerykańskich, spoczywał na rosyjskich Sojuzach. Pół wieku po Gagarinie Amerykanie stracili techniczną możliwość posłania człowieka w kosmos i po dziewięciu chudych latach dopiero dzisiaj ją odzyskują. ↦

↦ Lotu Dragona nie organizuje jednak państwo amerykańskie, tylko SpaceX, słynna firma miliardera i wizjonera Elona Muska. Co oznacza zmianę paradygmatu, bo wszystkie 330 poprzednich lotów to były przedsięwzięcia państwowe (USA, ZSRR/Rosji i Chin). Co więcej, obecny lot Dragona jest dziewiczym lotem załogowym statku kosmicznego nowej klasy. A w tej branży nie jest to częsta okazja.

Drugi przełom wiąże się z redukcją kosztów. SpaceX ma być w stanie wysyłać Amerykanów na orbitę sprawniej i taniej, niż robiłaby to NASA, a z całą pewnością taniej niż przy kupowaniu miejsc w rosyjskich Sojuzach. Obietnica taniości jest nie tylko organizacyjna, ale i technologiczna.

Historia astronautyki to historia walki o wielokrotność użytku. Na początku wszystko było jednorazowe – co oczywiście generowało koszty. Dopiero stacje kosmiczne z lat 70., używane kolejno przez wiele załóg, a potem wahadłowce wprowadzone z początkiem lat 80., były sprzętem używanym wielokrotnie. Wahadłowce są jednak na emeryturze od dekady i teraz pałeczkę podnosi SpaceX. Dragon to niejako nowy-stary koncept, bo łączy ideę wielokrotnego użytku z ideą statku-kapsuły, znaną od lat 60.

Autentyczna nowość tkwi jednak w tym, że wielokrotny użytek nie dotyczy tylko statku. Pierwszego członu rakiety nośnej Falcon 9 również będzie można użyć ponownie. Po zakończeniu pracy nie staje się on śmieciem, który wpada do morza, ale autonomicznie ląduje na bezzałogowym statku platformie (o uroczej nazwie Of Course I Still Love You – Oczywiście, Że Wciąż Cię Kocham). Owszem, rakiety wspomagające starty wahadłowców również były wielokrotnego użytku, ale wracały one lotem niekontrolowanym, na spadochronach, i trzeba było je wyławiać stamtąd, gdzie wylądowały. Pierwszy stopień Falcona 9 umie wylądować sam, pionowo i we wskazanym miejscu. W planach jest też odzyskiwanie drugiego stopnia rakiety. To nieporównanie trudniejsze, bo ta część rozpędza się niemal do prędkości orbitalnej.

Kosmiczny PR

O Dragonie nie byłoby też tak głośno, gdyby nie postać Elona Muska. Dla jednych – wizjonera lub proroka, krok po kroku realizującego pomysł kolonizacji Marsa. Dla innych – próżnego ekscentryka, który lubi pozować na zbawcę

NASA

Bob Behnken z Tremorem. Dinozaur się swobodnie unosi – jego misja została zakończona.

ludzkości (według Muska zaludnienie innych planet ma uratować nasz gatunek przed zagładą). Słów zachwytu pod jego adresem nie ma sensu przytaczać. O czym mówią sceptycy?

Mówią dużo o naturze kapitalizmu, jego nieetyczności i radykalnej nierówności między miliarderami a śmiertelnikami. Ale trzymajmy się tematyki kosmicznej. Istnieje więc argument, że samo stwierdzenie, iż „prywatna firma wysyła człowieka na orbitę", wypacza fakty: bo owszem, SpaceX jest prywatne, ale same loty Dragona są efektem partnerstwa publiczno-prywatnego. Nie są one przecież przedsięwzięciem wolnorynkowym, nie zarabiają na siebie w tym sensie, w jakim zarabia na siebie Amazon czy Google. Nie da się po prostu wejść na stronę SpaceX i kupić biletu na lot Dragona. Loty turystyczne mają być z czasem możliwe, ale będzie to elitarny rodzaj turystyki – ceny będą sięgać milionów dolarów. Całość popytu na loty załogowe zapewnia jak na razie NASA, czyli państwo amerykańskie. Wszystko to rozgrywa się też w bliskiej symbiozie z infrastrukturą państwową. Dragon wystartował z wyrzutni 39A w Centrum Kosmicznym Kennedy'ego, z tej samej, z której startował Apollo 11. Florydzki kosmodrom istniał na długo przed powstaniem SpaceX.

Warto też spojrzeć z jeszcze innej strony. Owszem, załogowy start Dragona jest jasnym punktem w portfolio SpaceX. Owszem, dla Stanów Zjednoczonych jest to ważny moment, bo przywraca im utraconą przed dekadą zdolność wysyłania człowieka na orbitę. Nałożenie na siebie tych dwóch wymiarów marketingowych, prywatnego i patriotycznego, generuje wrzawę medialną. Mówimy tu jednak o tym, że Ameryka wraca do lotów orbitalnych – czyli do tego, co Rosjanie robią od początku lat 70. bez większych przerw i przestojów. Dragon to przecież na razie nie jest lądowanie na Księżycu ani nowy Gagarin.

Owszem, skafandry zaprojektowane przez SpaceX wyglądają imponująco futurystycznie, a automatyczne lądowania pierwszego stopnia Falcona 9 są inżynierskim majstersztykiem. Jednak, poza tym ostatnim, wciąż nie mamy rewolucji. *Science fiction*, o którym czytaliśmy w książkach dzieciństwa, wciąż pozostaje... w książkach. Ciągle odległą fantazją są loty międzygwiezdne, statki z napędem termonuklearnym czy choćby kosmiczna winda, która wyniesie nas wprost na orbitę stacjonarną. W gruncie rzeczy nadal odtwarzamy standard ustalony w latach 60. XX wieku, a wymyślony w jego pierwszej połowie. Wielostopniowa rakieta o kształcie ołówka i napędzie chemicznym wynosi pojazd na niską orbitę okołoziemską, a powrót polega na wytraceniu większości prędkości przez kontrolowane tarcie atmosferyczne, po czym pojazd ląduje na spadochronie w kazachskim stepie lub oceanie u wybrzeża Ameryki. Być może to jest złoty standard ludzkiej astronautyki, być może to jest wymyślone tak dobrze, że nawet w XXI wieku trudno cokolwiek poprawić. Jest jednak przestrzeń na rewolucyjną różnicę, tyle że nie leży ona w technologii, ale zupełnie gdzie indziej.

Ani złośliwe, ani ironiczne, ani umniejszające nie byłoby bowiem stwierdzenie, że najwartościowszym *novum*, jakie Elon Musk jak dotąd wniósł do lotów kosmicznych, jest znakomity PR. Musk dokonał czegoś, co nie udało się na Zachodzie nikomu od czasu pierwszego człowieka na Księżycu, Neila Armstronga. Nie udało się stacji Skylab, wahadłowcom ani nawet Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Musk sprawił, że kosmos jest znowu *sexy* i jest *great again*. Przywrócił ducha rozpalonego przed półwieczem, który od tego czasu nieuchronnie przygasał. Kosmos wrócił na czołówki gazet, ludzie się nim znów interesują, ba – inspiruje ich. Dobry PR okazuje się kluczowy. I staje się czymś więcej niż PR-em, staje się rzeczywistością, prawdziwym marzeniem (w ślad za nim szerokim strumieniem popłyną środki na badania i kolejne misje kosmiczne).

Ludzkość znów daje się porwać Wielkiej Obietnicy – i to muszą przyznać Muskowi nawet najzagorzalsi spośród krytyków.

© PIOTR STANKIEWICZ

Lekcja ostrożności

JAKUB MEJER

Osobiste doświadczenia wywierają wpływ na decyzje podejmowane przez ekonomistów. Nie wszyscy są jednak na nie równie podatni.

W kolejce, która stoi przed bankomatem KeyBank na Manhattanie, setki ludzi spędzają codziennie nawet dwie godziny. To jedyna w całym mieście maszyna tej firmy, wydającej karty ze świadczeniami dla bezrobotnych. Liczba osób korzystających z takiej pomocy w Stanach rośnie lawinowo – w kwietniu wskaźnik bezrobocia wyniósł prawie 15 proc., najwięcej od momentu, kiedy zbierane są statystyki (czyli od 1948 r.). Ekonomiści przewidują, że może wzrosnąć nawet do poziomu 20 proc., nieznanego od czasów Wielkiego Kryzysu w latach 30. XX wieku.

W marcu recesja dopadła giełdy. Te największe traciły na wartości po 25-30 proc., niektóre mocniej niż podczas globalnego kryzysu finansowego w 2008 r. Na rynku kontraktów terminowych ropy jej cena w pewnym momencie po raz pierwszy w historii spadła... poniżej zera. Od tego czasu wiele z giełd w jakimś stopniu zrekompensowało swoje straty, ale zaszły zmiany. W USA oferująca internetowe konferencje firma Zoom jest warta kilkukrotnie więcej niż największe linie lotnicze, a w Polsce najwyżej wycenianą spółką nie są już giganci kontrolowani przez Skarb Państwa, tacy jak PKO BP, tylko tworząca gry wideo (m.in. na podstawie sagi o wiedźminie) CD Projekt.

Takie gwałtowne zmiany ekonomiczne wpływają nie tylko na ludzi, którzy czytają o nich w gazetach czy doświadczają ich na swoim koncie. Dotykają także samych ekonomistów – od których decyzji zależą przecież przyszłe losy gospodarki. Według badań przeprowadzonych przez naukowców z Instytutu Badań nad Dobrami Publicznymi im. Maxa Plancka w Bonn wpływ takiego doświadczenia jak kryzys finansowy na decyzje ekonomistów zależy jednak od tego, na którym etapie kariery je przeżyli.

– Zastanawialiśmy się, czy pracownicy sektora finansów uczą się tak, jak byśmy tego chcieli, biorąc pod uwagę wszystkie dostępne dane w sposób obiektywny, czy też doświadczenia osobiste mają na to wpływ. Szczególnie skupiliśmy się na tym, jak doświadczają przeszłości – mówi „Tygodnikowi" dr Zwetelina Iliewa, współautorka badań.

Zespół przeanalizował odpowiedzi z ankiet niemieckich prezesów i dyrektorów finansowych spółek, analityków giełdowych, skarbników, managerów funduszy. Wynika z nich, że ekonomiści dalecy są od filozoficznego ideału *Homo oeconomicus*, czyli człowieka podejmującego czysto racjonalne decyzje. – Wyolbrzymiają znaczenie tego, co sami doświadczyli. Jest to zgodne z wynikami badań psychologicznych. Znaczenie ma to, czy przeczytaliśmy o czymś w książce, zobaczyliśmy w statystykach, czy sami przeżyliśmy. To ostatnie zostawia w nas dużo silniejsze wspomnienia – wyjaśnia Iliewa.

Naukowcy podzielili doświadczenia, które przeżywali badani, na domenę życiową i zawodową (czyli okres, gdy aktywnie pracowali w branży finansowej). – Najważniejsze są pierwsze lata pracy zawodowej, gdy jesteśmy nowicjuszami na rynkach finansowych – mówi Iliewa. Z badania wynika, że przeciwnie jest w domenie życiowej, gdzie z reguły zwracamy największą uwagę na wydarzenia z ostatnich lat.

– Osoba, której ekonomiści doradzają, nie ma jak odkryć ich uprzedzeń. Możemy je zobaczyć dopiero dzięki skomplikowanym metodom ekonometrycznym. I to jest problem. Nie to, że analitycy są nieprecyzyjni, ale to, że ich nieprecyzyjność jest tak trudna do wykrycia – dodaje Iliewa.

– Mój pierwszy rok pracy w banku (2008), zanim trafiłam na uczelnię, to była katastrofa – wspomina współautorka badania. – Giełda spadła o 30 proc. Porównaj kogoś takiego jak ja z kimś, kto zaczął pracę w 2010 r. Taka osoba nie doświadczyła kryzysu w taki sposób jak ja. Była na studiach, przygotowywała się do pracy, czytała o tym. Przeżyła to w swojej domenie życiowej, ale nie zawodowej. Wreszcie mamy trzecią osobę, która zaczęła pracę w latach 80. i tego kryzysu doświadczyła na wyższym stanowisku. I ona przeżywa te same wydarzenia, ma te same informacje, ale w przypadku osób, które przeżyły kryzys w domenie zawodowej, lecz mają dłuższy staż, takie wydarzenia wywierają znacznie mniejszy wpływ niż u tych, którzy znajdują się na początku kariery.

Ekonomiści, którzy zaczynali karierę w trakcie hossy, będą skłonni podejmować większe ryzyko. Ci, którzy zaczynali w czasie kryzysu, będą bardziej ostrożni. Trudno jednak powiedzieć, komu lepiej powierzyć swoje pieniądze: – Pierwszy zapewne przeinwestuje, ten drugi zainwestuje za mało – mówi Iliewa. – Twoja decyzja powinna wynikać z twoich preferencji w podejmowaniu ryzyka. Nie ma lepszego i gorszego wyjścia. ©

ZWETELINA ILIEWA: *Finansiści biorą pod uwagę rzeczy, które powinni ignorować. Ich osobiste przeżycia często wpływają na treść analiz i porad.*

ARCHIWUM PRYWATNE

KULTURA

MAM JEDNO PYTANIE

MARTIN POLLACK, PISARZ I REPORTER:

W końcu zjawia się pragnienie, żeby „oczyścić” świat wokół siebie. Najlepiej, żeby obok mieszkali tylko podobni do mnie. Stąd już niedaleko do okrucieństwa.

GRAŻYNA MAKARA

WOJCIECH BONOWICZ: O czym myślisz, kiedy budzisz się rano?

MARTIN POLLACK: W ostatnim czasie – głównie o chorobie. Bo na ogół albo coś mi dolega, albo czekam na kolejną wizytę u lekarza. Mnie samego to nudzi, wiesz? W normalnym czasie myślałbym o kolejnej książce. O osobach, które w niej występują, o tym, jaki powinien być następny rozdział i czy mam dość materiału, czy powinienem szukać dalej.

W rozmowie z Katarzyną Bielas mówisz, że odkąd poznałeś przeszłość swojego biologicznego ojca, przestałeś dobrze sypiać.

Przestałem. I to mi zostało. Generalnie mam problemy ze snem.

Wiesz, dlaczego pytam? Bo dziś w nocy śniła mi się wojna: szedłem w grupie uchodźców, ukrywałem się z nimi, w pobliżu była jakaś egzekucja. I można to prosto wyjaśnić: cały poprzedni dzień spędziłem nad Twoimi książkami. A Tobie sceny, które opisujesz, czasami się śnią?

Tak. Choć częściej nie tyle sceny, ile osoby. Na przykład bardzo często rozmawiam z moim dziadkiem, Rudolfem Bastem. Dziadek zmarł w 1960 roku. W dzieciństwie był dla mnie bardzo ważną osobą, spędzałem z nim dużo czasu, dopiero po latach odkryłem, że był zdeklarowanym nazistą. Rozmawiam też z innymi członkami mojej rodziny, także tymi, których nie poznałem osobiście, ale którzy występują w moich książkach.

I o czym rozmawiacie?

Niestety, kiedy się budzę, zapominam, o czym. Możliwe, że pytam ich o różne sprawy dotyczące czasów, o których piszę. W końcu to oni tam byli, nie ja. W każdym razie dzięki tym snom stają się dla mnie bardziej konkretni. Widocznie chcę mieć z nimi kontakt, skoro się zjawiają.

Kto jeszcze przychodzi oprócz dziadka?

Wujek Guido, jego siostrzeniec. Kilka razy w życiu go spotkałem, nie mogę powiedzieć, żebym go znał. Ale w snach przychodzi dość często. To jest postać, która mnie intryguje. On był pół-Żydem, bo siostra mojego dziadka poślubiła w Zagrzebiu żydowskiego handlarza drewnem, który przeszedł na protestantyzm. Mieli córkę i syna, i ten syn, wujek Guido, który wedle ustaw norymberskich był „żydowskim mieszańcem pierwszego stopnia”, stanął po stronie chorwackich ustaszy. Dlaczego? Nie wiem, nie udało mi się tego ustalić. Czy próbował w ten sposób przeżyć? Czy naprawdę stał się nazistą? Zapewne o to pytam go we śnie. Nie pamiętam, co odpowiada, ale dzięki snom widzę go wyraźniej.

Zdarzyło się, że pod wpływem snu wpadłeś na jakiś pomysł? Na przykład – że gdzieś jeszcze trzeba poszukać kolejnych śladów?

Pod wpływem samych snów nie. Ale często bywało tak, że kładłem się do łóżka i tam, leżąc, nadal pisałem książkę. Oczywiście tylko w myślach, niczego nie notując. Nieraz mijały dwie godziny, a ja wciąż „pisałem”. To nie było zbyt dobre, ale czasem pomagało uporządkować wątki, zobaczyć, gdzie jakiegoś elementu brakuje. Bywało, że w końcu wstawałem i zaczy-

Kraków, 2012 r.

nałem robić notatki. Bez tego wszystko byłoby stracone.

A czy przychodzą do Ciebie w snach ludzie ze zdjęć, które od lat zbierasz?

Przychodzą. Pewnie dlatego, że tym zdjęciom poświęcam bardzo dużo czasu. Nieraz siedzę nad jednym zdjęciem kilka godzin pod rząd, rozważam każdy detal. Próbuję ustalić, kiedy i gdzie zostało zrobione, kogo może przedstawiać, jakich wydarzeń dotyczy. Bywa, że niczego nie jestem w stanie stwierdzić z całą pewnością. Ale zdarza się też, że nagle błyśnie mi jakaś myśl – np. wtedy, kiedy leżę już w łóżku – i zagadka jest rozwiązana. To jest bardzo intensywny kontakt. Nic dziwnego, że potem te zdjęcia wracają.

Ile archiwalnych zdjęć zgromadziłeś?

Parę tysięcy.

Według jakiego klucza?

Najważniejszy jest zbiór poświęcony Galicji. Czterdzieści lat temu zdjęcia, które się w nim znalazły, można było kupić za bezcen. Teraz są bardzo drogie. Ten zbiór jest zamknięty, już go nie uzupełniam.

Drugi zbiór to są zdjęcia związane z historią mojej rodziny. Właściwie do każdej książki tworzę osobną kolekcję. Kiedy zaczynam pracę, to szukam fotografii, ↦

MARTIN POLLACK (ur. 1944) jest austriackim tłumaczem, pisarzem i reporterem. Przełożył na niemiecki większość książek Ryszarda Kapuścińskiego. Za książkę „Śmierć w bunkrze" otrzymał Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus. Jest także laureatem Nagrody im. Karla Dedeciusa przyznawanej najlepszym tłumaczom literatury polskiej na niemiecki i niemieckiej na polski. W 2017 r. otrzymał Nagrodę Dialogu za zasługi w rozwoju stosunków polsko-niemieckich. Właśnie ukazała się po polsku jego książka „Kobieta bez grobu. Historia mojej ciotki".

↦ które mogłyby ją zilustrować. Nawet na rodzinne zdjęcia muszę wtedy spojrzeć jakby na nowo. Bardzo to lubię.

Czasem jakieś zdjęcia albo dokumenty trafiają do mnie, kiedy książka jest już opublikowana. Dwa dni temu dostałem archiwalną pocztówkę zaadresowaną do jednego z bohaterów mojej ostatniej książki – „Kobieta bez grobu". Ona się teraz ukazuje po polsku, ale w Austrii jest już w sprzedaży od przeszło roku. Ktoś, kto ją przeczytał, przypadkowo trafił na pocztówkę, której adresatem był Karl Warmbrunn, adwokat z Amstetten.

Warmbrunn był pangermanistą i antysemitą, do partii nazistowskiej nie wstąpił tylko dlatego, że zmarł, zanim powstała. Prowadził kancelarię, w której w 1912 roku zatrudnił mojego dziadka. Pocztówka potwierdza, że był członkiem korporacji studenckiej o charakterze nacjonalistycznym; są tam pozdrowienia od jego kolegów i ich podpisy. Może to niewiele, ale potwierdza moje ustalenia.

Wiem, że masz też zbiór zdjęć przedstawiających egzekucje.

Ale to nie jest osobny zbiór. Chodzi o zdjęcia z okresu I i II wojny światowej. Tematem części z nich rzeczywiście są egzekucje: rozstrzelania, powieszenia. Zainteresował mnie w nich pewien powtarzający się motyw: niektórzy fotografujący się z powieszonymi dotykali ich ciał. Nie wiem, jaki był powód, czy to miało dla nich np. znaczenie magiczne. Ale to na pewno nie jest odruchowe, wyraźnie chcą dotknąć martwego ciała i uwiecznić ten fakt na fotografii.

Z I wojny światowej zachowało się wiele zdjęć dokumentujących okrucieństwa. Nie były robione przypadkowo. Niektóre miały cel propagandowy, inne robiono po prostu na sprzedaż. Byli ludzie, którzy je kolekcjonowali. Dotyczy to zwłaszcza zdjęć z Galicji, na których przedstawiano np. powieszonych Ukraińców czy Żydów. Dlaczego ci ludzie zbierali takie rzeczy? Nie wiem. Przecież żyli wśród podobnych okrucieństw, niemal codziennie widzieli nowe zbrodnie. A jednak z jakichś powodów te zdjęcia kupowali. Widać, że część z nich jest dziełem profesjonalnych fotografów. Zostały jako ważne świadectwa, ale ta mania kolekcjonowania jest dla mnie niezrozumiała.

Bywają też przejmujące zdjęcia prywatne. Jak fotografie esesmanów pozujących obok swoich ofiar. Ustawiali się na nich tak, jakby to były zdjęcia z wakacji. Czemu to robili? Przecież nie zamierzali ich chyba wysyłać swoim matkom i żonom?

Są całe albumy takich zdjęć. Nie sądzę, żeby pokazywali je żonom. Myślę, że oglądali je w ukryciu, może z kolegami, którzy przeżyli podobne rzeczy.

Jako pamiątkę z „męskiej przygody"?

Coś takiego. Ciekawe, że dzisiaj te zdjęcia są przedmiotem ożywionego handlu. Powiedziałbym nawet, że im okrutniejsze zdjęcie, im straszniejsze rzeczy pokazuje, tym wyższą cenę osiąga. Jest przy tym jeden warunek: musi to być oryginał, nie jakaś późniejsza odbitka. Oryginalny papier i inne szczegóły świadczące, że zdjęcie pochodzi z tamtego czasu, sprawiają, że zdjęcie osiąga cenę nawet dziesięciokrotnie wyższą. Jest w tym coś perwersyjnego.

Twoje książki apelują do nas: nie odwracaj wzroku, poczuj się odpowiedzialny za to, co opisuję. Historia może się powtórzyć.

Tak, taki jest mój zamiar. Ale jest jeszcze coś: ja sam czuję się bezsilny. Często nie rozumiem, o co chodzi, i muszę podzielić się z innymi tym, czego się dowiedziałem. Może ktoś mi to wyjaśni, np. jak członkowie mojej rodziny stali się zdolni do takich okrucieństw? Dlaczego większość z nich z przekonaniem wsparła nazistów? Byli normalnymi, sympatycznymi, ceniącymi życie ludźmi. Nie rozumiem tego. A ponieważ tego nie rozumiem, opisuję, jak umiem najlepiej, i czekam na reakcję.

Po opublikowaniu „Topografii pamięci" napisała do mnie kobieta mieszkająca we Włoszech. Opisała mi zdjęcie, które zrobiło na niej kiedyś ogromnie wrażenie. Przedstawiało młodego Niemca na krótko przed egzekucją. Zrobiono je w Czechosłowacji w 1945 roku. Jest rzeczywiście bardzo poruszające: ten chłopiec ma mniej więcej siedemnaście lat, nie wiadomo, czy jest winny czy nie, ale na pewno jest przerażony. Ta kobieta przeczytała „Topografię pamięci", bo miała nadzieję, że znajdzie odpowiedź, jak możliwe było okrucieństwo, które nie oszczędzało nikogo. Napisałem, że nie potrafię jej pomóc, że sam szukam odpowiedzi na to pytanie.

Moja żona czasem mówi: „Nie bądź takim Niemcem". Co znaczy: **nie zachowuj się jak twardziel.** Nie udawaj, że cię nie boli.

W książce „Kobieta bez grobu" znów wracasz do historii własnej rodziny. Ściślej – do historii rodziny Twojego biologicznego ojca, esesmana Gerharda Basta, która pozbawiła Cię przed laty spokojnego snu.

To jest trochę inna opowieść niż poprzednie. Do tej pory pisałem o moim ojcu, który był zbrodniarzem, i o innych moich krewnych, którzy te zbrodnie na różne sposoby usprawiedliwiali. Jeśli pisałem o ofiarach, to spośród Żydów czy Polaków. A teraz piszę o kimś, kto był ofiarą i jednocześnie był częścią mojej rodziny. Moja cioteczna babka Pauline została w Słowenii, bo przed wojną wyszła za Słoweńca i nie rozwiodła się z nim nawet wtedy, gdy takie małżeństwo oznaczało dla niej kłopoty. Została w 1945 roku aresztowana i wywieziona do obozu koncentracyjnego utworzonego na zamku Hrastovec. I tam wkrótce zmarła, nie wiadomo, w jakich okolicznościach, zapewne z wycieńczenia, bo panowały tam straszne warunki, a ona miała 70 lat. Nie była nazistką, nikomu nic złego nie zrobiła. Zapłaciła za to, że należała do rodziny, która miała takie sympatie.

To było dla mnie bardzo trudne – napisać, że również wśród moich krewnych znalazł się ktoś, kto był ofiarą.

Ale dlaczego trudne?

Bałem się reakcji w rodzaju: „A, mamy go! Ten Pollack to niby pisze, jaką to złą miał rodzinę, ale w gruncie rzeczy chce pokazać, że Niemcy też cierpieli". A przecież nie o to mi chodziło. Po prostu uważam, że trzeba opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, niczego nie pomijając.

Główny węzeł dramatyczny jest taki, że w rodzinie, która była generalnie pronazistowska, kara dosięgła jedyną osobę, która nie chciała mieć z nazizmem nic wspólnego.

To, co mnie w tej postaci zainteresowało, to fakt, że pozostała lojalna wobec swojego słoweńskiego męża. Mój dziadek, a także jego brat Ernst, również adwokat, na pewno nie byli zadowoleni z tego małżeństwa. Przypuszczam, że namawiali ją do rozwodu. Można to było łatwo przeprowadzić. Ale ona nie chciała. Dobrze żyła ze swoimi słoweńskimi sąsiadami, nie trafiłem na żadne świadectwo, które przedstawiałoby ją w złym świetle. Jak skończyła się wojna i zaczęto w Słowenii tropić Niemców, ona była jedyną z całej rodziny, która tam została. I dlatego zginęła.

Jak ją znaleźli?

Według wspomnień świadków przyszedł po nią bardzo młody chłopak z dużym karabinem. Wyglądało to nawet trochę komicznie. Znaleźć ją nie było trudno. Nazwisko „Bast" było wypisane wielkimi literami na domu, w którym mieszkała. Ten piękny, obszerny dom stał się dla niej pułapką.

Bastowie nie mieszkali w Słowenii od pokoleń. Mój pradziadek przyjechał tam w drugiej połowie XIX wieku z Nadrenii, ożenił się, kupił wspomniany dom i tuż za nim otworzył garbarnię. Był z tego domu bardzo dumny, podobnie jak później jego dzieci. Tüffer, czyli Laško, to było niewielkie miasteczko. Bastowie byli szanowani, bo prowadzili stabilny interes. Zresztą relacje między Niemcami i Słoweńcami na tamtych terenach były bardzo dobre. Zaczęły się psuć pod koniec XIX wieku.

Co było powodem? Ekonomia? Ideologia?

Chyba jednak ideologia. Stosunkowo młody nacjonalizm słoweński zderzył się z rodzącą się ideologią pangermańską. Życie codzienne toczyło się normalnie, ale stopniowo zaczęły się pojawiać rozmaite pola konfliktu, choćby sprawa języka, jakim posługiwano się w urzędach czy szkołach. W takim małym miasteczku to było oczywiście słabiej odczuwalne. Mój ojciec miał w Tüffer wielu przyjaciół wśród Słoweńców. Nawet w czasie wojny, kiedy przyjeżdżał w mundurze esesmana. Nie myślało się wtedy w kategoriach: ten jest Niemiec, a ten Słoweniec. Mówiło się: to jeden z naszych. Bastowie byli wciąż postrzegani jako „nasi".

Już na samym początku książki wspominasz, że dziadek nigdy o swojej siostrze nie opowiadał. Zresztą o innych siostrach też nie – ani on, ani jego brat Ernst. To dziwne, bo przecież przedstawiali siebie jako ofiary wojny i śmierć siostry mogłaby im posłużyć jako argument wspierający tę tezę.

W Austrii niektórzy mnie pytają: co się dzieje w Polsce? Jak to możliwe? I co mam im odpowiedzieć? **To są przecież „moi Polacy".**

Myślę, że wynikało to z ich stosunku do kobiet w ogóle. To był świat męski, patriarchalny, kobiety się nie liczyły. Pradziadek miał czterech synów i cztery córki. Ale oczywiście do gimnazjum – a potem na studia – poszli jedynie synowie (trzej, bo jeden wcześnie zmarł), córki natomiast skończyły szkołę powszechną i na tym koniec. Listy, jakie rodzeństwo ze sobą wymieniało, dowodzą, że ich relacje były serdeczne, nawet czułe. Zarówno mój dziadek, jak i wujek Ernst bardzo lubili Pauline. Ale to nie miało wpływu na to, w jaki sposób patrzyli na świat. Ja przez długi czas w ogóle nie wiedziałem, że mieli jakąkolwiek siostrę. A przecież chętnie wracali wspomnieniami do Tüffer, często opowiadali o rodzinnym domu. Tyle że o siostrach nie było tam ani słowa.

Duży wpływ na ich postawę wywarły wspomniane korporacje studenckie. To była „męska zabawa", kobiety nie odgrywały tam żadnej roli, chyba że dekoracyjną. Pamiętam, że wujek Ernst, u którego często mieszkałem jako dziecko, jeszcze wiele lat po wojnie jadał posiłki samotnie. Miał duże mieszkanie, z obszerną jadalnią, ale jadał sam, co najwyżej w towarzystwie psa. Jego żona i my wszyscy spożywaliśmy posiłki w kuchni. Nie dlatego, że małżeństwo było pokłócone, tylko taki był porządek. Bardzo patriarchalny.

To, że kobiety nie mogły się kształcić, chroniło je przed fascynacją nazizmem. Jedyna nazistka, która pojawia się w Twojej książce, to Elsa Perbel, która prowadziła kancelarię Twojego wuja.

To ciekawa postać. Była Słowenką, córką małorolnego chłopa. Zdobyła bardzo solidne wykształcenie w szkole handlowej w Marburgu i stała się wręcz fanatyczną zwolenniczką Wielkich Niemiec. Zmieniła nawet swoje rodowe nazwisko, żeby brzmiało bardziej niemiecko.

Rzeczywiście, pójście na studia w tamtym czasie wiązało się z takim ryzykiem. W przypadku mężczyzn, którzy wstąpili do korporacji, było to niemal regułą. Przynależność do korporacji stanowiła prostą drogę do nazizmu.

Pauline Bast wydaje się postacią nieszczególnie barwną ani skomplikowaną, zwłaszcza na tle innych członków rodziny. A jednak czuć, że jesteś nią zafascynowany. Co Cię w niej pociąga?

To była prosta kobieta, która właśnie dzięki tej prostocie – i sile charakteru – oparła się pokusie, której nie oparli się inni. Oczywiście, nie mogę powiedzieć, że była przeciwna, że była „anty". Nie, tak nie było. Ale kiedy np. w listach pisała: „Heil Hitler!", to umieszczała te słowa zawsze na marginesie, w cudzysłowie, jakby chciała zaznaczyć: to nie jest moje, wiem, że tak trzeba, ale ja się z tym nie utożsamiam. Słoweńscy historycy zwrócili mi uwagę, że nie wstąpiła też do działającego na terenie Dolnej Styrii Związku Ojczystego, choć wielu Niemców doń wstępowało. Pozostała wierna mężowi i w ten sposób go ochroniła. On był organistą, pracował dla Kościoła katolickiego; gdyby się z nim rozwiodła, nie wiadomo, jak potoczyłyby się jego losy.

Ze wspomnień mieszkańców wynika, że w czasie wojny rzadko opuszczała dom, widywano ją najczęściej w oknie. Ale dla tych, którzy mieli z nią kontakt, była bardzo dobra, pomagała im, jak umiała. Była zamknięta, trochę wycofana, ale kiedy przyszedł moment próby, umiała powiedzieć „nie", mimo że bracia na pewno na nią naciskali.

Historia rodziny Bastów pokazuje, że na popularność nazizmu miało wpływ wiele czynników. Bardzo ważną rolę odegrała szkoła i nauczyciele. Niektórzy z nich nie byli nazistami, ale głosili idee pangermańskie, antysemickie, czasem antysłowiańskie. Potem były korporacje, które wzmacniały te idee i dodawały nowe. Z tych korporacji wychodzili później prawnicy, lekarze, ludzie, których szanowano i z których zdaniem się liczono. To charakterystyczne, że wielu ↦

↦ prawników – tak jak mój dziadek czy wuj – stanęło po stronie Hitlera.

Jak się czyta Twoje książki, to nieuchronnie rodzą się pytania o to, co dzieje się obecnie. Czy w Europie mamy powody, żeby obawiać się powrotu tych demonów? Czy nacjonalizmy są dziś na tyle silną propozycją, że mogą znów porwać za sobą tłumy?

Myślę, że ten powrót już stał się faktem. Nie wiem, do czego doprowadzi, ale na pewno jest groźny. To się zaczyna od języka: mówi się o wielkim narodzie, zaczyna używać antysemickich czy ksenofobicznych haseł. To dotyczy nie tylko Węgier czy Polski, ale również Austrii czy Niemiec. Wszędzie odżywają stare narracje.

Gdzieś na początku są idee, które wielu z nas uznałoby za szlachetne. A potem, niemal niezauważalnie, to się zmienia w coś niebezpiecznego: piętnowanie obcych, tropienie wewnętrznych wrogów, ożywianie resentymentów.

Aż w końcu zjawia się pragnienie, żeby „oczyścić" świat wokół siebie. Najlepiej, żeby obok mieszkali tylko tacy, którzy są podobni do mnie. Historia dowodzi, że stąd już niedaleko do okrucieństwa. Że granica jest bardzo cienka. Nie wiadomo, czy ten kryzys, który teraz mamy, wyhamuje te tendencje, czy przeciwnie. Ale ja nie widzę powodów do optymizmu.

Wydaje mi się, że w tym, co sam robiłeś przez lata, miałeś przynajmniej dwa cele: żeby zachód Europy przyjrzał się uważniej samemu sobie – co tam gdzieś pod spodem może się kryć – i żeby równocześnie starał się poznać i zrozumieć wschód.

Niestety, mam poczucie, że niewiele udało mi się zrobić. Dziś w Austrii niektórzy mnie pytają: co się dzieje w Polsce? Jak to jest możliwe? I co mam im odpowiedzieć? To są przecież „moi Polacy". Więc mówię: „Słuchajcie, to wszystko ma swoją historię. Trzeba poznać historię tego kraju". Przecież to nie jest tak, że ktoś nagle wymyślił ten język. Prawica polska ma swoje korzenie, podobnie zresztą jak austriacka.

Nie spodziewałem się, że w Polsce będzie można coś jeszcze ugrać politycznie na resentymencie antyniemieckim. A można.

Dlatego jestem pesymistą. Bo widzę, że racjonalizm nie ma tu nic do gadania.

Piszemy książki, artykuły, jeździmy na spotkania do bibliotek i szkół. Ostrzegamy, ale te ostrzeżenia trafiają do bardzo wąskiej grupy i nie mają wpływu na wielkie procesy.

Czuję się coraz bardziej bezradny. Jestem stary, schorowany, leżę w łóżku i zadaję sobie dokładnie to samo pytanie: co jeszcze mógłbym zrobić? Nie piszę, nie jeżdżę na spotkania, ale czuję, że coś zrobić powinienem. Że nie wystarczy tylko zajmować się sobą.

A czy po tej książce możesz sobie wreszcie powiedzieć: uwolniłem się! Już nie muszę wracać do tych rodzinnych historii.

Nie, ta tematyka będzie ze mną do końca. Ciągle zjawiają się nowe wątki, a wraz z nimi nowe pytania. Ale czy będę jeszcze o tym pisał, nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

W 2013 roku wykryto u mnie raka prostaty, bardzo złośliwego. Przeszedłem operację, ale nowotwór pojawił się w innym miejscu. Znów była operacja, potem komplikacje. Przez jakiś czas miałem spokój, ale okazało się, że prostata znowu jest zaatakowana. I w tym roku musiałem ponownie dać się pokroić. Miałem dwie operacje w krótkim czasie, trzy razy byłem znieczulany, co spowodowało kolejne komplikacje. Cały kwiecień spędziłem w szpitalu, w zupełnej izolacji. To była gehenna. Miałem wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, no może poza koronawirusem.

Nie dalej jak tydzień temu znów podskoczyła mi gorączka. To było w nocy, w przeddzień urodzin mojej żony. Byliśmy na wsi, zdążyłem złożyć jej życzenia, ucałować, a potem do taksówki, bo trzeba było szybko jechać do Wiednia, do szpitala. Jestem zmęczony tymi nawrotami. Mam coraz mniej sił, by walczyć.

Choć kiedy zadzwoniłem do Ciebie, to usłyszałem w słuchawce: „Jestem kilka dni po zabiegu, jeszcze się nie wygoiłem. To kiedy się spotkamy?".

A co mam zrobić? Siedzieć i płakać? Od początku choroby byłem zdania, że trzeba starać się normalnie żyć.

Myślisz niekiedy o tym, że niektóre cechy Twoich przodków, jak upór czy odwaga – niezależnie od tego, co oni z nimi zrobili – pomagają Ci?

Moja żona czasem mówi: „Nie bądź takim Niemcem". Co znaczy: nie zachowuj się jak twardziel. Nie ukrywaj, co czujesz, nie udawaj, że cię nie boli. Więc chyba coś jest na rzeczy.

A myślałeś o tym, że Twoja choroba może być ceną za to, że dobrowolnie wystawiłeś się na silny stres, na emocje związane z odkryciami dotyczącymi ojca i innych członków rodziny?

Moim zdaniem między jednym a drugim nie ma żadnego związku. Nie jesteś pierwszym, który zadaje mi to pytanie, więc postanowiłem zapytać o to mojego lekarza. I on twierdzi tak samo: nie ma związku. Są zapewne jakieś przyczyny genetyczne, ale jakie, nie wiem. Ja się, szczerze mówiąc, nie bardzo interesuję swoją chorobą. Jak wracam z wizyty u lekarza, żona pyta, czego się dowiedziałem, a ja nie umiem nic powiedzieć. Dlatego teraz chodzi na wizyty ze mną.

To powiedz jeszcze, o czym myślisz, kiedy kładziesz się spać – skoro już nie „piszesz".

Najpierw myślę o tym, żeby wziąć lekarstwa. A potem się kładę albo siadam przed telewizorem, w ogóle nie patrzę, co tam jest, tylko próbuję się odprężyć. Próbuję przestać myśleć o tym, o czym rozmawialiśmy: o niepokojach, o problemach, o tym, co będzie ze światem. Także o własnej chorobie, chociaż, jak powiedziałem, ona mnie najmniej interesuje. Często nie udaje mi się tych myśli odegnać i wtedy nie śpię całą noc. Tak było ostatnio w szpitalu: przez pierwszy tydzień nie zmrużyłem oka.

A gdybyś mógł zadać światu, losowi, Bogu jedno pytanie, to jak by ono brzmiało?

Pytanie od wielu lat jest to samo: jak to było możliwe? Jak dobrzy, sympatyczni, normalni ludzie mogli dopuszczać się zbrodni i zgadzać się na zbrodnie? Jak uśmiechnięty, pogodny człowiek mógł być jednocześnie potworem? Jak to było możliwe – i jak to jest możliwe? To jest moje główne pytanie.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

KAZIMIERZ ŻDZIEBŁO / MATERIAŁY PRASOWE

Paweł Romańczuk (z lewej), założyciel zespołu Małe Instrumenty, i Mateusz Kołodziejczyk, uczestnik projektu Art Impossible, w pracowni Małych Instrumentów we Wrocławiu, wrzesień 2019 r.

Muzyka niemożliwa

JAN BŁASZCZAK

Małe Instrumenty od początku istnienia polemizują z tradycyjnym wyobrażeniem tego, czym jest wydawnictwo płytowe i muzyka w ogóle.

Ich najnowsza płyta nosi tytuł „Art Impossible", czyli „Sztuka niemożliwa". Taka deklaracja waży naprawdę dużo, gdy decyduje się na nią prowadzony przez Pawła Romańczuka zespół Małe Instrumenty. Ma on już na koncie album z kompozycjami Fryderyka Chopina przełożonymi na świat zabawkowych pianin i fortepianów (2010). Ma w swoim katalogu „Samoróbkę" (2013) – płytę skomponowaną na instrumenty i obiekty dźwiękowe skonstruowane w pracowni zespołu. Wydał też „Katarynkę" (2012), która sama w sobie jest tytułowym instrumentem, a na jej dnie skrywa się płyta CD.

Były to bez wątpienia „projekty niemożliwe", jednak dopiero teraz wrocławianie zdecydowali się na tytuł tak wyrazisty.

– Ta płyta jest dość nietypowa, jak na naszą działalność – przyznaje Romańczuk. – O ile którakolwiek z wcześniejszych może być uznana za typową.

Niezwykłość jest wpisana w DNA zespołu. Kiedy powstawał w 2006 r., jego ideą był zwrot w stronę brzmień niepozornych, oryginalnych, ograniczonych. Bo i owszem, instrumenty, po które sięgali, były niedoskonałe, ale w przeciwieństwie do ich bardziej profesjonalnych odpowiedników nieraz same podejmowały decyzje o ostatecznym kształcie wykonywanego utworu. To podzielenie się decyzyjnością muzyczną z narzędziem wpisuje się w filozofię amerykańskiego kompozytora Johna Cage'a, który zresztą sam zasłynął „Suitą na fortepian zabawkę". Wśród swoich inspiracji Romańczuk chętniej wskazuje na scenę francuską z Pascalem Comelade'em i zespołem Klimperei. Podkreśla też, że choć nieprzewidywalność wykorzystywanych przez zespół instrumentów jest istotna, to jego członkowie zawsze podchodzą z szacunkiem i zaangażowaniem do wykonywanych utworów. Zwłaszcza że początkowo pomysły Małych Instrumentów budziły pewne wątpliwości w środowisku kompozytorskim.

W 2009 r. nakładem Anteny Krzyku ukazał się album „Antonisz". Zarejestrowana w kultowym studiu Rogalów Analogowy płyta przybliżała mniej znane oblicze wybitnego twórcy eksperymentalnych filmów animowanych Juliana Józefa Antonisza – oblicze muzyczne. Zanim jednak autorskie interpretacje udało się zaprezentować szerszej publiczności, musiały one zostać zatwierdzone.

– Muzykę Antonisza nagrywaliśmy pod okiem specjalnego kuratora, który przyglądał się naszej twórczości – wspomina Romańczuk. – Był nim jego wieloletni współpracownik Marek Wilczyński. Chodziło o to, by mieć pewność, że jakiś zespół nie chce zrobić tej muzyce ↦

KAZIMIERZ ŻDZIEBŁO / MATERIAŁY PRASOWE

Dominika Putyra, uczestniczka projektu Art Impossible, w pracowni Małych Instrumentów we Wrocławiu, wrzesień 2019 r.

↦ krzywdy. Bardzo pilnowaliśmy zapisu nutowego i poprawnej jego interpretacji, choć same instrumenty nie dają możliwości, aby wszystko odbywało się zgodnie z literą zapisu. Nasze interpretacje uciekały więc w różnych kierunkach. Mam jednak wrażenie, że to dobrze zrobiło muzyce, która dzięki temu stała się bardziej spontaniczna i dostarczała nowych jakości.

Chopin według Duchampa

Małe Instrumenty znalazły się pod jeszcze większą presją, nagrywając swój drugi album. Zespół postanowił, że zmierzy się z dorobkiem samego Fryderyka Chopina. Utwory pisane z myślą o 88-klawiszowym fortepianie zostały sprowadzone przez Romańczuka i spółkę do zminiaturyzowanych form opracowanych na pianina i fortepiany zabawki.

– Bardziej delikatnych i ażurowych, ale jednocześnie pozbawionych potężnego brzmienia i skali fortepianu – przyznaje muzyk. Albumowi „Małe Instrumenty Grają Chopina" towarzyszyła napisana przez lidera grupy książka „Fenomen Toy Piano". Pracując nad nią, Romańczuk wszedł w posiadanie około 400 takich pianin i fortepianów.

W nagraniu chopinowskiego albumu obok lidera zespołu udział wzięli dwaj muzycy związani od lat z wrocławską sceną niezależną: Maciej Bączyk (m.in. Robotobibok, Pin Park, Kristen) i Paweł Czepułkowski (Kormorany, Karbido). Obecnie utwory z tego albumu Romańczuk wykonuje jednak w towarzystwie dwóch profesjonalnych pianistek: Iwony Sztuckiej i Justyny Skoczek. Wraz z pojawianiem się kolejnych płyt zgłębiających konkretne zagadnienia lub estetyki Małe Instrumenty stały się bowiem zespołem projektowym, zadaniowym.

Wynikało to również z rosnącej złożoności tej muzyki. Początkowo Romańczuk posługiwał się kluczem koleżeńskim, bo przecież i tak nie mógłby znaleźć wirtuozów specjalizujących się w grze na drobnych, wydających dźwięki przedmiotach i zabawkach. Nie oznaczało to jednak, że umiejętności techniczne zapraszanych wykonawców były bez znaczenia. Przeciwnie, Romańczuk powołuje się przy tej okazji na pogląd Marcela Duchampa: „*poor tools require better skills*". Myśl ta, po jej przełożeniu na język muzyki, brzmiałaby: instrumenty mające liczne ograniczenia wymagają nie lada umiejętności. Z tego też powodu uznał, że musi wymagać od swoich współpracowników również posługiwania się zapisem nutowym i interpretacji tak utrwalonych utworów. Sam też uczył się wszystkich tych instrumentów od podstaw. Swoją muzyczną edukację zaczynał bowiem jako kontrabasista – trudno o bardziej radykalną zmianę kategorii wagowej.

Gabinet muzycznych osobliwości

Jedną z cech spajających obszerną i bardzo różnorodną dyskografię Małych Instrumentów jest dbałość o aspekt wizualny. Od samego początku zespół czuł się świetnie na polu interdyscyplinarnych projektów audiowizualnych. Grupa co i rusz łączyła swoje muzyczne poszukiwania z filmem, animacją czy teatrem. Wrocławianie nie tylko nagrali album z utworami Antonisza, ale występowali również z Mariuszem Wilczyńskim, grali kompozycje reżysera Aleksandra Sroczyńskiego oraz współpracowali z młodymi twórcami z Dziecięcej Wytwórni Filmowej. W 2009 r. otrzymali nagrodę główną dla najlepszego wydarzenia Nurtu Off na 29. Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu za spektakl muzyczny „Elektrownia dźwięku". To opowieść o fikcyjnych sposobach przetwarzania brzmień małych instrumentów w światło.

O tym, że zespół przywiązuje dużą wagę do wizualności, świadczą także osobliwe formy, jakie przyjmują jego kolejne wydawnictwa.

– Same instrumenty mają na tyle atrakcyjną aparycję, że musielibyśmy je chować, żeby same nie zagrały swoim wyglądem dominującej roli w naszej działalności – przyznaje Romańczuk. – Ich wielorakość i wielobarwność powoduje, że wyglądają jak gabinet instrumentalnych osobliwości.

Instrumenty pojawiają się nie tylko na okładkach płyt, ale czasem także w środku. Dla Romańczuka istotne stało się, aby wydawnictwa zespołu były czymś więcej niż tylko nośnikiem. Stąd pomysły takie jak wspomniana już „Katarynka" czy „El Tango", które zawiera płytę w okładce przygotowanej w taki sposób, że do jej włączenia nie jest potrzebny ani dodatkowy odtwarzacz, ani nawet podłączenie do prądu.

– Nośnik w naszej kulturze przestał mieć znaczenie, do jakiego się przyzwyczaiłem – tłumaczy Romańczuk. – By przekonać słuchacza do zakupu fizycz-

nej płyty, powinna mieć ona atrakcyjną formę. Różnić się od cyfrowego pliku czymś więcej niż tylko formatem. Wydawnictwa Małych Instrumentów zaczęły więc stawać się unikatowymi obiektami, które trudno byłoby multiplikować np. za pomocą zdjęcia umieszczonego w internecie.

Podobnych założeń nie spełnia tegoroczne wydawnictwo, które dość łatwo byłoby przenieść w wymiar cyfrowy. A jednak to właśnie ono, a nie „El Tango" czy „Katarynkę", zespół określił mianem „sztuki niemożliwej".

Jakby coś pękło, jakby coś drapało

Zacznijmy od tego, że w przypadku „Art Impossible" nagranie płyty nie było celem samym w sobie. Album stanowi raczej zamknięcie eksperymentu, który Romańczuk wymyślił dwa lata wcześniej: – Zacząłem się zastanawiać, czy byłoby możliwe pozyskanie takiego katalogu decyzji estetycznych od osób, które na co dzień muzyką się nie zajmują – mało, być może w ogóle jej nie słyszą. Zwróciłem się do osób niesłyszących, by dać im trudne zadanie, polegające na wyciągnięciu ich wyobrażeń na temat świata dźwięku.

Dziesięcioro niesłyszących lub słyszących za pomocą aparatów słuchowych przedstawiło swoje **skojarzenia na temat dźwięku, muzyki i związanych z nimi emocji** w formie graficznej.

W rezultacie warsztatów prowadzonych przez Lenę Czerniawską dziesięcioro uczestników niesłyszących lub słyszących za pomocą implantów albo aparatów słuchowych przedstawiło swoje skojarzenia na temat dźwięku, muzyki i związanych z nimi emocji w formie graficznej. Każdy z uczestników przygotował dziesięć takich partytur.

– Dla mnie muzyka musi robić hałas – mówi Dominika Trębicka, która jest osobą niedosłyszącą i na co dzień posługuje się aparatem słuchowym. – Najbardziej relaksuje mnie muzyka o mocnym brzmieniu. Jeśli słyszę perkusję i gitarę elektryczną, to jestem w domu. To jest brzmienie, które mnie opisuje i mi odpowiada.

Choćby ze względu na różnice w skali ubytku słuchu prace będące punktem wyjścia dla „Art Impossible" mają bardzo indywidualny charakter.

– Pojawiają się tu jednak elementy, które nas łączą – zauważa Trębicka. – Symbol ucha lub przekreślony głośnik. Wiem, że nie wszyscy moi przyjaciele słyszą muzykę, ale wszyscy ją czują.

Jedną z takich osób jest Izabela Lindner: – Tak ogólnie to wcale nie słyszę, ale nie przeszkadza mi to w odczuwaniu przyjemności płynącej z muzyki. Mam moje ulubione artystki, których biografie dobrze znam. ↦

Domowe lekcje czytania

Czas kwarantanny wywrócił do góry książkami nasze terenowe „Lekcje czytania" i zmusił do zmiany formuły warsztatów na spotkania online.

Cieszymy się ogromnie, że nie zabrakło Państwu chęci do wspólnej lektury i uczestniczenia w naszych środowych dyskusjach z dyrektorem programowym Festiwalu Conrada Grzegorzem Jankowiczem – jednorazowo w zdalnych „Domowych lekcjach czytania" brało udział nawet 200 słuchaczy.

Przez te kilka tygodni kwarantanny czytaliśmy między innymi: „Pasażera" Olgi Tokarczuk, „Nieśmiertelnego" Jorgego Luisa Borgesa, „Szkatułkę" Doris Lessing, „Szynel" Mikołaja Gogola, „Spotkanie" Flannery O'Connor, „Historię Kukułki" Josefa Škvoreckiego, „Wybryk natury" Margaret Atwood, „Przy moście nad Sowim Potokiem" Ambrose'a Bierce'a, „Hammerklavier" Yasminy Rezy, „Było to jakiś czas temu, o, tak" Roberta Walsera oraz – podczas ostatniego naszego spotkania w tym roku szkolnym – „Autoportret w wypukłym lustrze" Johna Ashbery'ego. Teksty udostępnialiśmy na facebookowym profilu „Lekcji czytania" dzięki uprzejmości i pomocy wydawnictw publikujących wybranych autorów.

W tym czasie na profilu „Lekcji..." przybyło wiele osób zainteresowanych udziałem w naszych spotkaniach – jest nas teraz ponad 1700!

Do zobaczenia w sezonie jesiennym – mamy nadzieję, że także na żywo!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · SALESmanago marketing automation · fanpay · /LekcjeCzytania

W partyturach namalowanych przez Lindner przeważają abstrakcyjne figury geometryczne i linie: – Uwielbiam oglądać występy artystów rockowych czy R&B, gdzie przeważnie są mocne basy. Tę muzykę wyobrażam sobie w postaci figurek czy linii. Czasem mogę nawet wyczuć emocje w głosie i to są te zgrzyty na liniach. Jakby coś pękło, jakby coś drapało.

Lider Małych Instrumentów zebrał sto graficznych zapisów przygotowanych przez uczestników warsztatów. Przedyskutował je z nimi i wyposażony w obraz oraz opis przystąpił do nagrywania. W rezultacie powstało sto muzycznych próbek. Autorskich tłumaczeń z języka obrazu na język dźwięku.

– To duża odpowiedzialność, bo moja obecność nie pozostawała bez znaczenia. Sam fakt posługiwania się zasobem Małych Instrumentów pozycjonuje tę muzykę – to nie będzie rock, jazz czy orkiestra symfoniczna. Dobór instrumentów i ostateczny rodzaj interpretacji tych partytur graficznych w dużym stopniu zależały ode mnie. Tym bardziej, że niektórzy twórcy partytur dawali mi tylko bardzo ogólne wskazówki. Aby nadać ich pracom kształt muzyczny, musiałem podejmować autorskie decyzje. Ostatecznie jestem po prostu jednym z ogniw tego eksperymentu – tłumaczy.

Nasiąkanie dźwiękiem

„Art Impossible" nie skończyło się jednak wraz z zarejestrowaniem stu takich miniaturek. Romańczuk zaangażował do tego projektu także osoby niewidome. Każda z nich otrzymała dziesięć nagrań, na podstawie których miała skomponować własny utwór: – W związku z tym powstały takie duety: jedna osoba niesłysząca, która przygotowała dziesięć partytur graficznych, i jedna niewidoma, która na podstawie interpretacji muzycznych tych notacji ułożyła strukturę muzyczną.

Katarzyna Bosak skomponowała ostatni utwór na płycie „Art Impossible". Przyznaje, że o twórczości Romańczuka nie miała wcześniej pojęcia, a dźwięki, które od niego otrzymała, były dla niej sporą niespodzianką. Początkowo podejrzewała, że są one wytworzone komputerowo, ponieważ nie wyobrażała sobie, jaki instrument mógłby je wywołać. Wątpliwości szybko rozwiała wizyta w pracowni zespołu.

– Paweł pokazał mi instrument i powiedział, żebym spróbowała wydobyć z niego dźwięk – wspomina Bosak. – I nagle rozległo się coś przypominającego szum fal. Puszczałam mu więc po kolei każde z nagrań i pytałam: co to jest, czym to wydobyłeś? Miałam niesamowitą przyjemność poznać i pobawić się tymi dźwiękami podczas składania mojego utworu, ale także własnoręcznie, w pracowni Małych Instrumentów.

Do pracy nad swoim utworem Katarzyna Bosak podeszła bardzo poważnie. Przyznaje, że po tym, jak Romańczuk wysłał jej nagrania około godziny 22.00, słuchała ich na okrągło do trzeciej, może nawet czwartej w nocy. Nasiąknęła tą muzyką i przez następne dni bardzo intensywnie nią żyła: – Każdego ranka, kiedy tylko się budziłam, układałam sobie te dźwięki w głowie. Nakładałam je na siebie i wyobrażałam sobie, czy będą pasować, czy zgrają się rytmicznie. Puszczałam je sobie jednocześnie z telefonu, komputera i odtwarzacza i sprawdzałam, jak to mniej więcej będzie brzmiało. W ten sposób tworzyłam notatki, z których korzystałam, kiedy już z mamą – będącą moimi oczyma – sklejałyśmy i miksowałyśmy mój utwór.

W jednym z nagrań niewidoma współtwórczyni „Art Impossible" momentalnie wyczuła ciężkość i jakieś napięcie. Bardzo zależało jej, aby oddać je w ostatecznej wersji utworu. Podczas wystawy poruszyła ten temat w rozmowie z Romańczukiem i autorką graficznych partytur: – Okazało się, że ten ciężar, który wyczuwałam, rzeczywiście tam był. Pojawił się już na poziomie partytury i dotyczył trudności związanych z dysfunkcją słuchu.

Jeśli tak było, oznaczałoby to, że za sprawą „Art Impossible" osoba niewidoma usłyszała obraz namalowany przez osobę z dysfunkcją słuchu. Niemożliwe?

© JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Gospodynie i damy

JAKUB MAJMUREK

Oto dwie telewizyjne produkcje, które przestrzegają przed naiwną wiarą w to, że polityczny i społeczny postęp jest czymś koniecznym i nieuniknionym.

W marcu 1972 r. amerykański Kongres przyjmuje poprawkę do konstytucji zakazującą dyskryminacji ze względu na płeć. Poprawka – Equal Rights Amendment (ERA) – ma poparcie obu partii oraz republikańskiego prezydenta, Richarda Nixona. Politykom i komentatorom wydaje się, że konieczna do wpisania poprawki do konstytucji ratyfikacja przez 38 stanów w przeciągu siedmiu lat jest czystą formalnością.

Szybko okazuje się, że ERA prowokuje oddolny opór, którego skala zaskakuje elity. Jego główną rzeczniczką staje się konserwatywna działaczka z Illinois, Phyllis Schlafly. Od zera buduje ruch społeczny grupujący głównie konserwatywne gospodynie domowe z przedmieść. ERA to dla nich zagrożenie dla amerykańskiej rodziny i przywilejów kobiet zajmujących się domem i dziećmi. Akcja Stop ERA odnosi sukces – po siedmiu latach poprawkę ratyfikuje tylko 31 stanów.

Cztery dekady później, w 2016 r., Hillary Clinton jako pierwsza kobieta w historii zostaje kandydatką jednej z dwóch głównych partii na urząd prezydenta. Liberalne media są przekonane, że po pierwszym czarnoskórym prezydencie czas na kobietę w Białym Domu. Choć prawie wszystkie sondaże wskazują na zwycięstwo Clinton, to kandydatka Demokratów przegrywa w kilku kluczowych stanach z Donaldem Trumpem, co gwarantuje mu prowadzenie w głosach elektorskich i prezydenturę. Marnym pocieszeniem

SABRINA LANTOS / FX / HBO

Cate Blanchett jako Phyllis Schlafly w serialu „Mrs. America"

jest to, że w głosowaniu powszechnym Trump przegrywa różnicą blisko trzech milionów głosów.

Obie te historie portretują dostępne od niedawna w Polsce telewizyjne produkcje. Postać Schlafly przybliża fabularny serial „Mrs. America" (HBO), polityczną biografię Clinton czteroodcinkowy dokument „Hilary" Nanette Burstein (Player ITI).

Odczarować drugą stronę

Dla z reguły lewicowo-liberalnych twórców telewizji Phyllis Schlafly z pewnością nie jest materiałem na pozytywną bohaterkę amerykańskiej historii. Twórcy „Mrs. America" dokładają jednak starań, by wydobyć paradoksy postaci i pozwolić widzom sformułować własny osąd.

W roli Schlafly świetnie obsadzona została Cate Blanchett. Jej kreacja to nie tylko popis aktorskiego warsztatu – Blanchett sprawia, że postać zyskuje ludzki wymiar, a czasem nawet sympatię widzów. Każdy odcinek skonstruowany jest jak partia szachów, pojedynek między Schlafly a jedną z działaczek ruchu kobiecego lat 70. – narracja równolegle pokazuje to, co dzieje się w podmiejskim Illinois, w salonach Nowego Jorku i w waszyngtońskich gabinetach władzy. Niejednokrotnie patrząc na to, jak protekcjonalnie Phyllis jest traktowana przez elity ruchu kobiecego – ale też swojej własnej partii – zaczynamy jej kibicować.

Centralny paradoks Schlafly polega na tym, że konserwatywna aktywistka wydaje się mieć o wiele więcej wspólnego z feministkami niż gospodyniami domowymi stanowiącymi zaplecze jej ruchu. Choć przedstawia się jako przeciętna amerykańska żona i matka ze Środkowego Zachodu, to pieniądze męża – prawnika z prosperującą kancelarią – dają jej komfort życia niedostępny zwykłym Amerykankom.

Schlafly co prawda wychowała szóstkę dzieci i nigdy nie pracowała na etacie, jednak przestrzenią, gdzie naprawdę się realizuje, nie jest dom, tylko polityka. Phyllis kandyduje do Kongresu, jest aktywną działaczką Partii Republikańskiej. Zabiera regularnie głos w sprawach polityki obronnej, jej opublikowany własnym nakładem pamflet „A Choice Not an Echo" pomaga zdobyć prezydencką nominację Republikanów w 1964 r. Barry'emu Goldwaterowi – uważanemu wcześniej za polityka z marginesu partii.

Serial pokazuje też, że Phyllis ma o wiele więcej wspólnego z kobiecymi doświadczeniami opisywanymi przez feminizm drugiej fali, niż byłaby skłonna przyznać. Choć każde swoje publiczne wystąpienie zaczyna, dziękując mężowi za to, że pozwolił jej wyjść z domu („bo to zawsze prowokuje liberałów"), to jej małżeństwo nie jest wolne od napięć i konfliktów, a pan Schlafly źle znosi rosnącą rozpoznawalność żony. Phyllis ciągle powtarza, że żadna równościowa poprawka nie jest potrzebna, bo kobiety, jeśli tylko chcą, mogą spełniać się zawodowo – a przy tym jesteśmy świadkami, jak wiele wysiłku ona sama musi włożyć w to, by być traktowaną poważnie.

Część recenzentów miało pretensje, że „Mrs. America" za bardzo wygładza wizerunek Schlafly – przemilczając np. jej długotrwały sprzeciw wobec postulatów ruchu praw obywatelskich czy członkostwo w skrajnie prawicowym, antykomunistycznym John Birch Society.

Nie przekonują mnie podobne zarzuty. Serial poddający Schlafly sądowi współczesnej liberalnej wrażliwości byłby zwyczajnie nieznośnie nudny. „Mrs. America" zamiast straszyć swoją liberalną widownię postacią Schlafly, odczarowuje ją. Phyllis nie jest tu ani zniewoloną przez fałszywą świadomość ofiarą patriarchatu, ani wcieleniem zła, ale racjonalnym politycznym podmiotem, ze zrozumiałymi ambicjami, symbolicznymi i materialnymi interesami. ↦

BARBARA KINNEY / HULU / MATERIAŁY PRASOWE

Hillary Clinton na wiecu wyborczym w 2015 r. Kadr z serialu dokumentalnego „Hillary".

Od Stop ERA do ery Trumpa

↦ Jednocześnie w „Mrs. America" widzimy, jak toksyczna potrafi być polityka Schlafly – czego skutki amerykańska sfera publiczna odczuwa do dziś. „Atlantic" zatytułował swoją recenzję serialu „Wszyscy żyjemy w Ameryce Phyllis Schlafly". Nie bez racji: w granej przez Blanchett postaci możemy dostrzec matkę chrzestną politycznych wojen kulturowych, które od kilku dekad definiują politykę nie tylko za oceanem.

Serialowa Schlafly podejmuje ich sztandar w zasadzie z przypadku, przede wszystkim dlatego, że mało kto chce jej słuchać, gdy mówi o „komunistycznym zagrożeniu" albo zbyt uległej wobec Sowietów polityce Nixona. Dopiero jako liderka ruchu kobiet przestraszonych zmianami, jakie niesie druga fala feminizmu, Schlafly staje się partnerką dla konserwatywnych polityków, zachwyconych perspektywą wyborczej mobilizacji do tej pory niezainteresowanych polityką mieszkanek przedmieść.

Ruch Stop ERA jest autentycznie oddolny i demokratyczny, a przy tym działa przeciw kulturowej demokratyzacji życia społecznego, której warunkiem jest podstawowa równość między płciami. Stop ERA twórczo przetwarza narzędzia feministycznego aktywizmu dla konserwatywnych celów, wyprowadza kobiety z domów na arenę politycznego sporu po to, by ostatecznie pozostały w przestrzeni domowej. Te paradoksy nie odbierają jednak inicjatywie Schlafly siły: nie tylko powstrzymuje ERA, ale także zmienia amerykańską politykę, organizując ją wokół tak rozpalających emocje i polaryzujących kwestii jak społeczny kontrakt płci, kształt rodziny, seksualność, prawa reprodukcyjne.

„Mrs. America" jest też opowieścią o tym, jak skrajności przejęły niegdyś umiarkowaną Partię Republikańską. Phyllis dla zatrzymania ERA buduje pozornie egzotyczną i marginalną polityczną koalicję. W jej ruchu jest miejsce na radykalny antykomunizm; rasistowskie Południe z jego językiem „obrony praw stanów"; libertarianki niechętne temu, by „pieniądze podatników" wydawane były na „promowanie feministycznej ideologii"; populistyczny język nieufności do elit, wreszcie fundamentalizm religijny różnych odcieni: od ewangelicznego chrześcijaństwa, przez ortodoksyjnych żydów, po mormonów.

Ta koalicja wynosi do władzy Reagana, podobna staje w 2016 r. za Trumpem. Dzień po śmierci Schlafly, we wrześniu 2016 r., do księgarń trafiła zresztą jej ostatnia książka, wzywająca konserwatywną opinię publiczną do poparcia miliardera w wyborach prezydenckich. „Mrs. America", czasem może zbyt ostentacyjnie, przedstawia Schlafly jako „matkę chrzestną" Trumpa. Tak jak obecny prezydent, Phyllis to polityczka-celebrytka, mistrzowsko rozgrywająca media i wykorzystująca oburzenie liberalnych elit dla własnych korzyści. Tak jak Trump, gdy jest jej to polityczne wygodnie, po prostu konsekwentnie zaprzecza faktom i mija się z prawdą. Wreszcie, podobnie jak obecny amerykański prezydent, mistrzowsko potrafi politycznie zagospodarować lęk o przyszłość tych wszystkich, którzy czują, że firmowane przez elity zmiany stanowią zagrożenie dla ich statusu i stylu życia.

Niekochana Hillary Clinton

Gdy Schlafly wyrusza na swoją krucjatę przeciw ERA, Hillary Clinton, świeżo

RDC POLSKIE RADIO

JAKUB MAJMUREK będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 17 czerwca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

po prawie na Yale, zaczyna karierę publiczną. W dokumencie Burstein widzimy archiwalne nagrania z przemówieniami prawdziwej Schlafly – walka o ERA i druga fala feminizmu mają kluczowe znaczenie dla formowania się światopoglądu Clinton, jej rozumienia feminizmu i kobiecej polityki.

Podstawowe pytanie, na jakie „Hillary" próbuje odpowiedzieć, brzmi: „Czy Ameryka, mimo całego postępu, jaki dokonał się od lat 70., jest gotowa na prezydentkę, czy przezwyciężyła patriarchalne schematy"? Odpowiedź, jakiej udziela reżyserka, jest raczej negatywna. Zestawiając ze sobą dwie narracje – pierwsza przedstawia polityczną drogę Clinton od lat 60. do współczesności, druga wybory w 2016 r. – serial pokazuje, jak mimo pozornych zmian wiele rzeczy pozostało takich samych jak kilka dekad temu.

Clinton jako kobieta ciągle traktowana jest wedle zupełnie innych standardów niż jej męscy konkurenci. Media atakują ją wtedy, gdy jest „zbyt emocjonalna" i gdy jest „zbyt chłodna". Jako politycznie aktywna pierwsza dama Clinton staje się największym wrogiem Republikanów. Gdy Ameryka ma do wyboru kompetentną, umiarkowaną kobietę, z latami służby publicznej na koncie, i populistycznego miliardera bez żadnego politycznego doświadczenia, publicznie nazywającego kobiety, których nie lubi, „świniami", wybiera tego drugiego.

W tej podawanej przez dokument Burstein diagnozie jest sporo racji. Antyfeministyczny odruch, niechęć do Clinton jako politycznie aktywnej kobiety, odgrywa sporą rolę w jej porażce. Nie jest to jednak cała prawda. Clinton została odrzucona także jako przedstawicielka establishmentu rządzącego Ameryką w ostatnich dwóch dekadach. W okresie rosnącego rozwarstwienia między bogatymi a biednymi, zanikania i pauperyzacji klasy średniej. Dla wielu mieszkańców szczególnie dotkniętych tymi przemianami niegdyś przemysłowych stanów, gdzie Trump zaskakująco wygrał (Pensylwania, Wisconsin, Michigan), głos przeciw Clinton miał równie wiele wspólnego z jej płcią, co z chęcią pokazania czerwonej kartki elitom.

Dokument Burstein niemal zupełnie przegapia ten kontekst. Najlepiej widać to w tym, jak pokazuje starcie z Sandersem w prawyborach. Senator z Vermont przedstawiony jest w nim jako nieodpowiedzialny populista, składający wyborcom obietnice bez pokrycia. W jednej ze scen po starciu z Berniem w prawyborach w Iowa Clinton rozmawia ze swoimi sztabowcami. Autentycznie nie potrafią zrozumieć, jaką właściwie „urazę" mają do niej wyborcy Sandersa.

Ten brak słuchu społecznego mógł kosztować Clinton głosy nie tylko rozczarowanych robotników ze Środkowego Zachodu, ale także młodszego pokolenia kobiet, dla którego kluczowym doświadczeniem nie są walki z konserwatystami z lat 70., tylko recesja z końca pierwszej dekady XXI wieku. Młodym kobietom popierającym Sandersa feminizm Clinton wydawał się elitarny i oderwany od współczesnych problemów. Można tylko żałować, że przy wszystkich zaletach „Hillary" serial nie tylko pokazuje ograniczenia spojrzenia swojej bohaterki, ale i w dużej mierze je podziela.

Lepiej być nie musi

Obie produkcje ładnie składają się w przypowieść przestrzegającą przed naiwną wiarą w to, że polityczny i społeczny postęp jest czymś koniecznym i nieuniknionym. Przyszłość wcale nie musi być lepsza. Zarówno w historii Clinton, jak i ERA widać też, że przekonane o własnym oświeceniu elity mogą się czasem radykalnie mylić w odczytywaniu realnych nastrojów społecznych, a oddolna demokratyczna mobilizacja niekoniecznie służy progresywnym celom.

Co jest lekcją aktualną nie tylko w odniesieniu do amerykańskiej polityki. Dowiadują się o tym wszystkie zachodnie demokracje atakowane przez prawicowo-populistyczne rewolty. Wiara, że Europa wyszła z dziecinnych chorób autorytaryzmu i nacjonalizmu, może zostać wkrótce zweryfikowana równie nieprzyjemnie, co pogląd, że Trump nie ma szans zostać prezydentem. Zwłaszcza jeśli elity zapomną o wszystkich tych, którzy czują się pozostawieni z tyłu – jak gospodynie domowe Schlafly czy popierający Trumpa robotnicy z niegdyś głosujących na Demokratów stanów.

© JAKUB MAJMUREK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

#łąka powszechna

**Zasialiście Łąkę Powszechną?
Pochwalcie się nam!**

Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej łąki – pokażcie nam, gdzie wysialiście swoje nasiona, zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem #lakapowszechna wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS.

My zaznaczymy łąkę na mapie i pokażemy, jak kwitnie nasz kraj!

Mieszankę nasion *Łąki Powszechnej* stworzyła Pani Łąka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszankami nasion łąk kwietnych

pani łąka

Czarna skrzynka

ANITA PIOTROWSKA

Film „Nasz czas" stroni od domowego magla. Kreśli wewnętrzne pejzaże dwojga ludzi, którzy przez lata bycia razem zapętlili się w relacji władzy.

Nareszcie kina otwarły swe podwoje. To radosna nowina nie tylko dla tych, którzy przez ostatnie trzy miesiące ostro pościli, ale i dla tych, którzy czują przesyt strawą serwowaną przez platformy streamingowe.

Bo nawet jeśli nie był to typowy *fast food*, domowe oglądanie „na życzenie" ma coś z szybkiej konsumpcji – pobieżnej i rozproszonej, przypominającej degustację z wydłużającej się w nieskończoność karty dań. Nie wspominając o rytualno-wspólnotowym aspekcie wyjścia do kina. Za chwilę apetyty swe zaspokoją wielbiciele hollywoodzkich widowisk („Tenet" Christophera Nolana i disneyowska „Mulan" trafią na duże ekrany już w lipcu), podczas gdy na fanów *slow cinema* czeka uczta w postaci najnowszego filmu Carlosa Reygadasa.

„Nasz czas" trwa prawie trzy godziny, od pierwszego ujęcia uwodzi obrazem i przede wszystkim pozwala zanurzyć się bez reszty w wewnętrznym mikrokosmosie autora „Ukrytego światła" i „Post tenebras lux". Reygadas dopuszcza nas do siebie bliżej niż dotychczas, by pokazać, z mieszaniną szczodrości i autorskiej pychy, jak wielka jest, parafrazując polskiego poetę, owa przepaść między nim a światłem. „Optyczny" wymiar tego kina nie sprowadza się bowiem wyłącznie do pięknych zdjęć.

Już pierwsza scena sugeruje, żeby „Nasz czas" oglądać trochę jak dokument. Letnie słońce, woda, grupa dzieciaków tapla się w czarnym mule – ot, wiek niewinności. Ich starsze, nastoletnie rodzeństwo też miło spędza czas, lecz czuje się, że zakazane jabłko zostało już zerwane. Między chłopcami i dziewczętami toczą się gry pozornie bezgrzeszne, ale już za chwilę zobaczymy je w zupełnie innym, dorosłym wydaniu.

Ta biblijna retoryka nie jest w przypadku meksykańskiego reżysera nadużyciem. Jego filmy, niezależnie od tego, czy rozgrywają się w archaicznej wspólnocie menonitów, czy w hacjendach zeuropeizowanych farmerów, krążą wokół tematu pożądania, winy, zdrady, raz na zawsze utraconego raju. A jednocześnie jakby tylko je muskają, zapatrzone raczej w codzienny spektakl natury i ukryte pod nim ludzkie zmagania.

Wzorem Nuriego Bilge Ceylana („Klimaty"), ostatnio Abla Ferrary („Tommaso"), nie wspominając o lwiej części filmografii Ingmara Bergmana, Reygadas poddaje wiwisekcji swoje małżeństwo, a przy okazji status artysty jako wybrańca bogów. Osobiście wciela się w postać uznanego poety Juana, który prowadzi wraz z żoną Esther (w tej roli małżonka reżysera i montażystka jego filmów Natalia López) malowniczo po-

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK:

WROCŁAW – HISTORIA I NOWOCZESNOŚĆ

75 lat „polskiego Wrocławia" to dobra okazja, by porozmawiać o tożsamości miasta i jego mieszkańców. O bogatej historii tego wspaniałego miejsca, ale też o tym, jak Wrocław z niej korzysta, budując nowoczesne miasto.

W dodatku m.in.:

- **Rozmowy z historykiem Normanem Daviesem i prezydentem Wrocławia Jackiem Sutrykiem;**
- **Dyrektor Muzeum Miejskiego Wrocławia Maciej Łagiewski o historii i tożsamości miasta;**
- **Wrocław: miasto przyszłości.**

www.wroclaw.pl

Wrocław miasto spotkań

centrum historii zajezdnia

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

GUTEK FILM

Natalia López jako Esther i Carlos Reygadas jako Juan w filmie „Nasz czas”

łożoną farmę wyspecjalizowaną w hodowli bydła. Właściwie to ona zajmuje się gospodarstwem, domem i dziećmi. Ma zresztą do pomocy cały sztab ludzi, głównie miejscowych.

W przeciwieństwie do „Romy” Alfonsa Cuaróna całe społeczne i etniczne rozwarstwienie ukazane tu zostało wyłącznie z perspektywy „pierwszego świata” – zamożnych białych i zaprzyjaźnionych z nim *gringos*. W przestronnym domu bohaterów rozbrzmiewa i hiszpański, i angielski, a do ich częstych gości należy Amerykanin Phil, który pomaga gospodarzowi w ujeżdżaniu koni, równocześnie romansując z jego żoną. Atmosfera filmu gęstnieje nie tyle od ciężaru wiarołomności – Juan i Esther są zwolennikami otwartych związków. Reygadas, w roli poniekąd samego siebie, próbuje rozliczać to, co dziś nazywa się toksyczną męskością. Nawet wtedy, gdy podarowuje drugiej stronie wolność, robi to na własnych warunkach.

Jest coś obscenicznego w widoku artysty, który udaje przed kamerą innego artystę, ażeby przepracować problemy z własnym ego, włączając w to bliskich (żonę, dzieci) i pozostając w scenerii własnego domu. Film „Nasz czas” stroni jednak od domowego magla czy prostych rodzinnych ustawień. W wystudiowany sposób kreśli wewnętrzne pejzaże dwojga ludzi, którzy przez piętnaście lat bycia razem zapętlili się w relacji władzy. Juan przyzwala na romans Esther, a jednocześnie chciałby go reżyserować, potraktować jak jeden ze swoich wierszy skrobanych w grubym kajecie. I może jeszcze dostać za niego prestiżową nagrodę.

Tymczasem twórca „Bitwy w niebie” przepisuje swoją osobistą historię małżeńską na swego rodzaju wideopoemat, gdzie ogniste zachody słońca, rozległe pastwiska i splecione porożem buhaje mają sugerować odwieczną walkę między naturą a kulturą, pomiędzy płciami i wyznaczonymi im rolami. Chwilami ociera się w tym o banał, lecz ostatecznie zwycięża u Reygadasa prawdziwe, czyste kino. Takie, które rozżarza się bardzo powoli i równie wolno się dopala. Które w warstwie wizualnej posiada rozlewny, szeroki gest, a zarazem zmysłowy dotyk. Które rozszczepia się na różne, często sprzeczne spojrzenia: przesiąknięte czułością i autentyczną zgrozą, to znów bezwstydnie podglądackie czy feudalnie zawłaszczające.

„Nasz czas” można czytać jako opowieść o bezkresnym latyfundium mężczyzny i artysty, który obsadził je innymi ludźmi, po czym wpadł w pułapkę tej obsady. Sam reżyser, zwłaszcza dla tych, którzy nie mieli dotychczas do czynienia z jego skrajnie autorskim kinem, może jawić się niczym wcielenie Juana (a nie na odwrót), zwłaszcza gdy bombarduje widza swymi obsesyjnymi powidokami i jednocześnie trzyma gdzieś głęboko w szufladzie montażowe nożyczki. Najlepiej więc oglądać „Nasz czas” nie jako erotyczną *story* – poetyka Reygadasa nosi wszak wiele cech filmowego antyopowiadania – ale jako studium pewnego narcyzmu, obejmujące również swoją własną formę.

Gdy spojrzeć pod takim kątem, film bezkompromisowego Meksykanina nabiera nowych wymiarów. Podobnie jak opowiedziana w nim męska rozpacz, jak kobiecy bunt przeciwko podwójnemu uprzedmiotowieniu w miłości, podobnie jak cała ta historia zarządzania zdradą, zamknięta w czarnych skrzynkach smartfonów. A poniekąd także w obiektywie kamery. ©

NASZ CZAS *(Nuestro tiempo) – reż. Carlos Reygadas. Prod. Dania/Francja/Meksyk/Niemcy/Szwecja 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 19 czerwca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Midsommar. W biały dzień

Horror, reż. Ari Aster, Szwecja/USA 2019, Canal+ Premium, 20 VI, 21.40, Canal+ 1, 20 VI, 22.40

W przededniu Nocy Świętojańskiej przypomniany zostanie jeden z najciekawszych filmów grozy minionego roku. Niezaleczone traumy, pogańskie rytuały, sekciarskie klimaty i damsko-męskie sprawy reżyser „Dziedzictwa. Hereditary” przedstawia w pełnym świetle szwedzkiej białej nocy, ze świetnymi zdjęciami Pawła Pogorzelskiego.

2. Najlepsi wrogowie

Dramat, reż. Robin Bissell, USA 2019, Cinemax, 26 VI, 17.45

Jak amerykańskie kino głównego nurtu radzi sobie z problematyką rasową? Czy dobrym intencjom zawsze muszą towarzyszyć uproszczenia? Tym razem punktem wyjścia są autentyczne wydarzenia w Karolinie Północnej w 1971 roku, które doprowadziły do bliskiego spotkania czarnoskórej aktywistki (Taraji P. Henson) i lidera lokalnego Ku Klux Klanu (Sam Rockwell).

3. Pollywood

Dokumentalny, reż. Paweł Ferdek, Polska 2020, HBO GO

Z inspiracji filmoznawczą książką Andrzeja Krakowskiego powstał dokument, który podąża śladem ubogich żydowskich emigrantów z ziem polskich. To oni, Louis B. Meyer czy Samuel Goldwyn, ponad sto lat temu tworzyli od podstaw „fabrykę snów”. Na ich historię nakłada się autoironiczna opowieść o współczesnym reżyserze w pogoni za własnym sukcesem.

4. Aretha Franklin: Amazing Grace

Dokumentalny, reż. Sydney Pollack, Alan Elliott, USA 2018, CHILI, Player+, ipla, vod.pl

Po niemal półwieczu ujrzał światło dzienne zapis koncertu królowej soulu, zrealizowany podczas dwóch wieczorów w New Temple Missionary Baptist Church w Los Angeles. Oglądamy coś więcej niż proces nagrywania płyty – twórcy zarejestrowali także, czym jest fenomen muzyki gospel, w wymiarze duchowym i czysto międzyludzkim.

Lektor:
„Chodzą Śmiercie...”

▪ *Adam Wodnicki,*
TEZEUSZ K.
Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2019, ss. 30. Seria „Z rękopisów”.

Śmierć kogoś bliskiego zamyka rozdział w naszym własnym życiu. Dla mnie zamknęły się właśnie trzy takie rozdziały. Odeszli ludzie, o których książkach wielokrotnie pisałem; chcę ich tutaj choć krótko pożegnać.
29 maja umarł Jerzy Pilch. Po długiej chorobie, którą umiał wspaniale przekształcić w materię prozy. Był moim przyjacielem i przez dekadę redakcyjnym kolegą, ale „moim” pisarzem stał się wcześniej; czytałem go w „Studencie” za pierwszej Solidarności, potem słuchałem w mówionym „NaGłosie”. Znam wszystkie jego książki, a niektóre, jak „Inne rozkosze”, „Moje pierwsze samobójstwo” czy „Wiele demonów” – po prostu kocham.
Dzień później dowiedziałem się, że nie żyje Stanisław Grodziski – historyk, pisarz, profesor Wydziału Prawa UJ. Każdemu bym życzył takiego wejścia w świat uniwersytecki jak jego wykłady, których słuchałem w roku akademickim 1973/74. Uczony, edytor, biografista cesarza Franciszka Józefa, autor „Wędrówek po Galicji”, książek o Habsburgach i Rzeczypospolitej Krakowskiej, inicjator wskrzeszenia Polskiej Akademii Umiejętności, był człowiekiem prawym i odważnym – co pokazał jako prorektor podczas manifestacji studenckich w roku 1988 – a przy tym uroczym i obdarzonym poczuciem humoru. Przeżył 91 lat, pracował do końca.
I niewiele od niego młodszy Adam Wodnicki, artysta i pisarz, profesor Akademii Sztuk Pięknych, zmarły 9 czerwca. Znałem go najkrócej. Nie wiedziałem, kim jest nagradzany przez „Literaturę na Świecie” tłumacz Yves’a Bonnefoy i Saint-Johna Perse’a (później też Juliena Gracqa i Edmonda Jabèsa). Kiedy ukazała się pierwsza jego książka o Prowansji, dowiedziałem się, że ten debiutujący autor olśniewających, świetlistych esejów ma już ponad 80 lat! Poznałem go w siedzibie Austerii, wydawnictwa, które współtworzył i którego był dobrym duchem. Starałem się odnotować wszystko, co publikował, przekonany, że to jeden z największych współczesnych pisarzy polskich.
Teraz przeglądam jego ostatnie tomiki i wybieram niezwykły, krótki tekst, w którym mit o Tezeuszu splata się z wątkami kafkowskimi i współczesną matematyką. Życie okazuje się labiryntem-pułapką, a próba wyjścia z niego kończy się śmiercią bohatera. Czytam więc Wodnickiego – a z netu dobiegają mnie nienawistne wrzaski polityków. Zaczynam myśleć, że taki – nieunikniony – finał nie jest może najgorszym z możliwych rozwiązań... ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PO STRONIE OFIAR

O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich, o zmowie milczenia i innych grzechach polskiego Kościoła piszemy konsekwentnie od lat.

Wybór najważniejszych tekstów „TP” z ostatniego dwudziestolecia na temat, który wstrząsa dziś Polską, w bezpłatnym internetowym wydaniu specjalnym.

Czytaj na:
TygodnikPowszechny.pl/postronieofiar

GRAFIKA MIECZYSŁAW WASILEWSKI

PAWEŁ

Bravo:
Kebab po polsku

Czterysta osiem tysięcy złotych. Tyle od agendy rządowej mielącej unijne pieniądze na promocję polskich marek dostała w zeszłym roku firma produkująca kebabowe „batony". Tak się nazywa fachowo ów słup mięsa i tłuszczu, który skwierczy na pionowym rożnie, w oczekiwaniu, aż kucharz – operując długim nożem lub specjalną golarką – zerwie zeń strzępy, kiedy zamówimy ten polski posiłek. Tak, polski – żadnych wątpliwości nie mam. Podobnie beneficjent grantu – we wniosku określił się jako firma „oferująca produkty spożywcze wpisujące się w polskie specjalności żywnościowe".

Czasy mamy ponure – jak nie epidemia, to kampania – i w takiej sytuacji potencjalnie zabawny news, choćby i sprzed roku, ma szanse stać się wiralem. Dziwnych dotacji w programach z unijnej kasy opisywano już mnóstwo. Dobrze jest zatem zerkać na tabelki i rozliczenia. Ale w tej sprawie nie wygląda mi na to, po pobieżnym przejrzeniu danych, żeby coś było naciągane: to duża, osiadła w branży firma, nie z tych, które się zakłada tydzień przed złożeniem podania o wsparcie, i większą część produkcji już i tak wysyła za granicę. Jeśli coś każe na chwilę wziąć tę sprawę w palce, zanim pyknie i zniknie jak każda twitterowa pianka, to ów potencjał niesympatycznego śmiechu.

Ktoś wydobył z dokumentów fakt wsparcia dla producenta batonów jako „polskich specjałów" i puścił go w obieg z komentarzem, że takie u nas multi-kulti. Żart skuteczny, bo skakał z jednej bańki społecznościowej w drugą, aż miło. Sporo osób przy okazji nie skorzystało z szansy, by pomilczeć. O tym, że nie mają pojęcia, do jakiego stopnia kebab stał się powszednim posiłkiem na skalę tak masową, że z pewnością ludzie nie kupują go z racji naszej przysłowiowej ciekawości obcych kultur.

Kupują, bo jest najtańszą formą zjedzenia na mieście czegoś, co przypomina obiad. Kiedy w grę wchodzi zadowolony żołądek, ksenofobiczne uprzedzenia idą w kąt. Byłyby tu absurdalne, wszak kebab w znanej nam postaci jest wynikiem przetworzenia tureckiej tradycji i typowej dla Lewantu strategii obróbki mięsa pod niemieckie gusty. Nie jest ani niemiecki, ani turecki. Tak jak ojczyzną pisarza jest język, a nie kraj wbity w paszporcie, tak „narodowość" jedzenia zależy wyłącznie od tego, kto i gdzie je zjada, i czy postrzega to, co ma na talerzu, jako „swoje". A na dodatek osiadła w Polsce (choć przez osoby narodowości tureckiej założona) firma potrafiła skutecznie wjechać za Odrę, śladami wojów Chrobrego, z mięsem zatkniętym na ostrym trzpieniu, i zająć spory kawałek tamtejszego rynku zaopatrzenia gastronomii.

Mój kolega redakcyjny Rafał Woś na pewno zwróciłby uwagę na klasowy i paternalistyczny aspekt śmiechu z kebabu jako polskiej specjalności. Nie bez racji, bo to danie z kuchni ludowej. Cudownie spełnia zakodowane w polskim obyczaju kluczowe wymogi dobrego jadła: na ciepło, z mięsem i w sosie. Ale zostawmy na boku udowadnianie, kto tu kim bardziej pomiata. Cieszmy się, że ktoś wymyślił łatwy do ulicznego zastosowania sposób, jak z niekoniecznie „pierwszych" części tuszy barana, wołu czy kurczaka zrobić potrawę, która wcale nie wygląda na ochłap, jest apetyczna i złożona smakowo.

Cieszmy się i nie wnikajmy w szczegóły... filmik promocyjny firmy zdradza, że więcej ma tam do powiedzenia technolog niż piarowiec, nikt w nim nie pudruje rzeźniczej rzeczywistości: „w pierwszym procesorze wyrywana jest automatycznie dolna część grzbietu, w ten sposób uzyskiwane jest udo anatomiczne", „na linii obok trybowana jest pozostała część kurczaka, a więc kapsuła", „uformowany kebab trafia do komory szokowej, która pomieści 20 ton kebabu"...

Mnie ta szczerość wzruszyła. Producenci politycznej kiełbasy, zgodnie z radą przypisywaną Bismarckowi, staranniej ukrywają swoje procedury. Ale i tak moja prywatna komora szokowa, w której zamrażam produkty obecnej kampanii, choć mieści wiele ton, jest już bliska przepełnienia. ©℗

Jedyna dietetyczna rada w przypadku kebabu dotyczy sosu: to on bywa najcięższą dla wątroby częścią tej potrawy – w wielu miejscach, niestety, jest robiony z proszku czosnkowego i gdy długo leży w lodówce, tworzy się z niego mało strawna zawiesina. Jeśli bierzemy kebab do domu, zamówmy bez sosu – sami go zrobimy, wyciskając przez praskę ząbek czosnku do miseczki jogurtu, który potem posolimy i doprawimy np. suszoną miętą.

Chciałbym się za to podzielić inną radą, przydatną w ten deszczowy czas, kiedy zbyt mokre truskawki łatwo zaczynają się psuć. Co zrobić z miską owoców, które rano już wyglądają bardzo brzydko? Możemy ich część (o ile nie ma pleśni) przeznaczyć na obróbkę termiczną, np. w wariancie anglosaskich bułek śniadaniowych zwanych scones. Mieszamy w misce 260 g mąki (z czego część może być pełnoziarnista albo gryczana), 50 g cukru trzcinowego, dwie szczypty soli, łyżkę proszku do pieczenia i łyżeczkę cukru waniliowego. Wkrajamy drobniutko pokrojone 120 g bardzo zimnego masła (można zetrzeć mrożone masło na grubej tarce). Rozprowadzamy je szybkimi ruchami, aż uzyskamy w miarę jednolity sypki „piasek", ale bez zagniatania. Dodajemy i mieszamy 130 g pokrojonych drobno truskawek, dalej 180 ml tłustego jogurtu lub śmietany (mogą też być rozrobione pół na pół z mlekiem). Mieszamy widelcem, aż powstanie luźne ciasto, przekładamy na stolnicę i próbujemy uformować z tego lepki, mało kształtny placek wysokości 2 cm. Kroimy to na kwadraty lub trójkąty, smarujemy z wierzchu jogurtem i posypujemy brązowym cukrem. Pieczemy w 200 st. C przez ok. 20 minut – aż po puknięciu od spodu wydadzą głuchy dźwięk.

PAWEŁ BRAVO

MOMA / MATERIAŁY PRASOWE

Henri Rousseau „Śpiąca Cyganka", 1897 r., Museum of Modern Art, Nowy Jork

WRÓŻBY ŚLIMAKA

Zmysły mogą poszaleć sobie we śnie bez kontroli. Lecz kiedy mówimy: „To całkiem jak we śnie", to co właściwie mamy na myśli? Przecież nie tylko przyjemność.

ELIZA KĄCKA

Raz zimą na polowaniu osaczyły mnie wilki. Wlazłem na drzewo, a co spojrzałem w dół na spienione paszcze, wyszczerzone kły wilcze, tym mocniej dygotała gałąź. Wreszcie trzasła, no i spadłem. – I co? – pytali słuchacze. – Ano nic. Rozszarpały mnie na strzępy – odpowiadał Franc Fiszer. – Została tylko ta fajka". – I, porykując śmiechem, podtykał na dowód fajkę z mocno, owszem, nadgryzionym ustnikiem.

Sen mara

Anegdota ta swój oniryczny charakter zawdzięcza połączeniu fatalizmu z absurdem. To właśnie główny mechanizm fabularny snu. Wypadki, w których biorę senny udział, zmierzają nieuchronnie ku katastrofie. Istna równia pochyła, nie sposób wstrzymać ześlizgu! Po czym się budzę, o dziwo – żywa. Takich snów ma każdy na pęczki. Wróżebną renomę zawdzięczają odpychaniu od siebie tamtej, wciąż świeżej, przejmującej realności: owe przeżycia (a owszem, przeżycia!) musiały coś zapowiadać, zawierać sens ukryty. Od tej myśli trudno się opędzić.

Stąd od wieków dobiera się klucze do snów, z reguły wątpliwe. Nic bardziej żałosnego w sensie poznawczym nad sennik egipski czy freudowski. Podsuwana przez nie interpretacja (by użyć miana na wyrost) obejmuje jednak tylko przyśnione zdarzenia lub obiekty. Stąd moja teoria snów wychodzi od przeciwnego końca, od sprawy najtrudniej uchwytnej – od aury. Tej niesamowitej otoczki, która otula przeżycie senne, a rozwiewa się zwykle przy próbie zanotowana snu. Aura znika, uczestnik bowiem (świadek? lokator?) snu jest kimś psychologicznie innym niż ten, kto po stronie jawy pró-

buje sen zanotować. Rzecz rozgrywa się między uczestnictwem a opowieścią.

No i o to chodzi, polonistce w to graj. Gdy mowa o opowieści, jesteśmy w domu. To nasza specjalność. Ale tu, drogi czytelniku, muszę cię prosić raz jeden o cierpliwość. Skoro chociażby informatykom wolno stosować publicznie określenia fachowe, to nam też. Wbrew społecznej wadze cyfryzacji, a niedowadze naszej branży. Zatem, za pozwoleniem: sen jakoś tam, na swój sposób, imituje czy zastępuje rzeczywistość – my mówimy, że ma charakter mimetyczny. Natomiast relacja o tym, co się ze snu udało zapamiętać, samoistnie podlega prawom opowieści. Mówimy, że ma charakter diegetyczny.

W stanie mimetycznym tkwię, jak w życiu, wewnątrz zdarzeń; w stanie diegetycznym patrzę na nie z boku w procesie rekonstrukcji. I otóż aura z najwyższym trudem przenieść się daje z *mimesis* do *diegesis*. Są to perspektywy nieuzgadnialne, a w następstwie: złudne. Sen mara, wiadomo.

A że sen mara – jedyną faktycznością, z jaką mogę obcować, jest sen odtworzony, jego ułomna wersja językowa. W swoim czasie zdał sobie z tego sprawę Freud i odkrył *Verschiebung*, przesunięcie, które we śnie opowiadanym zmienia akcenty tak, by zakryć miejsca dla opowiadacza we śnie przeżywanym niepojęte, więc zapewne wstydliwe. Jak wiadomo, te właśnie z upodobaniem drąży psychoanaliza.

Nie mam nic przeciw temu, ale w mojej teorii czymś nie-do-opowiedzenia, niewyrażalnym, pierwotnym, z czego wyrasta cały sen, jest coś innego. Rozbieżność tę nazywam mimośrodem sennym, bo oś fabularna snu, wokół której kręci się diegeza, odsunięta jest w bok od osi emocjonalnej, podstawy *mimesis*. Sen śniony napędzają emocje, sen relacjonowany porządkują etapy opowieści. Z czego domyślić się można czegoś na temat aury: jest ona natury zmysłowej.

Jak polują mrówkolwy

Nie ma percepcji bez zmysłów? Jest, a jakże! W snach. Angażują się przecież wszystkie, i to jak! A wszystkie na niby. To znaczy: słuch czasem przepuszcza coś realnego z zewnątrz, dotyk rejestruje niewygody, a już zwłaszcza dają się we znaki czucia wewnętrzne, na przykład, za przeproszeniem, przepełniony pęcherz, zdolny jak mało co przyspieszyć akcję snu.

Jednakże zasadniczo zmysły mogą poszaleć sobie we śnie bez kontroli. Widuję w snach fikcyjne pejzaże idylli i apokalipsy, użeram się z ludźmi i słucham harmonii sfer, wącham kwiaty i wdycham smrodliwy opar, uczestniczę w lukullusowych ucztach i spijam gorycze. Lecz ani wzrok, ani słuch, ani powonienie, ani smak nie fundują osobliwości sennej aury. „To całkiem jak we śnie" – mówimy. O czym wtedy mówimy?

W mojej teorii snów mowa o rzadko branym serio zmyśle równowagi. Czymś tak oczywistym, jak grawitacja, dostrzegalnym tylko wtedy, gdy zawodzi. Na jego rolę wskazuje dość oczywisty podział na sny szczęśliwe i sny dramatyczne.

W snach dramatycznych rządzi przyspieszenie. Spadam w nich bez ratunku, uciekam lub gonię, wikłam się w labirynt miast czy budowli, staram się desperacko wydobyć z zamknięcia, w panice szukam wyjścia z opresji. Można to – za Różewiczem, autorem poematu „Spadanie" – nazwać spadaniem poziomo. Wszystko to są sytuacje przymusowe, jak dla mrówki próby wydostania się z lejka. Wiecie, jak polują mrówkolwy? Tematem snów dramatycznych jest, krótko mówiąc, daremność, a jej znakiem – niemożność odzyskania równowagi.

Natomiast sny szczęśliwe oznajmia mi kołysanie. Znów jestem dzieckiem, wzlatuję na huśtawce. W skorupce orzecha przemierzam senne fale jak Tuwimowski Pan Maluśkiewicz w poszukiwaniu wieloryba (kto o tym źle pomyśli?). Jak Kalina Jędrusik brodzę po kwietnej łące, a upojność brodzenia rośnie dzięki świetności moich nóg (też bym prosiła „nie budźcie mnie..."). Całym ciałem absorbuję łagodne chwianie się pociągu. Wiatr trąca lekko kosz pyzatego balonu, który wznosi się i wznosi. Krążę na łyżwach, wchodząc płynnie w zakręty. Coraz dłuższe i lżejsze stawiam kroki, odbijając się z rzadka od ziemi, a w końcu wielkimi susami płynę tuż nad chodnikiem. Spadam, furkocąc sukienką, i nagle przechodzi to w lot. Jako Pentesilea na czarnym ogierze kłusuję na czele szwadronu Amazonek. Ogarnia mnie w tańcu zawrót głowy, jak Kopciuszka w ramionach księcia (wirowanie bez tarcia). Nie, to nie to, to tango, najpiękniejsze tango świata, Carlosa Gardela „*Por una diegeza*"... Czy nie o czymś takim marzył Leśmian w eseju „Rytm jako światopogląd"?

Jak z tego wynika, sny szczęśliwe silniej od dramatycznych akcentują zmysłowy wymiar śnienia. Lepiej też obnażają działanie sennego mimośrodu, bo treść emocjonalna dominuje w nich nad fabularną. Ta druga wskazuje więc na swą służebność wobec pierwszej.

Sen zatem oferuje dwa przeciwstawne fantazmaty zakłócenia równowagi: ześlizg czasoprzestrzenny, ową równię pochyłą prowokującą fabuły, co to łapią za gardło, oraz wiodące w błogostan, łagodne rozchwianie. Jego sekret zdradzić mógłby niejeden osesek, gdyby oczywiście umiał mówić. Ów sens sekretny gaśnie nam jednak w głowie przed narodzinami mowy. Ale nie takie czy inne odgrywane we śnie fabuły rozregulowują zmysł równowagi, lecz na odwrót – ów zmysł, w zależności od nieznanego nam widzimisię, do swych zwodniczych rytmów dobiera paniczne bądź kojące wizualizacje. To on stanowi wehikuł transcendentnej nieświadomości. Ukrytym władcą naszych snów jest więc ślimak. Ten w uchu, siedlisko zmysłu równowagi.

Pochwała ślimaka

Wnętrze snu oglądam z perspektywy kogoś, kogo uważam za siebie; z zewnątrz, gdy sen sobie (dobre słowo!) uprzytamniam, zyskuję do tej „siebie" narracyjny dystans. Wtedy też, wedle mędrca z Wiednia, odbywa się senna cenzura. Według mnie – niezawiniona. Nie da się odtworzyć, jak było naprawdę, bo żadnego „naprawdę" nie było. Wrażenia, przełożone na „zdarzenia", tracą swą senną logikę. To po prostu blednie aura, której odtworzenie jest rzeczą najtrudniejszą z trudnych. Zaznałam tego w praktyce, spisując swoje sny – co niewinniejsze – w książeczce „po drugiej stronie siebie" (Lokator, 2019).

Przeżycie mimetyczne, gdzie śniący naśladuje (zastępuje, odgrywa) w swym śnie siebie, produkuje gwałtowne emocje; spojrzenie z kolei splata sen w tekst. Otóż sen dramatyczny poddaje się, lepiej lub gorzej, tej przeróbce; sen szczęśliwy rozpływa się pod porządkującym spojrzeniem. Z kołysania w unoszącym śniącego środowisku mało co zwykle fabularnie wynika. Dramat jest tekstem, błogość nim nie jest. Błogość zapada się we własne trwanie, poza czasem wydarzeń. Leżę w niej jak Królewna Śnieżka. ↦

↦ I pod tym względem błogość jest dużo prawdziwsza: przyśniona niczym nie różni się od realnej. Gdy tymczasem wypadki snu dramatycznego z reguły wyolbrzymiają opresje życiowe. Dramatyzują to, co – powiedzmy – mogłoby się zdarzyć. Sen to urywek autobiografii modalnej. We śnie co jakiś czas oblewam maturę, którą przecież, słowo daję, zdałam. We śnie wchodzę nago do pełnej studentów sali seminaryjnej. We śnie można się, proszę bardzo, zmienić w potwornego robaka. „Szał" Podkowińskiego to oniryczna wersja konnej przejażdżki wytwornej damy.

Ukrytym władcą naszych snów jest ślimak.
Nie ten ogrodowy, tylko ten ukryty w uchu, siedlisko zmysłu równowagi.

Wróćmy do początku. Nieszczęsny Franc Fiszer dygoce na drzewie, aż pęka od tego gałąź. Czy aby nieświadomie nie doszła w nim do głosu odraza do własnej, lekceważonej po wielkopańsku, otyłości? Gdyby ta anegdota była snem, mogłaby skrywać chęć redukcji nazbyt okazałego siebie do zera, do fajki.

W ostatecznej instancji sny dramatyczne wyrażają nasz lęk przed sobą i wstręt do siebie; sny szczęśliwe oznaczać się zdają samoakceptację, zwłaszcza cielesną. Z tej racji tak często nawiązują do nich reklamy. Oto bujasz w hamaku między dwiema palmami, w tle lśni ocean. Naciskasz akcelerator i czerwone ferrari chciwie pożera przestrzeń. Narty same pracują na twardym firnie, gdy pędzisz w dół migocącego stoku. Delikatne a stanowcze dłonie masażysty modelują idealny kształt twych pośladków. Zmysłowość snów szczęśliwych zawsze podszyta jest kiczem. Jak w „Przeciw interpretacji" twierdzi Susan Sontag, hermeneutykę wypiera tu erotyka. Jak nie chwalić ślimaka?

Tak oto sny szczęśliwe podają w wątpliwość wiarę, że sny muszą coś znaczyć. Jako nie-teksty lekceważą „mnie" diegetyczną, bo i tak nie umiałabym (lub obawiałabym się) komentować swą błogość. Brak w nich zagadki – tej, która skłania do dociekań, czemu coś się zdarzyło i czy można było się temu nie dać. Brak zagadki – prócz tej jednej, jaką są one same. Jestem bez reszty „mną" mimetyczną, Elizą Kącką, tożsamą z sobą, świadomą tego faktu i w pełni zeń zadowoloną. Co to znaczy, że ktoś jest szczęśliwy? Jest szczęśliwy i kwita. Roztrząsanie tego zawsze źle się kończy. To wewnątrz snu – a na zewnątrz dociekanie jego przyczyn zostawia mnie, badaczkę tekstów, ze spuszczonymi rękoma. Nie ma w nie co złapać.

Medium siebie samej

Zmimetyzowana Eliza Kącka z moich snów szczęśliwych odpowiada zmediatyzowanej Elizie Kąckiej z mych snów dramatycznych. Te bowiem (nie tylko moje) dziwnie wiele łączy z literaturą, od święta z poezją, na co dzień z prozą. Wiąże je to, że dzieją się „nigdzie", w przestrzeni wyobrażeń; że mają zwykle przebieg fabularny; że podlegają tyranii języka. I jeszcze coś...

Przed siedmiu laty Michał Paweł Markowski miał („Tygodnik Powszechny" 22/2013) fortunną myśl powiązania pisarstwa z medialnością. „Literatura jest negacją osobowości – konkluduje esej „Medium doskonałe" – w tym sensie, że jest tworzeniem osobnej przestrzeni, w której dzieło sztuki, poddane rygorom formy, odsłania kompletnie inny świat niż ten, który znamy z codziennego doświadczenia. Co ciekawe jednak, ta inność nie odgradza się od samego autora, lecz go zaraża, wkracza w jego najbardziej zmysłowe doświadczenie, tworząc z pisarza opętane medium".

Ze snami jest ściśle tak, jak powiada Markowski, tylko całkiem na odwrót. Sen też odsłania kompletnie inny świat (niż ów znany z doświadczenia), kreując osobną przestrzeń, gdzie nawet wbrew rygorom rzutuje osobowość „autora" na formę opowieści. Pomnaża więc osobowość. I, ma się rozumieć, przenosi „zarażenie" ze śniącego na spisywacza, albowiem są i nie są tą samą osobą. „Medialność", czyli poczucie, że się przeze mnie wypowiada ktoś inny, pozostaje bez zmian.

Tak oto, mając „w sobie", w głębi snu, odmienną postać siebie, która coś przeżywa (lub nie), staję się w roli dziennej części rozumu, chcąc nie chcąc, sędzią i reżyserem siebie awanturniczej, która śmie wikłać się w dziwne przygody i narzucać mi potrzebę ich spisania.

Najwyraźniej odczuwam potrzebę zintegrowania przyśnionych rewelacji z poglądem, jaki żywię o sobie. Ale te rewelacje, jak wiemy, pozostawiają umysł w niepewności. Nie wiadomo, czy niosą naprawdę jakąś treść, czy też to tylko projekcja na ich temat – pod wpływem aury. Nie darmo Freud ostrzegał, że w trakcie odtwarzania snu pojawia się cenzura, i to nieświadoma. Tropienie zaś dziur w pamięci, kryjących owe momenty wstydliwe, „o których nawet myśleć się nie chce", jak powiadała Zapolska, łacno wiedzie do ich zakrycia fantazją. Psychoanaliza zwie to, jak wiemy, oporem.

Supeł

Napotykając zwroty w rodzaju „splątana akcja snu" wypada przyznać tym powiedzeniom słuszność. Sny bowiem mają godne tej formułki supły, gdzie sceny czy sytuacje naruszają logikę związków realnych. Negują na przykład związek skutku z przyczyną. Ile to razy stałam nago we śnie, by pozwolili mi się rozebrać. Trafiają się nieznane „w naturze" splątania emocjonalne: kiedyś w przypływie desperackiej rezygnacji sennej dałam się w trakcie prelekcji zastrzelić z armaty (skądinąd, ledwie zmieściła się w pomieszczeniu). Są i stany paradoksalne: zdarzyło mi się (we śnie) tonąć, nie tracąc życia, w jeziorze pyłu pachnącym skrzydłem ćmy. Ech, co są warte takie streszczenia bez aury.

Senne obrazy, w których dochodzą do głosu te skandaliczne nadużycia, to miejsca, gdzie, jak przypuszczam, sen chce śniącemu przekazać coś, co nie mieści się w słowach. Wydobyte spod powiek na język, okazują się absurdalne. W moich snach dwugłowe węże pełzną w dwie strony naraz, a ptaki latają grzbietami w dół, by nie dyndać nóżkami. Z metamorfoz dobrze wspominam przekształcenie się w fuksję z kolonią mszyc. Wbrew naturze żyłyśmy w symbiozie. Byłam też hojnie rozlewanym na jezdni asfaltem i jeździł po mnie walec (sen erotyczny). Niestety, stygłam zbyt szybko. Rzecz jasna, najżywsze bywają interakcje. Mój rozmówca, we śnie zwierzchnik, sprowadza się do profilu, chociaż próbuję zaskoczyć go *en face* – jak nic knuje, niegodziwy. Pasjami

MOMA / MATERIAŁY PRASOWE

Henri Rousseau „Sen", 1910 r., Museum of Modern Art, Nowy Jork

kłócę się w obcym języku, którego nie rozumiem. A jechaliście kiedy gumową windą z gibbonem?

Skoro, jak podejrzewam, kryje się za tym przyrodzona ludziom psychologiczna dziwność, dla której nie ma miejsca na jawie, rzec można, iż sen przekształca przebiegi psychiczne w rzeczowe. Kiedy, na przykład, sen zmusił mnie do występu z kwintetem jazzowym, dęłam z nieświadomości w trąbkę od szerszej strony. Okazało się, że można tak grać, trzeba tylko wciągać powietrze, miast wypuszczać. Cieszyło mnie, że nie widać mojej twarzy (nikt się nie domyśli z wyrazu, że coś nie tak). Jaką w tym odkrywam psychiczna przypadłość? Może przesadną wiarę we własne siły? Sen figuruje w mym katalogu jako „Druga trąbka w *St. James Infirmary*". *Blue note* skądinąd.

Konkludując, sen żeruje na naszych niedoskonałościach, pasożytuje na egzystencjalnych usterkach, wybierając je wedle sobie tylko znanych kryteriów i modeluje je na obraz prelogicznych sytuacji – jedyną mowę, jaką włada. Na kształt supła, który potem, notując, usiłuję – oby lojalnie! – rozwikłać w języku. Jeden ze snów modelował moje poczucie wykluczenia, kreując mnie na najsamotniejszą bestię świata – lecz na prawach supła nie przestawała ona być ani na moment Elizą Kącką. Jeśli to wierny zapis, tkwimy pospołu w tym suple – lecz że wszystko to dotąd brzmi raczej gołosłownie, nie pozostaje nic innego, jak dostarczyć na koniec materiał dowodowy. Oto więc sen nr 229 z nocy z 8 na 9 kwietnia 2015:

„Śniło mi się, że jestem niedźwiedziem polarnym. Siedziałam ciężka i niemrawa na śniegu i myślałam, że chyba jednak przeholowałam z wyborem wariantu »niedźwiedź« w formularzu emigracyjnym. Mogłam zakreślić nawet ten Madagaskar, cokolwiek, można było poprzestać na zmianie miejsca, ale nie, musiałam zmienić skórę. Druga myśl: czy tu jest jakieś stado, a jeśli jest, to czy w tym stadzie znajdzie się chociaż drugi emigrant? czy wszystko to są miśki, nieświadome tego, że mają dziwne zwierzę za kompana? Trzecia myśl: czy mogę dalej jeść to samo, czy muszę foki? a jeśli tak, to czy ktoś mi odpali kawałek? nie będę polować, prędzej zdechnę. Myśl czwarta: po co mi był Brzozowski? i poezja najnowsza? po co kręcenie się za własnym ogonem, trza się było uczyć zdobywania żarcia. Myśl piąta: teraz sobie, k. mać, napisz anegdotkę. Wszyscy przeczytają. Twoje stado czeka. Wiadomo, że tego tu nie mają. Rykną z zadowolenia. Myśl szósta: wszystko trzeba będzie przeżyć w swojej głowie, wszystko, nic nikomu, niema kompresja tęsknot we łbie niedźwiedzicy. Bo chyba posiadam tu płeć, co może być nieciekawe w tych warunkach. Rozglądam się i nie widzę nikogo, zacina śnieg. Postanawiam iść do morza, jeśli tu jest jakieś morze. A nawet jeśli go nie ma, postanawiam dojść do morza. Nabieram w mordę śniegu i myślę, że nie próbowałam tego zrobić na Sieleckiej. I z tą myślą się budzę".

Przytaczam nie dlatego, że jest się czym chwalić, ale by pokazać, co sen z nami robi. Rzec można, nie patyczkuje się zbytnio. Jak myślę, jest starszy nie tylko od literatury, ale i od języka. Przemawia do nas jak do analfabetów, a co gorsza, traktuje nas jak niemowy. Jest nauczycielem okrutnym i w tej roli bywa lekceważony. Jest dawcą oszołomień starszych niż te, które świętujemy na jawie. Jest niespacyfikowanym bastionem tajemnicy.

© ELIZA KĄCKA

STANISŁAW

Mancewicz:
O pragnieniu nieczytania

Przeczytało się w życiu to i owo, i oczywiście można było więcej, ale nie wyszło. Rzec trzeba szczerze, że tego typu wyznania zawsze miały w sobie ładunek przeogromnej śmieszności, niosły ryzyko straszliwego nadęcia i – w efekcie – pęknięcia. Nadeszły jednak takie czasy, że chyba wszystko, co się w tym stylu napisze bądź powie, uchodzi niestety na sucho. A dlatego zdecydowaliśmy się na użycie tej frazy na początku, bo przyszła nam do głowy szczerozłota myśl, że to okazja czyni człowieka czytelnikiem. Stąd „to i owo". Niestety.

Oto przez wiele lat czytania tego i owego nie dorobiliśmy się niestety niczego, co można by nazwać planem czytelniczym. Nie udało się nigdy własnego czytelnictwa ująć w buchalterię dającą ogląd, rzucającą wyraźny obraz skłonności, upodobań bądź to na odwrót: niosącą spis lektur – dajmy na to – odrażających, których do ręki się nie bierze bądź brać nie powinno. Zawsze, przezawsze, obraz własnego czytania był chaotycznym bohomazem bez kompozycji, bez logiki, bez sensu, ładu i składu. Zaczynał się od nieudolnej literatury pornograficznej tworzonej przez polską prawicę i kończył się na nieudolnej literaturze pornograficznej tworzonej przez polską lewicę. W środku, wewnątrz tych osobliwych ram, bywało różnie: i źle, i znakomicie, i zwyczajnie, i niezwyczajnie. To chyba oczywiste, że nie będziemy tu teraz rzucać ani tytułami, ani nazwiskami, bowiem nie chodzi nam o wytykanie palcem ani o zwiększanie ogólnopolskiej klikalności literackiej, lecz o intymne wyznanie na temat zużywania czasu w określonej przestrzeni.

Samo sformułowanie „plan czytelniczy" musi wywołać i – zdaje się – wywołuje bądź to pogardliwy uśmieszek, bądź zdziwienie. Wśród czytelników profesjonalistów, rzecz jasna. Też chyba dlatego, że taki termin po prostu nie istnieje. Choć nie, możliwe, że istnieje – zapewne takim właśnie planem jest choćby lista lektur obowiązkowych w polskiej szkole, dajmy na to podstawowej. Jest to oczywiście lista od zawsze najskuteczniej odstraszająca naszą znakomitą młodzież od czytania. Lista ta – co trzeba powiedzieć dla porządku – jest stworzona przez bardzo mało czytających dorosłych i nie są to, ani nie byli, wyłącznie partyjniacy obecnej władzy. To partyjniacy każdej władzy od dziesięcioleci.

Zostawmy jednak natychmiast te poczciwe i łatwe uwagi do tutejszej edukacji, bowiem nie tak znów dawno dowiedzieliśmy się, że na rynku działają i mają się nieźle doradcy literaccy. Oto człowiek bardzo zamożny, ale przecież ogromnie nieoczytany, wzywa takiego doradcę i rzecze doń zapewne coś w tym stylu: „Proszę pana, dziękuję, że pan przyszedł. Otóż mimo – jak pan widzi – oszałamiającego sukcesu w biznesie bardzo boleśnie odczuwam brak rozeznania literackiego. Czy byłby pan tak dobry i stworzył mi listę książek, autorów polskich i zagranicznych, rzeczy pisanych wierszem i prozą, które wedle pańskiego znakomitego rozeznania winienem znać? Do pańskich obowiązków służbowych będzie także należeć odpytywanie mnie z treści zadanych lektur, a gdy się nieco wdrożę, nauka interpretacji zarówno fragmentów, jak i całości. Tu jest umowa nieśmieciowa... itd., itp. Do widzenia".

Niestety, z oczywistych powodów taka rozmowa nam się nie przydarzy i musimy jakoś sami sobie radzić. Jako się rzekło, nie tyle z niedostatkiem czytania, co z nadmiarem i z niepotrzebnością. Zapewne doradca, gdybyśmy takiego mieli, jeżeli byłby to człowiek naprawdę fachowy, łaskawy i wrażliwy, oszczędziłby nam bólu, na który w wieku, w którym jesteśmy, już nie zasługujemy. Słowem, odradziłby nam stanowczo lekturę dwu najbrzydszych w polszczyźnie utworów ostatnich lat, jeżeli nie półwiecza, a są to: list do aktywu partyjnego autorstwa Jarosława Kaczyńskiego i tzw. Karta Rodziny autorstwa Andrzeja Dudy. Powieści Bronisława Wildsteina to przy tym czysty Leśmian, trudno nam wyjść ze zdumienia nad tym porównaniem, ale tak się złożyło, że jest trafne. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 01
„TP" 25/2020

CONRADFESTIVAL

widzialne

nie

widzialne

19-25.10
2020

www.conradfestival.com
znajdź nas: #conradfestival

Festiwal Conrada
19–25 października 2020

GRZEGORZ JANKOWICZ

Hasło tegorocznej, dwunastej edycji Festiwalu Conrada brzmi: „Widzialne i niewidzialne". Narzędziem, które raz umożliwia nam widzenie, innym razem zaś czyni je niemożliwym, jest – jak łatwo się domyślić – literatura. Jesteśmy przekonani, że to właśnie ona determinuje nasz sposób postrzegania świata, jak również zamieszkujących go istnień oraz wypełniających go obiektów. To dzieła literackie – a nie tylko wizualne – przybliżają nam lub oddalają od nas ludzi i rzeczy.

W tym roku na bliskość i oddalenie między organizatorami, gośćmi oraz publicznością Festiwalu będzie miała wpływ również pandemia. Istotą naszego wydarzenia, jego esencją jest rozmowa, interakcja między ludźmi, dla których literatura stanowi pasję i część formy życia. Pandemia ogranicza nasze działania, ale nie całkowicie.

Po długim namyśle, mając na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo wszystkich uczestniczek i uczestników, postanowiliśmy przenieść program główny do internetu. Zaprezentujemy go Państwu w taki sposób, by dostęp do poszczególnych e-spotkań był łatwy i komfortowy.

Wierzymy, że zdalna formuła, na którą się zdecydowaliśmy, umożliwi nam szybszą i intensywniejszą komunikację. Informacji na temat dwunastej edycji Conrada szukajcie na stronie festiwalowej – www.conradfestival.com – oraz na łamach „Tygodnika Powszechnego", na których ukażą się jeszcze dwa numery „Magazynu Conrad" (we wrześniu i październiku). Gdy bliskość, gdy bezpośrednio prowadzona rozmowa, gdy spotkanie w przestrzeni publicznej jest niemożliwe, wówczas pozostaje nam zawierzyć mocy samej literatury, zawierzyć metaforycznej sile opowieści. I to właśnie opowieści będą nas w tym roku łączyć, to one pomogą nam w podtrzymaniu kontaktu. Zapraszamy w trzecim tygodniu października. Gdziekolwiek wtedy będziecie, połączcie się z Festiwalem Conrada. ©℗

Grzegorz Jankowicz
dyrektor programowy
Festiwalu Conrada

LUCA BRUNO / AP / EAST NEWS

REDAKCJA
Grzegorz Jankowicz
OKŁADKA
Fajne Chłopaki
TP TYPOGRAFIA
Artur Strzelecki
FOTOEDYCJA
Edward Augustyn

CONRAD FESTIVAL

Organizatorzy:

Kraków

KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

kbf

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Menedżer Festiwalu
– Urszula Chwalba

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Świat, jaki jest, każdy widzi... inaczej

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Dla jednych świat przesłania swoimi widzialnymi formami niewidzialne tło, dla drugich niczego poza swoją powierzchnią nie skrywa. Jednym i drugim – by zrozumieli swe doświadczenie – przydałaby się literatura.

Trzy powieści

Mężczyzna koło trzydziestki budzi się pewnego ranka i widzi, że nie wszystko jest tak, jak było dotąd. Gospodyni nie przyniosła mu, jak zwykle, śniadania. Zamiast niej do pokoju wszedł jakiś obcy człowiek, oznajmiając mu, że został zatrzymany. Zatrzymany? Przez kogo? Dlaczego? Na te pytania mężczyzna nie może znaleźć odpowiedzi. Wszyscy na niego patrzą, łącznie z sąsiadami wyglądającymi z okien pobliskich kamienic, ale on sam widzi tylko kunsztownie uszytą kamizelkę opinającą ciało nieznajomego. Jego usilnie podejmowane od tej pory starania, by zobaczyć sąd i jego przedstawicieli, spełzną na niczym. Odtąd będzie chciał zobaczyć sąd, który prowadzi wobec niego dochodzenie, i sędziego, który może go skazać, ale nie uda mu się to. Wszystko, co wpędziło go w nieprzezwyciężalne kłopoty, zostało usunięte z pola widzenia i tkwi poza zasięgiem jego wiedzy. Mężczyzna widzi wiele, ogląda nawet obraz najwyższego sędziego, ale nie może przeniknąć wzrokiem wskroś muru mylących znaków do niewidzialnej sfery, w której być może kryje się wytłumaczenie jego niepowodzeń. Gdy w końcu przybędzie na miejsce kaźni, zapyta sam siebie: gdzie sędzia, którego nigdy nie widział, gdzie sąd, przed którym nigdy *de facto* nie stanął?

Inny mężczyzna, w tym samym wieku, przybywa do wsi u stóp zamku, szukając pracy. Podobno został zatrudniony przez urząd jako mierniczy, ale nie jest to wcale pewne. Chce dostać się do zamku, aby sprawdzić, czy faktycznie jest zatrudniony, ale mu się to, mimo wielu prób, nie udaje. Wciąż pada śnieg, drogi są zasypane, zamek spowija nieprzenikniona mgła. Wieśniacy drżą na samą myśl o władzy wydającej nakazy i rozkazy z niewidzialnych kancelarii. Mężczyzna męczy się, chcąc przeniknąć – dosłownie i w przenośni – tuman otaczający zamek, ale w końcu traci siły, poddaje się i godzi na swój los. Nie zostaje zabity przez wysłanników niewidzialnego sądu, jak jego kolega w mieście. Znajduje pocieszenie wśród pokojówek w gospodzie, z dala od ukrytego i złowieszczego (choć całkowicie dysfunkcyjnego) centrum władzy.

Trzeci mężczyzna, najmłodszy z nich, jeszcze chłopiec, wyprawia się za ocean, by znaleźć swoje miejsce z dala od ciasnoty starego kontynentu. Stara się jako tako oswoić z nowym światem, ale w chwili, w której zaczyna mu to wychodzić, coś niezrozumiałego – jakaś niewidzialna siła – wypycha go z ledwie co oswojonego kontekstu i katapultuje w coraz bardziej niezrozumiałe rejony egzystencji. Chłopak z trudem przyswaja nieznane dotąd kształty nowoczesnej cywilizacji – osobliwe formy widzialnego – ale nie umie przebić się przez otaczającą go chmurę niewiedzy: błąka się po przepastnym kontynencie, rzucany z kąta w kąt przez nieznany mu żywioł.

Streściłem w najogólniejszych zarysach trzy niedokończone powieści Kafki – „Proces", „Zamek" i „Zaginionego" – kładąc nacisk na uderzające podobieństwa. Tym, co łączy te utwory, jest zderzenie widzialnego z niewidzialnym. Bohater stara się przebić wzrokiem warstwę widzialnych pozorów, by zrozumieć własne położenie i dotrzeć do niewidzialnej sfery sensu, której odkrycie pozwoli mu pokierować swym życiem. Jednak jego wysiłki idą na marne. Jest tak, jakby Kafkowski człowiek skazany był na obracanie się po omacku w kręgu tego, co widać, bez najmniejszej szansy na rozświetlenie kurzawy zjawisk. Gdy tylko zdaje mu się, że już, już bliski jest rozgonienia mgły, ta gęstnieje jeszcze bardziej, przesłaniając wszystko.

Apokalipsa obraca się w swoje przeciwieństwo: zamiast odsłaniać ostateczną tajemnicę, zasłania ją na zawsze.

Nowoczesność w pigułce

Kafka dość precyzyjnie opisał doświadczenie nowoczesne, a raczej jedną z jego kluczowych charakterystyk. Świat przednowoczesny tkwił w pewności dwudzielnego porządku. Musiało istnieć jakieś niewidzialne tło nadające temu, co widzialne, znaczenie. Tłem tym był Bóg, którego bliska obecność gwarantowała stabilność podstaw świata. To, co ukryte, rządziło tym, co jawne. Wystarczyło nauczyć się tę jawność umiejętnie odczytywać. Jednak gdy człowiek zaczął powoli sam siebie stawiać na miejscu Boga, ta oczywista topologia uległa nadszarpnięciu. Szukając dla swojego życia uzasadnienia pozbawionego oparcia w boskim autorytecie, ludzkość odkryła ze zdumieniem, że może jedynie błądzić pośród obfitości znaków, które nie składają się w żaden spójny obraz, nie mają żadnego oczywistego przesłania. To, co widać, okazało się tym, co jest, i niczym ponadto. I odwrotnie: to, czego nie widać, jest niewidoczne, gdyż nie istnieje. Nowoczesność rozkleiła tradycyjny obraz świata składający się z mylących pozorów i prawdziwego podłoża zjawisk.

Nietzsche – na jednym z biegunów nowoczesności – twierdził, że wspomniana zmiana jest dobrodziejstwem, gdyż nie ma nic piękniejszego niż mieniąca się wszystkimi barwami, nieskrywająca niczego powierzchnia świata. Kafka uważał inaczej: niewidzialne skazuje nas na nieprzezwyciężalną niepewność. Nietzsche w zanurzeniu się w immanencji świata widział lekarstwo na tęsknotę za niewidzialnym. Kafka był zdania, że do niewidzialnego nigdy nie przestaniemy się dobijać.

Było objawienie czy nie?

W jednym z najciekawszych sporów o Kafkę, jakie przetoczyły się przez XX wiek, wzięli udział dwaj żydowscy myśliciele ↦

↦ Gershom Scholem i Walter Benjamin. Pierwszy z nich uważał, że utwory Kafki stanowią zagadkowy komentarz do żydowskiego objawienia, które daje się wykładać na wiele sposobów, wedle zasad wywodzących się z tradycji komentowania Tory (zwłaszcza z kabały, która, dowodził Scholem, bez Kafki jest dziś mało zrozumiała, podobnie jak Kafka bez niej). Drugi natomiast uważał, że dzieło Kafki należy czytać jako świadectwo odcięcia od wszelkiego objawienia, jest bowiem to dzieło zbiorem tekstów, które odsyłają do samych siebie (w nieskończonym ruchu odwlekania sensu), a nie do transcendencji (jakkolwiek byśmy jej nie zdefiniowali). Scholem uważał, że bohaterowie Kafki nie potrafią odczytać świętego tekstu rzeczywistości, nie miał jednak wątpliwości, że tekst ów, objawiający niewidzialny świat, w ich rękach jakoś się znalazł. Benjamin z kolei sądził, że nic takiego nigdy nie nastąpiło i że Pismo od samego początku było kolekcją świeckich tekstów, w których na próżno szukamy prawdy.

Według Scholema objawienie (czyli transfer niewidzialnego w widzialne) nastąpiło i trzeba szukać sposobów na jego zrozumienie. Według Benjamina tym, co zostało objawione, jest niemożliwość samego objawienia. Innymi słowy, Scholem był przekonany, że bohaterowie Kafki mogą dotrzeć do tego, co niewidzialne, mimo że to, co widzialne, jest zagadkowe, a nawet nieodczytywalne. Benjamin z kolei wolał drobne zdarzenia pojawiające się na powierzchni samego tekstu, jak na przykład gesty pani Czyżyk, aktorki prowincjonalnego teatru żargonowego, opisane przez Kafkę na pierwszych stronach „Dziennika".

Orfeusz i inni

Można te dwa stanowiska łatwo zredefiniować w kontekście czytania literatury jako takiej, a nie tylko tekstów pochodzących z tradycji żydowskiej.

Można czytać teksty literackie jako narzędzie objawienia prawdy, która wciela się w widzialne znaki, ale można też czytać literaturę jako dowód na to, że jakaś zewnętrzna prawda nie ma do niej żadnego dostępu. Pierwszy sposób niewątpliwie czerpie z obszaru teologicznego: tak jak dawniej poprzez święte teksty przemawiał Bóg, tak teraz – w epoce zeświecczenia – coś niewidzialnego wciela się w widzialne znaki. Naszym, czytelników, zadaniem jest przejście tej drogi w przeciwną stronę: rekonstrukcja sensu, którego wpierw nie było widać, ale który stanie się widoczny, gdy zastosujemy właściwe instrumenty egzegezy. Nic w tym zabiegu wyjątkowego czy hermetycznego: niemal wszyscy tak właśnie czytamy, wierząc, że teksty literackie kryją w sobie coś głębszego, jakieś sekretne znaczenia, które trzeba z niewidzialnej strefy powoli wyprowadzać, tak jak Orfeusz wyprowadzał z podziemi Eurydykę. Jeśli tym wyprowadzaniem sensu z niejawnego w jawne zajmuje się hermeneutyka, to jasne jest, że wszyscy czytelnicy domagający się oczywistości przesłania tekstu literackiego są zawołanymi hermeneutami. Kto niewidoczne na pierwszy rzut oka znaczenia nazwie i pokaże światu, ten czuje się wtajemniczony (Hermes był bogiem wtajemniczeń) i chełpi się przewagą nad innymi, profanami.

Nie sposób przecenić wagi tej postawy: od chwili, w której pozaświatowe źródła sensu zaczęły bezpowrotnie ubożeć (bo Bóg umarł i tak dalej), literatura traktowana była jako rekompensata tej utraty. Ten, dla którego świat utracił głębsze znaczenie, mógł odnaleźć namiastkę sensu w świeckim tekście. Nic więc dziwnego, że w pewnym momencie, na przełomie XVIII i XIX wieku, w kręgu niemieckich romantyków powstało pojęcie absolutu literackiego, którego otchłań dawała nadzieję na ponowne zaczarowanie szybko odczarowującego się świata.

„Niewidzialne" stało się zawołaniem bojowym wszystkich rozczarowanych pustą widzialnością.

Barwne łuski słów

Ale to tylko jedna strona medalu, ta ukryta. Nie trzeba było długo czekać, by nowoczesność wynalazła inny sposób na uporanie się z erozją znaczenia. Skoro niewidzialne (czy transcendencja) tak łatwo dało się zawłaszczyć przez quasi-religijne czy pseudomistyczne rozumienie literatury, w myśl którego jest ona objawieniem czegoś „ponad" i czegoś „poza", należało zradykalizować roszczenie i powiedzieć coś odwrotnego. Nie objawienie prawdy się liczy, lecz piękno samo. Piękno, które jest poza dobrem i złem, poza prawdą i fałszem. W szukaniu prawdy każdy ma jakiś interes, a skoro tak, to łatwo ten interes zafałszować. Piękno, jak sugerował już Kant, jest bezinteresowne w tym sensie, że podziw dla niego zawiesza wszelką dyskusję na temat prawdy i ogranicza się jedynie do kontemplacji widzialnych kształtów.

Nadzmysłowość została zastąpiona zmysłowością. Ale zmysłowością jakiego rodzaju? Stéphane Mallarmé uważał, że relacje między słowami przypominają grę odbić między błyszczącymi powierzchniami drogich kamieni. Później malarze zaczęli domagać się uwagi dla samej powierzchni malowidła, nie zaś dla tego, co zostało przedstawione. W ten sposób w świeckiej dziedzinie sztuki ustanowiona została nowoczesna dialektyka niewidzialnego i widzialnego, która zastąpiła teologiczną tożsamość objawienia i rzeczywistości. Dawniej tekst rzeczywistości był zrozumiały jedynie wtedy, gdy odsyłał do swego niewidzialnego zaplecza, które albo czyniło się widzialnym z własnej woli poprzez objawienie (Boga znamy przez jego dzieła), albo wycofywało się całkowicie w niepoznawalność (Boga nikt nigdy nie widział), albo okazywało się nie istnieć (Bóg nie istnieje, bo istnienie przynależy temu, co można wypowiedzieć, a Boga wypowiedzieć się nie da). W nowoczesności natomiast pozbawione boskiej opieki teksty (i szerzej: wszelkie dzieła stworzone przez ludzi) albo domagają się od nas egzegezy ukrytych znaczeń, albo domagają się samej tylko kontemplacji, podziwu dla misternej konstrukcji słów lub barw.

Tak podzieliła się nowoczesność w swoich głównych nurtach: albo niewidzialne, albo widzialne. Rzadko coś pośredniego.

Logika paranoi

Ta nowoczesna dialektyka widzialnego i niewidzialnego nie odnosi się, rzecz jasna, tylko do sztuki. Nowoczesność z przerażeniem odkryła, że życiem ludzkim, po zejściu Boga ze sceny świata, zaczęły kierować siły, nad którymi nie mamy władzy, choć które – zapewne – sami wyzwoliliśmy. Utopia wolności, jaką człowiek zyskał, wyswobodziwszy się z krepującej go transcendencji, szybko przeistoczyła się w przerażenie potęgą niewidzialnych procesów pozbawiających jednostkę panowania nad sobą. Na tym właśnie polegała modernizacja: na podporządkowaniu człowieka nieuchronności – ale nie boskich wyroków, nie natury, tylko historii, która zaczęła pożerać swoje najmniej do nowej sytuacji przystosowane dzieci, wciąż tęskniące za utraconym rajem.

ANDRZEJ WIERNICKI / EAST NEWS

Tak jak człowiek przez stulecia trwożył się w obliczu boskich wyroków, tak dziś w bardzo późnej nowoczesności, pod naporem niedających się łatwo opanować sił, stara się on na próżno wyczytać z mnożących się znaków jakieś kojące lub złowieszcze przesłanie.

I tak niewidzialne ponownie zaczęło święcić tryumfy nad widzialnym, a my zaczęliśmy się głowić, jak odkryć jego kolejne prawdziwe oblicze. Tym razem jednak niewidzialne mieściło się już nie po stronie nieludzkiej transcendencji, lecz po stronie całkiem ludzkiej przebiegłości. Tak powstała nowoczesna logika paranoi, która – pozbawiona sakralnych narzędzi objaśniania rzeczywistości – źródeł ludzkiego nieszczęścia szukała w najprzeróżniejszych spiskach. Paranoik uważa, że bez działania obcych, niewidzialnych sił – wrogich mocarstw, Żydów, burżujów, kapitalistów, masonów, gejów (lista jest znana i długa) – nie sposób wytłumaczyć egzystencjalnej mizerii. W jego mniemaniu nie może być ona skutkiem procesu, który miał przecież doprowadzić rodzaj ludzki do powszechnej satysfakcji. Ktoś musiał w pewnym momencie przejąć kontrolę nad światem. Jeśli dawniej wiadomo było, kto – cesarz, król, papież – to teraz centrum złośliwego dowodzenia odsunęło się na bezpieczną – niewidzialną – odległość. Nie wolno – przekonuje paranoik – ustawać w odsłanianiu przyczyn świeckiego zła.

Niewidzialnego Boga zastąpił jego wróg – niewidzialny Diabeł, ale zasada pozostała ta sama: nie da się wyjaśnić świata, odwołując się jedynie do tego, co widać, bo kierujące nim mechanizmy buzują pod jego powierzchnią i nie mają – jak globalizm czy turbo-kapitalizm – żadnej twarzy, którą można by obarczyć winą za pieską kondycję życia. Tak jak człowiek przez stulecia trwożył się w obliczu boskich wyroków, tak dziś w bardzo późnej nowoczesności, pod naporem niedających się łatwo opanować sił, stara się on na próżno wyczytać z mnożących się znaków jakieś kojące lub złowieszcze przesłanie.

Wygląda na to, że niewidzialnego nie możemy się pozbyć, że nie możemy zadowolić się samym widzialnym. Znaczyłoby to, ni mniej, ni więcej, że rację mają ci badacze ludzkiej historii, którzy w jej rozwoju nie widzą wielkich cezur i skoków, lecz tylko łagodne transformacje ludzkich potrzeb, które z porządku religijnego przeszły do porządku świeckiego, nie tracąc żadnej ze swych głównych cech.

Świat jaki jest, każdy widzi

Tak brzmi złota zasada zdrowego rozsądku. Doprawdy? Świat, j a k i j e s t, każdy widzi? Każdy zapewne, jeśli tylko nic nie stoi na przeszkodzie, widzi, że świat j e s t, ale czy każdy widzi, j a k i ten świat jest? Oczywiście, że nie. Bo nie żyjemy w jednym świecie, lecz w wielu, które często nie mają ze sobą nic wspólnego.

Dla jednych świat jest piekłem, dla innych niebem. Dla jednych tylko cienką błoną rozpiętą nad przerażającą otchłanią, dla drugich twardym gruntem, na którym rosną ich nadzieje. Dla jednych przesłania swoimi widzialnymi formami niewidzialne tło, dla drugich niczego poza swoją powierzchnią nie skrywa. Jedni ufają, że ta niewidzialna siła im sprzyja, drudzy obarczają ją wszystkimi możliwymi grzechami. Inni jeszcze, mniej zapewne liczni, nie widzą poza światem widzialnym niczego, co mogłoby im wyjaśnić znaczenie ich własnego życia. Jeśli, oczywiście, takiego wyjaśnienia się domagają, czego nie można wszelako zakładać.

© MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Widzialne i niewidzialne

19.10. Poniedziałek

16:00
O bólu, który łączy
SPOTKANIE Z SIGRID NUNEZ
Prowadzenie: Magda Heydel

18:00
Światy literackie:
ZYTA RUDZKA
Oprowadza: Marta Dzido

20:00
O możliwości opowiadania
SPOTKANIE Z ETGAREM KERETEM
Prowadzenie: Urszula Rybicka

20.10. Wtorek

16:00
O uciążliwej wolności
SPOTKANIE Z MATEIM VIŞNIEKIEM
Prowadzenie: Joanna Kornaś

18:00
Światy literackie:
MAREK BIEŃCZYK
Oprowadza: Mira Marcinów

20:00
O zanikaniu
SPOTKANIE Z BIANKĄ BELLOVĄ
Prowadzenie: Aleksandra Hudymač

21.10. Środa

12:00
Lekcja czytania z...
MIRĄ MARCINÓW i GRZEGORZEM JANKOWICZEM

16:00
O wadach i zaletach populizmu
SPOTKANIE Z CHANTAL MOUFFE
Prowadzenie: Piotr Laskowski

18:00
Światy literackie:
MAŁGORZATA REJMER
Oprowadza: Zofia Karaszewska

20:00
O życiu na wyspach
SPOTKANIE Z ROYEM JACOBSENEM
Prowadzenie: Justyna Czechowska

22.10. Czwartek

16:00
O czekaniu
SPOTKANIE Z KEVINEM BARRYM
Prowadzenie: Agnieszka Wolny-Hamkało

18:00
Światy literackie:
AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA
Oprowadza: Michał Sowiński

20:00
O niszczycielskiej mocy słów
SPOTKANIE Z SIGRIDUR HAGALÍN BJÖRNSDÓTTIR
Prowadzenie: Przemysław Czarnecki

23.10. Piątek

16:00
O przemocy w rodzinnym domu
SPOTKANIE Z ADELINE DIEUDONNÉ
Prowadzenie: Tomasz Swoboda

18:00
Światy literackie:
MAGDALENA TULLI
Oprowadza: Emilia Padoł

20:00
O pamięci
SPOTKANIE Z MARIĄ STIEPANOWĄ
Prowadzenie: Małgorzata Nocuń

24.10. Sobota

14:00
O Rosji, której nie widać
SPOTKANIE Z WIKTOREM JEROFIEJEWEM
Prowadzenie: Zbigniew Rokita

16:00
O obowiązku podróży
SPOTKANIE Z KARLEM-MARKUSEM GAUSSEM
Prowadzenie: Ziemowit Szczerek

18:00
Światy literackie:
JOANNA RUDNIAŃSKA
Oprowadza: Justyna Sobolewska

20:00
O dwoistej naturze rzeczy i ludzi
SPOTKANIE Z ELIF ŞAFAK
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz

25.10. Niedziela

14:00
O tym, o czym się nie mówi
SPOTKANIE Z EMILIE PINE
Prowadzenie: Anna Kowalcze-Pawlik

16:00
Światy literackie:
MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI
Oprowadza: Wojciech Rusinek

18:00
O obsesji
SPOTKANIE Z IANEM BOSTRIDGE'EM
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz

20:00
Gala Nagrody Conrada

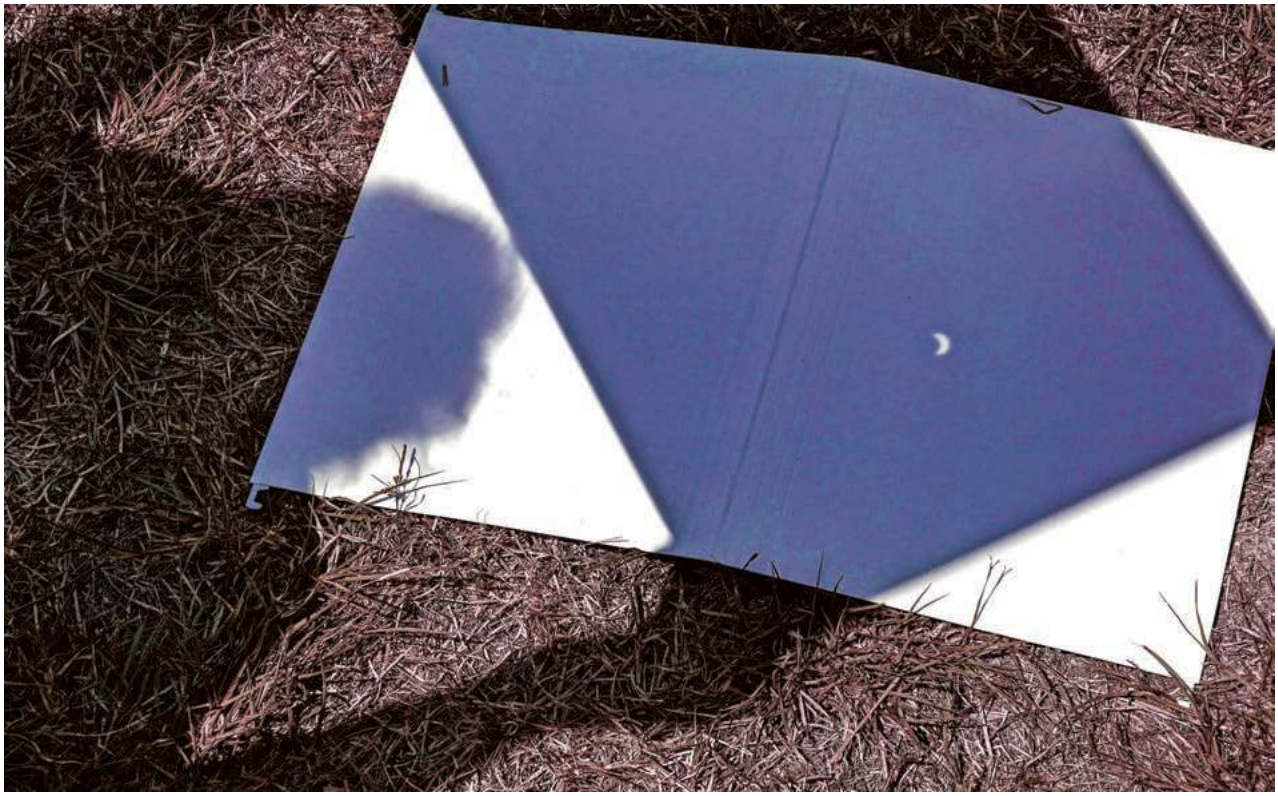

ELI REED / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Co widać, a czego nie?

GRZEGORZ JANKOWICZ

Pojęcia pojawiające się w tegorocznym haśle festiwalowym są inspirujące dlatego, że mimo pozornej oczywistości, skłaniają do namysłu, który może nam pomóc w innym ujęciu własnego doświadczenia.

Swoją ostatnią, niedokończoną książkę Maurice Merleau-Ponty zatytułował „Widzialne i niewidzialne". Percepcja, sposoby patrzenia, możliwość objęcia zmysłami otaczających nas rzeczy – wszystko to zajmowało go przez dziesięciolecia. Jednak właśnie ta praca, wydana pośmiertnie przez Claude'a Leforta, wydaje się najważniejszą jego refleksją na temat relacji łączącej człowieka z widzialnym światem.

Gdy tylko otwieramy oczy – pisze w pierwszych zdaniach filozof – rodzi się w nas przeświadczenie, że bez trudu zdołamy dotrzeć spojrzeniem do świata, że jest on tym, co widzimy. Uważamy to za oczywiste i niepodważalne. Wspomniane przekonanie wyrasta z głębokiego podłoża świadomości, na którym odkładają się opinie organizujące nasze życie. Wystarczy jednak, że zadamy kilka pytań – kim jest to „my", co to jest „świat", co to jest „rzecz", a przede wszystkim, czym jest to „widzieć" – a wkroczymy w labirynt, w którego krętych korytarzach napotkamy jedynie sprzeczności. Jako pojęcia „widzialne" i „niewidzialne" są inspirujące właśnie dlatego, że mimo pozornej oczywistości, odsłaniają liczne trudności, skłaniają do namysłu, który może nam pomóc w zupełnie innym ujęciu własnego doświadczenia.

W innej części książki Merleau-Ponty przytacza anegdotę. Spacerując pewnego dnia po plaży, odniósł wrażenie, że w oddali widzi kawałek drewna wypolerowany przez morską wodę. Gdy jednak podszedł bliżej, zorientował się, że to ilasta skała. Co się wydarzyło? Pewnie większość z nas uznałaby, że filozof zweryfikował błędne wyobrażenie o pewnej rzeczy. Od wrażenia przeszedł do właściwego rozpoznania. Od widzialnego przeskoczył do niewidzialnego, które początkowo skrywało się przed jego wzrokiem za zasłoną pozoru.

Jednak Merleau-Ponty opisuje tę sytuację w inny sposób. Podobne zdarzenia – przekonuje – powinny nam uświadomić, jak krucha jest tkanka realności. Nie jest wcale tak, że w konfrontacji ze światem przechodzimy od złudzenia do prawdy. Nigdy nie udaje nam się do końca zedrzeć kotary, która przesłania świat. Od jednego złudzenia przeskakujemy do drugiego, co oznacza, że w każdej chwili coś widzimy i zarazem czegoś nie widzimy, że widzialne i niewidzialne są ze sobą splecione i to właśnie ów splot wyznacza granice naszej ↦

↦ percepcji. Według francuskiego filozofa taka jest metafizyczna zasada naszego bycia w świecie.

Istnieje jeszcze zasada społeczna, która również determinuje nasz sposób postrzegania. W „Ramach wojny" Judith Butler pisze, że rzeczywistość zawsze umieszczamy w jakimś kadrze. Jego szerokość zależy nie tylko od naszych indywidualnych predyspozycji, ale także od warunków społecznych, w których funkcjonujemy. Jeśli codziennie słyszymy, że pewne obszary świata powinniśmy ignorować, jeśli zapuszczanie się w niektóre rejony jest zakazane, to nasza percepcja ulega zawężeniu. Dotyczy to nie tylko relacji z rzeczami, ale przede wszystkim z innymi ludźmi. Jednych widzimy, drugich nie, jedni są widzialni i słyszalni, drugich spycha się ze sceny i zagłusza, życie jednych uważamy za warte troski, los innych jest nam obojętny.

Znakomitą ilustrację tego mechanizmu znajdujemy w „Naszym wspólnym przyjacielu", ostatniej dokończonej powieści Dickensa. Jeden z bohaterów, Rogal Riderhood, jest ignorowany przez lokalną społeczność. Pracuje jako wodniak (pływa czółnem po rzece i wyławia z niej trupy samobójców). Uchodzi za wyrzutka; wszyscy próbują się go pozbyć. Dopiero gdy ulega wypadkowi, gdy na chwilę staje się bezbronny, uznają jego życie za warte opieki. Ale kiedy Riderhood odzyskuje przytomność, znów się od niego odwracają, dosłownie zamykają oczy, by go nie widzieć, by nie zajmować się dłużej jego żywotem.

Czy nie przypomina to naszego stosunku do uchodźców lub mniejszości? Możemy ich widzieć z naszego okna, możemy obok nich przechodzić każdego dnia, co wcale nie oznacza, że pojawiają się w granicach naszej zawężonej percepcji. Z łatwością, niemal odruchowo eliminujemy z pola widzenia to, co z różnych powodów wydaje nam się niewygodne, co wywołuje w nas uczucie dyskomfortu (bo jest inne, nowe, niejasne...). Nasze ramy poznawcze, determinowane przez politykę i determinujące etykę, obejmują tylko niektóre strefy rzeczywistości i tylko nieliczne rodzaje życia.

Literatura ma w tym swój udział. Może te ramy czynić jeszcze węższymi lub – to jedna z jej największych wartości – sukcesywnie je poszerzać, uwrażliwiając nas na los innych ludzi, innych istnień i świata jako takiego. Najlepsze teksty literackie ujawniają obecność ignorowanych obszarów rzeczywistości i pomijanych rodzajów życia. Pozwalają zająć widoczne miejsce, w którym i z którego można mówić, będąc słyszanym.

Wokół powyższych zagadnień będziemy krążyć podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. O tak rozumianą widzialność i niewidzialność zamierzamy pytać zaproszonych gości. Oczywiście, nie będzie to jedyny temat zaprojektowanych przez nas dyskusji – raczej stały punkt odniesienia, zestaw pojęć za każdym razem na nowo aktualizowanych.

Oto kilka tegorocznych spotkań festiwalowych.

- Jak wynika z badań socjologicznych, na szczycie wartości, które cenimy najbardziej, znajduje się wolność. Szczególnie teraz, gdy musimy mierzyć się z obostrzeniami wprowadzonymi po to, by przeciwdziałać pandemii. **MATEI VIŞNIEC** przedstawia nam historię człowieka, który po wielu latach wychodzi z więzienia i próbuje wrócić do normalnego życia. Okazuje się jednak, że odzyskana swoboda jest dla niego ciężarem, co nie znaczy, że nie jest pożądana. Po prostu nie każdy potrafi być wolny.

- To oczywiste, że zamieszkiwane przez nas światy podlegają nieustannym przemianom. Jedną z jej form – być może najczęstszą – jest zanikanie. To, co wydawało się wiecznotrwałe, obumiera na naszych oczach. Odchodzą ludzie, kruszeją mury domów, gubią się rzeczy. Dla **BIANKI BELLOVEJ** zanikanie świata jest kluczową częścią procesu dorastania i dojrzewania. Więcej: bez doświadczenia straty nasz emocjonalny i egzystencjalny rozwój byłby niemożliwy. Trzeba coś stracić, trzeba się z zanikiem pogodzić, by dotrzeć do samego siebie.

- Z **ADELINE DIEUDONNÉ** będziemy rozmawiać o toksycznych relacjach rodzinnych. W domu jej bohaterki panuje atmosfera strachu, którą bardzo trudno rozproszyć. Źródłem zagrożenia jest ojciec, którego dominująca pozycja wydaje się niepodważalna. W jaki sposób uwolnić się od takiej opresji? Dieudonné zwraca uwagę na niezwykle istotny aspekt doświadczenia przemocy: jeśli nie uda nam się go w porę przepracować, jeśli nie rozerwiemy łańcucha, który zarzucił nam na szyję agresor, wejdziemy w rolę ofiary na stałe i ku swej zgubie w kolejnych relacjach będziemy reprodukować ten sam – nierówny, niesprawiedliwy – układ sił.

- Gdy pochodzisz z jednego kraju, ale mieszkasz w drugim, gdy na co dzień posługujesz się dwoma językami, myśląc w nich, mówiąc nimi i pisząc za ich pomocą książki, gdy równie bliska jest ci kultura wschodnia, co zachodnia, to świat i otaczający cię ludzie zdają się posiadać dwoistą naturę. Ale stan ten nie musi wywoływać niepokoju. Przeciwnie. Można dzięki temu więcej zobaczyć. Bohaterki i bohaterowie powieści **ELIF ŞAFAK** bardzo często poruszają się między różnymi kulturami. Przewożą opowieści z jednej do drugiej, rozwijając je i przekazując kolejnym pokoleniom.

- Ciągle słyszymy jakieś zakazy: o pewnych problemach nie wypada mówić, pewnych tematów lepiej nie poruszać, nie wolno głośno wyrażać swoich poglądów. **EMILIE PINE** konsekwentnie łamie te obostrzenia, zrywa społeczne pieczęcie i otwarcie, a przy tym niezwykle subtelnie omawia zagadnienia, które są dla niej szczególnie ważne: bolesne relacje z ojcem, trudne dzieciństwo, przemoc wobec kobiet, bezpłodność. Opowiada historie osobiste, ale czyni to tak, że wiele osób z pewnością rozpozna w nich kształt swojego losu.

Jak zawsze, literatura będzie dla nas punktem wyjścia do refleksji o najważniejszych zjawiskach i problemach współczesnego świata. Jesteśmy przekonani – dziś bardziej niż kiedykolwiek – że spoglądając na rzeczywistość przez pryzmat powieści czy opowiadań, możemy lepiej współdziałać z innymi.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI
TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

WSPÓLNIE PRZYSPIESZAMY BIEG RZECZY

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

INTERNET SYMETRYCZNY
TRANSMISJA DANYCH
KOLOKACJA
CLOUD COMPUTING
HOSTING
USŁUGI GŁOSOWE
OUTSOURCING IT
KONSULTING

REKLAMA

PROFESJONALNY SKLEP
Z AUTORSKIMI MIESZANKAMI
NASION ŁĄK KWIETNYCH

pani łąka

www.panilaka.pl